

”

Rada Polityki Pieniężnej wysyła dość czytelne sygnały. Istotna będzie marcowa projekcja inflacyjna. I pewnie wtedy będziemy dyskutować, kiedy mogłyby się rozpocząć obniżki stóp procentowych – mówi nam Iwona Duda, członek Rady Polityki Pieniężnej, była prezes PKO Banku Polskiego i Alior Banku



GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

LISTOPAD 2024 // NR 11/1283 // CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

ROK

• Za nami rok rządu Donalda Tuska • Budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego ze sporym opóźnieniem • Projekt kolejowych szprych do lotniska został mocno okrojony • Duże opóźnienia w budowie elektrowni jądrowej • Inwestycje na Odrze są skutecznie blokowane

HAMOWANIA

O inwestycyjnym hamowaniu Polski, które będzie nas kosztować utratę rozwojowego impetu i ostatecznie zagrozi naszemu bezpieczeństwu, mówią:



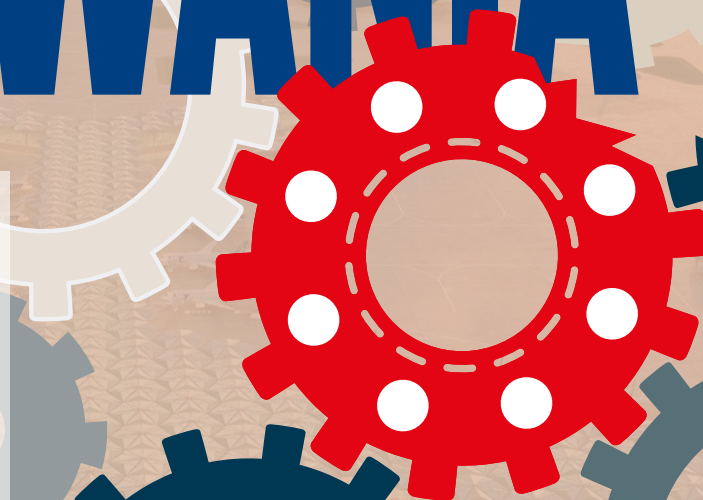
Jadwiga Emilewicz



Marcin Horała



Marek Gróbarczyk



F-35 Husarz
wkrótce
na niebie



Pięć zasad
komunikacji
z pokoleniem Z



Laureat Medalu
Odwaga i Wiarygodność
prof. David Engels



ISSN 0860-7613 INDEX 359033
9 770860 761403
Numer w sprzedaży do 28 XI 2024 r.



Tu jest Polska!

wPolsce 24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52

telewizja
naziemna

192

netia 

32

 orange

825

 vectra

196

polsat box 

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon

 PLAY

dawniej UPC

REDAKCJA

ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa
tel. (22) 616 36 00
redakcja@gb.pl

REDAKTOR NACZELNY

Maciej WOŚKO maciej.woško@fratria.pl

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Stanisław KOCZOT

SEKRETARZ REDAKCJI

Krzysztof KOTOWSKI

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Joanna BUCZYŃSKA, Ryszard CZARNECKI,
Małgorzata DYGAŚ, Agnieszka ŁAKOMA (wGospodarcę.pl), Jan ROKITA,
Arkady SAULSKI, Grzegorz SZAFRANIEC, prof. Grzegorz SZULCZEWSKI,
prof. Małgorzata ZALESKA, Beata ZUBOWICZ

RADA PROGRAMOWA

prof. Grażyna Ancyparowicz, GWSH; dr hab. Dominik Bierecki, Spółdzielczy Instytut
Naukowy w Sopocie, kancelaria Jedliński, Bierecki i Wspólnicy w Gdyni; Tomasz Chrostny,
prezes UOKiK; prof. Leszek Działo, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu;
prof. Andrzej Gospodarowicz, Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu;
dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, Uniwersytet Warszawski; prof. Alojzy Z. Nowak,
Uniwersytet Warszawski; Zdzisław Sokół, doradca Prezydenta RP;
Henryk Uzdowski, Grupa Fratria; prof. Małgorzata Zaleska, SGH;
prof. Jerzy Żyżyński, Uniwersytet Warszawski

WYDAWCA



Fratria sp. z o.o.
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
www.fratria.pl

PREZES

Romuald ORZEŁ

DRUK

Walstead Kraków Sp. z o.o.

DYREKTOR KREATYWNY

Michał KORSUN michal.korsun@fratria.pl

STUDIO GRAFICZNE

Andrzej SKWARCZYŃSKI andrzej.skwarczynski@fratria.pl
Lidia SŁOWIKOWSKA-SŁOŃSKA lidia.slowikowska@fratria.pl
Paweł ŻURAŃSKI

FOTOEDYCJA

Robert GOŁASZEWSKI robert.golaszewski@fratria.pl

KOREKTA

Anna WOLF

PRODUKCJA I DYSTYBUCJA

Mariola BARCIKOWSKA mariola.barcikowska@fratria.pl

DYREKTOR DS. MARKETINGU,
KOMUNIKACJI ORAZ ORGANIZACJI EVENTÓW
Joanna MAZUR joanna.mazur@fratria.pl

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU

Katarzyna MARCHEWKA – katarzyna.marchewka@fratria.pl,
tel. 603 097 503

PATRONATY MEDIALNE

marketing@fratria.pl

BIURO REKLAMY

e-mail: reklama@fratria.pl
tel. (22) 463 49 93

PRENUMERATA REDAKCYJNA

prenumerata@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00

Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.gb.pl

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
nr konta: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Publikacja jest chroniona przepisami prawa autorskiego.
Wydrukowanie kserokopii lub powielanie inną metodą oraz
rozpowiadanie bez zgody wydawcy w całości lub w części
jest zabronione i podlega odpowiedzialności karnej.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega prawo redagowania
nadesłanych tekstów. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Zdjęcia na okładce:

Instytut Sobieskiego, Liudmyła Kazakova, kpr. Sławomir Kozioł, Jan Walewski,
Andrzej Wiktor, Shutterstock (x2), Mat. prasowe,
Terminal CPK. Konceptja Foster + Partners



PARTNER



Rok po wyborach

No i się posypała wielomiesięczna praca speców od politycznego marketingu suflujących zaprzyjaźnionym mediom III RP opowieść o uśmiechniętej, szczęśliwej i europejskiej Polsce Donalda Tuska. Wystąpienie prezydenta Andrzeja Dudy w rocznicę wyborów parlamentarnych pozwoliło wypunktować katastrofalne błędy ostatniego roku. Jednym z głównych zarzutów, jakie postawił prezydent, jest dojmujący brak strategii związanej z inwestycjami publicznymi. A mówiąc wprost – zahamowanie kluczowych projektów rozwojowych Polski.

Rok po wyborach parlamentarnych to najlepszy moment, by to podsumowanie przeprowadzić. Polacy zasługują na to, aby ich sprawy, sprawy najważniejsze dla ich rodzin, sprawy, od których zależy przyszłość ich, lecz także, a może w szczególności, ich dzieci, wnuków, traktowane były poważnie – podkreślał prezydent RP w Sejmie.

Szczególną wagę Andrzej Duda nadał kwestiom bezpieczeństwa, kierując w stronę ław rządowych wezwanie, iż „zapewnienie bezpieczeństwa to jedno z najważniejszych zadań każdego rządu i każdej władzy”.

I właśnie z zagrożeniem bezpieczeństwa wiązać należy wstrzymanie inwestycji, które obecna władza tak ochoczo nazywa „megalomanią PiS-u”. To Centralny Port Komunikacyjny, którego budowa wyhamowała, i już wiemy, że projekt kolejowy, który miał zapewnić sprawny dostęp do lotniska hubowego z całej Polski, będzie mocno ograniczony. Program budowy trzech (!) elektrowni jądrowych sprowadzono do jednej – i to mocno opóźnionej – inwestycji. Z tzw. małego atomu, czyli budowy reaktorów SMR, zarówno KGHM, jak i Orlen wycofały się rakiem. Polskie porty muszą radzić sobie z tym, co mają, a inwestycje na Odrze skutecznie powstrzymują ekologiczne bojkotki.

O tym hamowaniu, które będzie nas kosztować utratę rozwojowego impetu i zagrażać ostatecznie naszemu bezpieczeństwu, rozmawiamy z członkami poprzednich rządów – Jadwigą Emilewicz, Marcinem Hołarą i Markiem Gróbarczykiem.

Polacy chcą dynamicznie rozwijającej się Polski, chcą rządu, który realizuje ambitne przedsięwzięcia – nowoczesne, na miarę czasów i wyzwań przyszłości. „Chcemy Polski, która rozwija swój potencjał, w której tworzone są dobrze płatne miejsca pracy dla naszych obywateli” – wskazywał Andrzej Duda w bodaj jednym z najlepszych wystąpień tej kadencji. Realizacja takich projektów jak budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego wraz z siecią połączeń kolejowych, portu kontenerowego w Świnoujściu, jak budowa polskich elektrowni atomowych czy rozbudowywanie portów w Gdańsku i w Gdyni powinna być absolutnym priorytetem rządu Rzeczypospolitej – przekonywał prezydent.

Wygląda na to, że Polacy wiedzą i widzą, iż koalicja rządu Donalda Tuska postawiła na zupełnie inne priorytety. I chyba nie o to chodziło stojącym rok temu w kolejkach do urn wyborcom.

Maciej Woško

MACIEJ WOŚKO

Redaktor naczelny „Gazety Bankowej”





WYWIAD GOSPODARCZY:

Przyszły rok nie będzie łatwy

Sektor bankowy jest w dobrej kondycji i ma potencjał, aby stać się motorem napędowym rozwoju polskiej gospodarki w dobie transformacji energetycznej, zmian strukturalnych i wyzwań związanych z jej konkurencyjnością – wyjaśnia Iwona Duda, członek Rady Polityki Pieniężnej, była prezes PKO Banku Polskiego i Alior Banku

str. **6**

TEMAT NUMERU:

Nie ma żadnej pewności, że inwestycje zostaną wykonane

Donald Tusk dostał „między oczy” pałką, którą jego ekipa pomogła wystrugać. Najbardziej tragiczne jest to, że zginęli i ucierpieli ludzie, o stratach materialnych liczonych w miliardach złotych nie wspominając – mówi poseł Marek Gróbarczyk, były minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej



str. **12**



TEMAT NUMERU:

Polska najwyraźniej zaciągnęła ręczny hamulec

Strategia głębokiego rozliczenia przeszłości sprawia, że wielka armia ludzi odpowiedzialnych za gospodarkę dostaje sygnał, iż lepiej się nie wychylać, bo być może ci, którzy po nas przyjdą, pójdą jeszcze głębiej, rozliczą jeszcze mocniej – mówi Jadwiga Emilewicz, wicepremier w rządzie Mateusza Morawieckiego, była minister rozwoju

str. **20**

SPIS TREŚCI



WYDARZENIA:

Inwestycje na serio

Marcin Horała: Zastanawiam się, co musi robić Tusk, że wywołuje taki strach u dorosłych przecież, poważnych ludzi, że się go boją jak przedszkolaki

str. 26

WYDARZENIA:

Nowi komisarze

Procedura konstruowania nowej Komisji Europejskiej miała się zakończyć już w październiku, ale teraz mówi się raczej o grudniu lub nawet o początku przyszłego roku

str. 32



WYDARZENIA:

Rynek młody i chaotyczny

Józef Krzysztof Oraczewski i Monika Turczyńska: Na Zachodzie rynek sztuki jest bardziej dojrzały. Wszystko jest poukładane

str. 44



FINANSE:

WIBOR w Luksemburgu

Banki na razie zachowują spokój, ale gdyby sprawy potoczyły się nie po ich myśli, sytuacja stanie się poważna. TSUE wziął pod lupę WIBOR i tak naprawdę nie wiadomo, jaką decyzję podejmie

str. 70



od redakcji 3

wywiad gospodarczy

Iwona Duda, członek Rady Polityki Pieniężnej, była prezes PKO Banku Polskiego i Alior Banku: Przyszły rok nie będzie łatwy 6

temat numeru

Marek Gróbarczyk, poseł, były minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, były wiceminister infrastruktury, były pełnomocnik rządu ds. gospodarki wodą oraz inwestycji w gospodarce morskiej i wodnej: Nie ma żadnej pewności, że inwestycje zostaną wykonane 12
Bartosz Życiński: Powódź 2024 nie była kataklizmem tysiąclecia. Ale zdarzyła się zbyt blisko zimy 18
Jadwiga Emilewicz, wicepremier w rządzie Mateusza Morawieckiego, była minister rozwoju, współautorka Tarczy Finansowej i Antykrzysowej dla firm zmagających się z kryzysem podczas pandemii COVID-19: Polska najwyraźniej zaciągnęła ręczny hamulec 20

wydarzenia

Marcin Horała, poseł, były wiceminister w resorcie funduszy i polityki regionalnej, były pełnomocnik rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego: Gdyby inwestycje wziąć tak naprawdę na serio 26
Stanisław Koczoł: WIBOR w Luksemburgu 32
Agnieszka Łakoma: Wielkie nadzieje unijnego przemysłu 36
Arkady Saulski: Husarz wkrótce na niebie 40
Józef Krzysztof Oraczewski, malarz; Monika Turczyńska, właścicielka galerii Orac w Warszawie i A Space w Wenecji: Polski rynek sztuki jest młody, a więc chaotyczny 44
Grzegorz Szafraniec: Zdolni, szybcy, niecierpliwi 48
Tomasz Sztreker, założyciel Polskiej Akademii Biznesu: Polska dla małych i mikroprzedsiębiorców jest najważniejsza. To nasza ojcowizna 52
XIV Kongres Polska Wielki Projekt. Polska w globalnym tyglu 56
Sześć lat w Polsce. Przemowa prof. Davida Engelsa, laureata Medalu Odwaga i Wiarygodność 62
Sztuczna inteligencja analizowana, czyli jak rozumieć otaczający nas świat? Fragment książki „AI Eksploracja. Andrzej Zybortowicz odpowiada Katarzynie Zybortowicz” 66

finanse

Stanisław Koczoł: WIBOR w Luksemburgu 70
Folder Finance 76

historia gospodarcza

Małgorzata Dygas: Królowie bakalii i paczkomatów 78

felietony

Jan Rokita 17
Ryszard Czarnecki 25
Małgorzata Zaleska 75
Krzysztof Kotowski 81
Grzegorz Szulczewski 82

Przyszły rok *nie będzie łatwy*

ROZMAWIALI

MACIEJ WOŚKO I STANISŁAW KOCZOT

Sektor bankowy jest w dobrej kondycji i ma potencjał, aby stać się motorem napędowym rozwoju polskiej gospodarki w dobie transformacji energetycznej, zmian strukturalnych i wyzwań związanych z jej konkurencyjnością – mówi Iwona Duda, członek Rady Polityki Pieniężnej, była prezes PKO Banku Polskiego i Alior Banku

Największe banki centralne obniżają stopy procentowe, banki w naszym regionie też to robią. W Polsce ekonomści coraz mocniej sugerują, że obniżki stóp procentowych są pilnie i konieczne. Presja na Radę Polityki Pieniężnej jest mocna, czego zresztą można było się spodziewać. Co takiego dzieje się z naszą gospodarką, że RPP obstaje przy zachowaniu status quo, przynajmniej na razie?

Iwona Duda: W dyskusji publicznej często zapominamy o tym, że w przypadku największych banków

”

Rada Polityki Pieniężnej wprost komunikowała, że wzrosty inflacji powrócą wraz z przywróceniem 5-procentowej stawki VAT na żywość i wycofaniem się rządu z części działań osłonowych dotyczących cen energii czy gazu. I to się sprawdziło

centralnych mamy do czynienia dopiero z pierwszymi decyzjami obniżającymi stopy procentowe. Zresztą były one oczekiwane mniej więcej już od wiosny tego roku, a termin ich wprowadzenia wciąż się przesunął. Ostrożność banków centralnych w łagodzeniu polityki monetarnej jest bardzo duża, a wynika ona z trudnej walki z inflacją, która dotknęła większość gospodarek, osiągając wysokie, nienotowane od lat poziomy. My pierwszych cięć stóp procentowych dokonaliśmy już w zeszłym roku. Obniżyliśmy koszt pieniądza, po długim okresie utrzymywania stóp na wysokim, restrykcyjnym poziomie, koniecznym dla zapewnienia szybkiego spadku inflacji. Od szczytu inflacji w lutym 2023 r. na poziomie ponad 18 proc. inflacja została sprowadzona do celu NBP i w pierwszym półroczu 2024 r. wynosiła średnio 2,7 proc. To duży sukces właściwej polityki monetarnej. Rada Polityki Pieniężnej wprost komunikowała, że wzrosty inflacji powrócą wraz z przywróceniem 5-procentowej stawki VAT na żywość i wycofaniem się rządu z części działań osłonowych dotyczących cen energii czy gazu. I to się sprawdziło. Od lipca mamy znowu wzrost inflacji, a ostatni wrześniowy odczyt wskaźnika CPI odnotował poziom 4,9 proc. Według prognoz inflacja CPI może rosnąć do pierwszej połowy



2025 r. Przed nami dłuższy okres z podwyższoną inflacją. Trudno oczekiwać, aby w takiej sytuacji Rada Polityki Pieniężnej podejmowała decyzje o obniżkach stóp procentowych.

Co w takim razie jest hamulcem? Przecież konsekwencje obniżek stóp będą odczuwalne z dużym opóźnieniem.

Rzeczywiście decyzje Rady Polityki Pieniężnej oddziałują w horyzoncie od czterech do sześciu kwartałów. Trzeba natomiast zwrócić uwagę, że oprócz tego, iż do końca roku będziemy mieli inflację na podwyższonym poziomie, to jej szczyt, jak prognozujemy, przypadnie w pierwszym kwartale 2025 r. i może osiągnąć poziom nawet 6 proc. Przyszły rok nie będzie łatwy dla inflacji, bo średniorocznie może ona wynieść ponad 5 proc. Siła wzrostu inflacji, zwłaszcza w pierwszym kwartale, zależy będzie w największym stopniu od decyzji o charakterze regulacyjno-administracyjnym. A te leżą poza sferą polityki monetarnej. Na przykład kiedy w lipcu tego

”

Patrząc na cały sektor bankowy oraz sytuację, w jakiej on się znajduje, jest w nim miejsce dla wszystkich banków działających obecnie w Polsce

roku zostały częściowo odmrożone ceny nośników energii, to według naszych szacunków spowodowały one wzrost CPI mniej więcej o 1,3 punktu procentowego. To dużo. Pytanie, czy w przyszłym roku rząd utrzyma działania osłonowe, a jeśli tak, to w jakim kształcie. Planowana jest podwyżka akcyzy na wyroby alkoholowe i tytoniowe, która również podbije inflację. Po stronie bilansu ryzyk rzutujących na

poziom inflacji w średnim okresie wciąż pozostaje wysokie tempo wzrostu płac i stopień jego przełożenia na konsumpcję prywatną, na wzrost presji popytowej. Przekłada się to również na utrzymującą się uporczywość inflacji bazowej, w tym wysoką dynamikę cen usług. Nie wiadomo, jak rosnące ceny energii wpłyną na oczekiwania inflacyjne, na presję płacową i ostatecznie na wzrost cen. Cały czas mamy do czynienia z luźną polityką fiskalną. Tych czynników niepewności, jeśli chodzi o przebieg ścieżki inflacji w średnim horyzoncie, wciąż jest sporo. Nawet jeżeli inflacja zacznie spadać – tak jak sądzimy – może od drugiego kwartału 2025 r., a w większym stopniu od drugiej połowy przyszłego roku, to i tak jej poziom średnioroczny będzie dość wysoki. Do celu inflacyjnego dochodzimy w 2026 r.

Do tego dochodzą wyższe opłaty lokalne...

No właśnie. Wprowadzanie nowych taryf na wodę i kanalizację, wywóz śmieci czy zakładany wzrost kosztów i opłat eksploatacyjnych jest istotnym elementem dla kształtowania się przyszłych procesów cenowych. Według prognoz eksperckich NBP dynamika cen usług administrowanych będzie rosła w całym horyzoncie prognozy.

Dołożmy do tego jeszcze czynniki geopolityczne, wojnę w Ukrainie... Cały czas de facto odczuwamy skutki pandemii. Przystają się sprawdzać standardowe modele, do których ekonomiści się przyzwyczaili. Na przykład postpandemiczny wzrost popytu mocno rynek zaskoczył...

Rzeczywiście w ostatnich latach gospodarki światowej i społeczeństwa, rządy i banki centralne mierzą się z nadzwyczajnymi wyzwaniami. Dotknęły nas trzy kryzysy o bezprecedensowym charakterze. Szoki związane z pandemią, okresem postpandemicznym oraz kryzysem energetycznym spowodowanym wojną w Ukrainie wywołały realną groźbę zapaści gospodarczej. Świat zmagał się z wieloma, dotychczas niespotykanymi, zaburzeniami w gospodarkach, pojawiło się niebezpieczeństwo fali bankructw firm, masowego bezrobocia i wysoka inflacja. Walka ze skutkami tych zdarzeń wymagała i wymaga nadzwyczajnych, niestandardowych środków oraz metod. Zmiany dotyczyły zarówno polityki fiskalnej, jak i monetarnej. Żyjemy w trudnych czasach, mocno niepewnych. Czynniki geopolityczne wciąż są istotnym źródłem ryzyka. Sytuacja międzynarodowa jest skomplikowana. Nadal trwa wojna w Ukrainie, do tego dochodzi konflikt na Bliskim Wschodzie, zakłócenia w żegludze na Morzu Czerwonym – to elementy ryzyka dla poprawy światowej koniunktury, dla kształtowania się podaży i cen surowców energetycznych, rolnych oraz ciągłości łańcuchów dostaw. Następują procesy defragmentacji gospodarek, w politykach gospodarczych

państw coraz częściej wprowadzane są elementy protekcyjnoistyczne. Kształtuje się pewna nowa rzeczywistość.

Ale faktycznie banki centralne są w trudnej sytuacji, podejmują decyzje przy dużo większym stopniu niepewności. Modele, które dotychczas się sprawdzały, są modyfikowane i weryfikowane z danymi z realnej gospodarki, rozszerza się zakres analizowanych procesów i danych. Dlatego większość władz monetarnych zastrzega, że będą podejmowały decyzje z posiedzenia na posiedzenie, w zależności od napływających danych. Tak duży stopień niepewności skłania do daleko posuniętej ostrożności w polityce pieniężnej.

Polska została objęta procedurą nadmiernego deficytu. Czy jest ona sprzymierzeńcem RPP? Czy pomoże w walce z inflacją, czy raczej nie będzie miało to większego znaczenia?

Ważne jest, jaką ścieżkę dojścia do prawidłowego poziomu deficytu rząd uzgodni z Komisją Europejską. Czy będzie to ograniczenie wydatków, czy też większy wysiłek fiskalny po stronie dochodowej, a więc założenie, że dochody budżetowe będą większe. Jest z tym jednak trochę kłopotu, bo już w tegorocznym budżecie widać, że wpływy z podatków nie są dobre. Przed ministrem finansów duże wyzwanie.

”

Sila wzrostu inflacji, zwłaszcza w pierwszym kwartale, zależeć będzie w największym stopniu od decyzji o charakterze regulacyjno-administracyjnym. A te leżą poza sferą polityki monetarnej

Widać to po projekcie budżetu na przyszły rok? Wielu ekspertów ocenia go jako dość optymistyczny i nadmiernie ekspansywny. To bezpieczny budżet, biorąc pod uwagę chociażby wyzwania, o których już mówiliśmy? A może on sam jest kolejnym elementem niepewności?

Projekt przyszłorocznego budżetu nie przewiduje zacieśnienia fiskalnego, które sprzyjałoby ograniczeniu presji inflacyjnej. To budżet zakładający luźną politykę fiskalną. Wysoki deficyt i potrzeby pożyczkowe w przyszłym roku będą miały konsekwencje dla inflacji. Może się to również wiązać z większą zmiennością na rynkach finansowych. Z punktu widzenia Rady jest to też wyzwanie przy

sprowadzaniu inflacji do celu i stąd tak duża ostrożność, jeśli chodzi o zmiany parametrów polityki monetarnej.

Mamy dość wysoką konsumpcję, ale jak długo jest ona w stanie napędzać gospodarkę? Można na niej oprzeć wzrost gospodarczy?

Tempo wzrostu PKB w Polsce w ostatnich kwartałach wygląda dość dobrze zarówno na tle krajów Europy Środkowo-Wschodniej, jak i w odniesieniu do strefy euro. Realizacja prognozy wzrostu gospodarczego w roku 2024 na poziomie 3 proc. wydaje się być jak najbardziej realna. Źródłem wzrostu gospodarczego w tym roku rzeczywiście pozostaje konsumpcja, przy bardzo silnym wzroście wynagrodzeń. Warto jednak zwrócić uwagę, że rośnie ona stopniowo, co z punktu widzenia Rady Polityki Pieniężnej jest zjawiskiem pożądanym. Nie mamy do czynienia z boomem, który mógłby wywołać presję inflacyjną. Gospodarstwa domowe więcej oszczędzają.

W przyszłym roku powinny odbić inwestycje w związku z napływem środków unijnych z nowej perspektywy finansowej oraz zakładanym zwiększonym wykorzystaniem środków z KPO. Z kolei wzrost konsumpcji pewnie będzie trochę słabszy, bo powinna zwolnić dynamika wynagrodzeń. Mamy nadzieję, że ruszą inwestycje wśród dużych przedsiębiorców, bo tego w tej chwili nie widać. Widoczne jest wyraźne osłabienie tempa wzrostu nominalnych nakładów na inwestycje publiczne w stosunku do roku 2023 r., zwłaszcza spowolnienie inwestycji samorządowych.

Dla rozwoju gospodarczego najlepiej by było, gdyby działały wszystkie trzy silniki: konsumpcja, inwestycje i eksport...

Zdecydowanie tak. Dla trwałego i zrównoważonego rozwoju polskiej gospodarki nie wystarczy przyśpieszenie konsumpcji prywatnej. Silnik inwestycyjny i eksport powinny dawać istotne impulsy wzrostowe polskiemu PKB.

Rynek oczekuje obniżek stóp w przyszłym roku, zresztą takie są sugestie wynikające z wypowiedzi prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego i poszczególnych członków RPP. Kiedy można się spodziewać pierwszych obniżek i w jakiej skali?

Wydaje mi się, że Rada Polityki Pieniężnej wysłała dość czytelne sygnały. Istotna będzie marcowa projekcja inflacyjna, ponieważ ujmie skutki podwyżek z początku roku, przede wszystkim cen energii. Będziemy mogli oszacować ich wpływ na dalszy przebieg procesów inflacyjnych. I pewnie wtedy będziemy dyskutować, kiedy obniżki mogłyby się rozpocząć. Pojawiają się różne głosy: może być to drugi kwartał, może druga połowa 2025 r. Żeby podjąć

”

Wysoki deficyt i potrzeby pożyczkowe w przyszłym roku będą miały konsekwencje dla inflacji. Może się to również wiązać z większą zmiennością na rynkach finansowych

taką decyzję – w mojej ocenie – musielibyśmy mieć przekonanie, że inflacja będzie spadała i że będzie to trwały spadek.

Pojawiły się rynkowe prognozy cięć, na przykład taka: 100 punktów bazowych w dół w perspektywie 12 miesięcy oraz 200 punktów w perspektywie 24 miesięcy, i zakończenie cyklu obniżek. Gdyby tak się stało, docelowa stopa procentowa znajdzie się na poziomie 3,5–3,7 proc. Czy zgadza się pani z tym scenariuszem? Jaka, pani zdaniem, jest docelowa stopa procentowa?

Jeżeli obniżki nastąpią, na pewno będą to bardzo ostrożne i stopniowe decyzje.

Czy obniżka będzie jedna, czy będzie to cykl obniżek?

Wydaje mi się, że jest za wcześnie, by w tej chwili to przesądzać.

Inflacja CPI spadła z bardzo wysokiego poziomu, ponad 18 proc. w lutym zeszłego roku, do 4,9 proc. obecnie, a w maju tego roku osiągnęła dokładnie cel inflacyjny. Z czego wynikają te spadki? Jaki udział ma w nich polityka RPP?

Długo i konsekwentnie utrzymywaliśmy stopy procentowe na historycznie wysokim poziomie. I przyniosło to efekty. Kiedy prognozowaliśmy, że na końcu 2023 r., w grudniu, inflacja zostanie sprowadzona do poziomu ok. 6 proc., było wiele głosów wątpiących w taki scenariusz. Tymczasem rzeczywiście w grudniu 2023 r. inflacja spadła do 6,2 proc. Pierwsza połowa 2024 r. była bardzo dobra, przez pięć miesięcy byliśmy w celu inflacyjnym, czyli na poziomach 2,5 proc. +/-1 pp. To duży sukces właściwiej polityki monetarnej, ale też efekt ustępujących szoków podaźowych. Warto podkreślić, że takie rezultaty udało się osiągnąć, nie doprowadzając do nadmiernego schłodzenia gospodarki. Poprzedni rok polska gospodarka zakończyła na niewielkim plusie, podczas gdy wiele gospodarek w naszym bezpośrednim sąsiedztwie odnotowało ujemne wskaźniki wzrostu PKB. Z kolei prognoza wzrostu PKB dla Polski na ten rok, w wysokości 3 proc., jest najwyższa spośród otaczających nas gospodarek.



fot. Ludmyla Kazakova

Teraz znowu są oczekiwania na obniżkę, rynek woła: Proszę, obniżcie stopy!

Na to są dwie odpowiedzi. Pierwsza taka, że decyzje o obniżkach stóp podejmiemy w momencie, kiedy będziemy przekonani co do trwałości trendu spadkowego inflacji do celu. Przed nami następne projekcje i prognozy, które będą uwzględniały kolejne dane z gospodarki, mam nadzieję potwierdzające zejście inflacji do celu w średnim okresie. Drugą odpowiedzią jest zwrócenie uwagi na już dokonane dostosowanie polityki monetarnej. Jako pierwsi dokonaliśmy dwukrotnej obniżki stóp procentowych, w sumie o 100 punktów bazowych. Wznowienie luzowania, po zeszłorocznych obniżkach, zostało wstrzymane, ale wydaje się być coraz bliższą perspektywą. W mojej ocenie dyskusja o obniżce stóp procentowych będzie mogła się rozpocząć najwcześniej w marcu.

Napływ unijnych funduszy z KPO miał rozruszać polską gospodarkę. Czy pani zdaniem jest to możliwe? Unijne pieniądze uruchomią inwestycje?

Miejmy nadzieję, że tak się stanie, bo inwestycje są gospodarce potrzebne. Natomiast w tym roku wykorzystanie funduszy z KPO wygląda nie najlepiej, według niektórych szacunków jest to jedynie ok. 10 proc.

Rezerwa Federalna i EBC obniżają stopy procentowe, natomiast u nas pozostają na stałym poziomie. Prawdopodobnie w najbliższych miesiącach ta różnica będzie się pogłębiać. Jakie są tego konsekwencje dla RPP, a także dla naszej gospodarki?

Obserwujemy to, co robią inne banki centralne. Historycznie w latach 2014–2021 dysparytet stóp procentowych w EBC i NBP wynosił prawie dwa punkty procentowe. Dzisiaj jest podobny. To pokazuje, że w strefie euro w ujęciu historycznym stopy są wciąż wysokie.

Banki centralne podejmują decyzje co do zmiany parametrów polityki monetarnej w zależności od tego, jak w danym kraju przebiegają procesy inflacyjne, jaka jest sytuacja gospodarcza. Jedne dopiero dokonują pierwszych obniżek, inne po okresie kilku obniżek znów wprowadzają regułę „wait and see”. Wygląda to różnie.

”

Banki centralne są w trudnej sytuacji, podejmują decyzje przy dużo większym stopniu niepewności

”

W Polsce wiele mówi się o dużym wpływie koniunktury na Zachodzie, głównie w Niemczech, na polską gospodarkę. Tymczasem w ostatnim czasie uwagę analityków zwraca rosnąca dywergencja pomiędzy przemysłową koniunkturą w Polsce a strefą euro (szczególnie Niemcami). PMI w naszym kraju rośnie, na Zachodzie spada. Skąd ta różnica w PMI?

Koniunktura w otoczeniu polskiej gospodarki pozostaje osłabiona, a perspektywy jej ożywienia w ostatnim okresie oddaliły się. Roczna dynamika PKB w strefie euro, w tym w Niemczech, pozostaje niska. We wrześniu rozczarowały wszystkie wstępne odczyty PMI dla największych gospodarek Europy. Coraz częściej mówi się, że strefa euro zmierza w stronę stagnacji. Sytuacja gospodarki niemieckiej jest trudna. Według prognoz Niemcy wrócą do umiarkowanego wzrostu dopiero w przyszłym roku, co jest niekorzystną informacją dla polskiego eksportu i przemysłu. A nasza produkcja przemysłowa też notuje ostatnio spadki. Wprawdzie polski PMI w ostatnim okresie wzrósł trzeci raz z rzędu, ale nadal pozostaje poniżej neutralnego poziomu 50 pkt. Polska gospodarka jednak całkiem dobrze sobie radzi. Odnotowaliśmy dobry wynik wzrostu PKB za drugi kwartał – na poziomie 3,2 proc. r/r. W trzecim kwartale przewidywany wzrost PKB według projekcji lipcowej to 3,1 proc. r/r – ta dynamika może wprawdzie nieznacznie się obniżyć, biorąc pod uwagę właśnie uwarunkowania zewnętrzne, ale 3-procentowy wzrost w mojej ocenie jest realny.

Mamy złoty wiek polskiej gospodarki?

Rzeczywiście ostatnie lata to dobry czas dla rodzimej gospodarki. Ale oczywiście mamy też swoje problemy. Kryzys pandemiczny, postpandemiczny i energetyczny postawiły przed nami wiele wyzwań, gospodarka podlegała silnym wstrząsom i wciąż zmagamy się z ich skutkami. Trzeba też pamiętać, że jesteśmy krajem przyfrontowym, co oczywiście ma wpływ na zachowania inwestorów. Nie jest to może zbyt odczuwalne, ale trzeba się liczyć z tym, że w momencie zaburzeń będą się oni przenosili do tzw. bezpiecznych przystani.

Jeszcze nie tak dawno mówiło się o sektorze bankowym, że zniszczą go kredyty frankowe, teraz – że pogrzebie go WIBOR. Tymczasem, kiedy dostajemy wyniki, właściwie nie ma się do czego przyczepić. Na jakim etapie znajduje się obecnie sektor?

Sektor bankowy w Polsce jest w dobrej kondycji, notuje rekordowe zyski. Najpoważniejszy problem, czyli kredyty frankowe, niedługo powinien być rozwiązany. Większość banków proponuje swoim klientom ugody, zostały dotworzone rezerwy. A czy WIBOR będzie podważany? Instytucje, które odpowiadają za stabilność finansową w Polsce – zarówno KNF, jak

Trzeba pamiętać, że wciąż jesteśmy krajem przyfrontowym, co oczywiście ma wpływ na zachowania inwestorów. Nie jest to może zbyt odczuwalne, ale trzeba się liczyć z tym, że w momencie zaburzeń będą się oni przenosili do tzw. bezpiecznych przystani

i NBP – jednoznacznie podkreślają poprawność tego wskaźnika. W mojej ocenie nie ma podstaw do kwestionowania WIBOR-u.

Zysk netto banków w skali roku w okresie styczeń-sierpień 2024 r. wzrósł o 55,65 proc., do 28,83 mld zł. Mamy rekord za rekordem. To mocny filar polskiej gospodarki?

Tak. I tak jak już wskazałam w odpowiedzi na poprzednie pytanie, sektor bankowy ma się dobrze i ma potencjał, aby stać się motorem napędowym rozwoju polskiej gospodarki w dobie transformacji energetycznej, zmian strukturalnych i wyzwań związanych z jej konkurencyjnością.

To, że zyski są rekordowe, to w dużym stopniu zasługa wysokich stóp procentowych...

Na pewno. Natomiast banki w ostatnim okresie poprawiły też wiele innych wskaźników finansowych. Ich dobra sytuacja – zarówno pod względem kapitałowym, jak i płynnościowym – powinna się przekładać na wzrost zaangażowania w finansowanie gospodarki.

Teraz znowu wiele mówi się o fuzjach w sektorze bankowym. Rzeczywiście jest na to pora?

Moim zdaniem do takich procesów należy podchodzić ze szczególną rozważą. Obecnie wyniki finansowe sektora wskazują na to, że działa on sprawnie. Zróżnicowanie podmiotowe sprzyja konkurencji, z korzyścią dla klientów banków. O fuzjach powinny przesądzać wyniki finansowe banków, nie bez znaczenia jest też struktura właścicielska. Patrząc na cały sektor bankowy oraz sytuację, w jakiej on się znajduje, jest w nim miejsce dla wszystkich banków działających obecnie w Polsce.

Czy wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych mogą mieć wpływ na decyzje Rady Polityki Pieniężnej?

Obserwujemy wszystkie najważniejsze procesy i wydarzenia – zarówno gospodarcze, jak i polityczne, także te w Stanach Zjednoczonych. ●

temat numeru

Fakty & Procesy & Prognozy

ROZMAWIALI

AGNIESZKA ŁAKOMA I MACIEJ WOŚKO

Nie ma żadnej pewności, że inwestycje zostaną wykonane

Donald Tusk dostał „między oczy” pałką, którą jego ekipa pomogła wystrugać. Najbardziej tragiczne jest to, że zginęli i ucierpieli ludzie, o stratach materialnych liczonych w miliardach złotych nie wspominając – mówi poseł Marek Gróbarczyk, były minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, były wiceminister infrastruktury, były pełnomocnik rządu ds. gospodarki wodą oraz inwestycji w gospodarce morskiej i wodnej

Spotykamy się w wyjątkowej sytuacji, zaledwie kilka tygodni po powodzi w południowo-zachodniej Polsce, o skali dotąd niespotykanej. Powoli wraz z oczyszczaniem zalanych terenów przychodzi pora nie tylko na odbudowanie zniszczonych budynków i dróg, lecz także na pierwsze posumowanie poczynąń rządu w tej krytycznej sytuacji. Jak ocenia pan akcję ratunkową? Pytamy o to, bo powstaje wrażenie, że próbuje się „przykryć” niewygodną sytuację politycznym spektaklem pod znajomym hasłem „rozliczamy PiS”.

Marek Gróbarczyk: Uważam, że przede wszystkim można było uniknąć takich zniszczeń, jakie nastąpiły. Gdyby podjęto inne decyzje. Ale nie zdziałały zespoły zarządzania kryzysowego. Miałem wrażenie, że obawiano się podejmować szybkie działania... Postępowano ściśle wedle procedur, zgodnie z przepisami, z przypisanym zakresem zadań. Tymczasem taki kryzys wymaga odwagi, niestandardowych postaw, błyskawicznych decyzji, dobrej komunikacji.

W sytuacji powodzi zupełnie nowego znaczenia nabierają blokady budowy zbiorników na Odrze, których byliśmy świadkami zaledwie kilka lat temu. Nie tylko aktywiści, lecz również politycy związani z obecną ekipą rządzącą, a nawet miejscowi samorządowcy, ostro krytykowali te inwestycje. Zabrakło determinacji, by wtedy te zbiorniki zbudować?

Nie... Nie zaprzestaliśmy projektowania tych zbiorników i te inwestycje znalazły się w innych programach. Nasze plany budowy dziewięciu zbiorników na południowym zachodzie kraju nazywano oczywiście gigantomanią PiS-u. Politycy PO w tym regionie, i nie tylko oni, byli przeciwni i głośno, wielokrotnie to wyrażali. Na dodatek podburzyli mieszkańców i działające tam organizacje społeczne, by oprotować te plany. Spotkaliśmy się wręcz z agresją, dlatego zrealizowaliśmy ostatecznie tylko część planów. Budowę czterech ostatnich zbiorników – Szalejów, Krosnowice, Roztoki, Boboszków – udało się sfin-

lizować przed końcem naszej kadencji. Ze względu na te blokady i awantury mieliśmy momentami wrażenie, że politycy po cichu liczyli, iż to za naszych rządów dojdzie do powodzi i wtedy powiedzieliby, że to „wina PiS-u”. Stało się inaczej i niestety wyszło na to, że Donald Tusk dostał „między oczy” pałkę, którą jego ekipa pomogła wystrugać. Najbardziej tragiczne jest to, że zginęli i ucierpieli ludzie, o stratach materialnych liczonych w miliardach złotych nie wspominając. Mimo to nie widać autokrytyki i przyznania się do tego, że błędem było blokowanie inwestycji. Muszę też przypomnieć, że już w 2020 roku sytuacja na Odrze była trudna i okazało się, że zbiornik Racibórz spełnił swoje zadanie, ratując Wrocław. Ale to nie zmieniło sytuacji ani podejścia protestujących. Okazało się, że samorządy właściwie wszystkich gmin Powiatu Kłodzkiego podpisały się pod oficjalnymi protestami przeciwko budowie zbiorników, przyjmując odpowiednie uchwały w tej sprawie.

Rezultat jest taki, że powstało jedynie pięć zbiorników, z tym raciborskim włącznie. Czy teraz – z perspektywy czasu i tego, co nastąpiło, nie przychodzi panu taka refleksja, że może jednak należało wykazać więcej determinacji i budować mimo wszystko?

Nie mogliśmy zrobić nic „na siłę”, bo to nie jest metoda. Zwłaszcza że instytucje, z którymi uzgodniliśmy zasady finansowania tych inwestycji, postawiły jasne i jednoznaczne warunki, a wśród nich było też oczekiwanie akceptacji społecznej. Wymagały tego od nas zarówno Bank Światowy, jak i EBOR czy EBI. Te zbiorniki, które wybudowaliśmy, plus program retencji to maksimum tego, co mogliśmy wykonać. Dla nikogo nie było i nie jest tajemnicą, że tamte tereny są i będą zalewowe, ale agresja w związku z naszymi planami była tak duża, że nie było w ogóle mowy o przekonaniu mieszkańców do sprzedaży terenów pod budowę zbiorników. Choć – rzecz jasna – proponowaliśmy

”

Nasze plany budowy dziewięciu zbiorników na południowym zachodzie kraju nazywano oczywiście gigantomanią PiS-u. Politycy PO w tym regionie, i nie tylko oni, byli przeciwni i głośno, wielokrotnie to wyrażali

godziwe warunki finansowe, tak jak to było w przypadku zbiornika Racibórz. Na potrzeby tej inwestycji de facto przesiedleni zostali mieszkańcy trzech miejscowości i obyło się bez protestów.

Czy sądzi pan, że teraz wszyscy, którzy tak protestowali przeciwko budowie zbiorników, wyciągną wnioski? Na słowo „przepraszam” oczywiście liczyć nie można, bo nawet w trakcie powodzi takie nie padło, ale może przynajmniej nie będą utrudniać nowych prac...



Nie liczyłbym na taką przemianę. Ta atmosfera rozpętana przez Platformę Obywatelską i jej akolitów, żeby nic nie robić na Odrze i w okolicach, za chwilę wróci. Oni nastawieni są na przywracanie przyrody i ratowanie „płonącej planety” bez względu na skutki. Nie spodziewam się, że „nowocześni i europejscy” mieszkańcy Wrocławia, który notabene jest dziś zabezpieczony, czy warszawskiego Wilanowa, zrozumieją, stojąc w kolejce do wyborczych urn, by oddać głos na koalicję Tuska, że te inwestycje są konieczne. A za kilka miesięcy pseudoekolodzy znów ruszą z protestami.

Formalnie premier Donald Tusk zapowiedział, że inwestycje zabezpieczające przed powodzią muszą być. Może więc – skoro Zieloni też są w jego koalicji – powstrzymać aktywistów przed blokowaniem budowy kolejnych zbiorników?

Chciałbym, by tak się stało, bo bezpieczeństwo ludzi jest najważniejsze. Ale mało prawdopodobne, by te inwestycje rzeczywiście ruszyły po powodzi. I nie chodzi tylko o protesty, bo te zostały jedynie chwilowo zatrzymane, ani nawet o kwestie pieniędzy czy koniecznych przesiedleń mieszkańców. Problemem może się okazać blokada polityczno-urzędnicza, do której – jak wiele wskazuje – Platforma Obywatelska swoimi działaniami z ostatnich miesięcy wydatnie się przyczyniła. Spodziewam się, że urzędnicy będą zwlekać z podejmowaniem decyzji w obawie, że przyjdą po nich „bodnarowcy”. Dlatego urzędnicy twardo będą się trzymać przepisów, a o jakimś przyspieszeniu prac czy wyjściu poza procedury nie będzie mowy. Instrukcja i przepisy – to będzie najważniejsze i to już było widać na początku powodzi, o czym wcześniej mówiłem. Poza tym także niestety wiele razy przekonaliśmy się, jak to z prawdomównością Donalda Tuska faktycznie jest.

Czyli powinniśmy się spodziewać raczej pozorów niż działania? Premier wyznaczył Marcina Kierwińskiego na pełnomocnika, który ma dopilnować inwestycji i odbudowy po powodzi. Sukces na Dolnym Śląsku będzie miał kluczowe znaczenie dla jego dalszej kariery politycznej, więc może się postara.

Bez względu na tę osobę nadal uważam, że niestety nie ma żadnej pewności, iż po tym kataklizmie inwestycje rzeczywiście zostaną wykonane. Natomiast jestem pewien, że sam Donald Tusk będzie przekonywał nas, czyli społeczeństwo, że „praca wre”, choć wykonane zostanie tylko minimum tego, co powinno być zrobione. Obawiam się, że skończy się na opracowaniu strategii, na raportach, konsultacjach i opiniach, i w ten sposób Koalicja Obywatelska dotrwa do kolejnych wyborów.

Dla mieszkańców dotkniętych powodzią byłoby lepiej, gdyby pan się mylił. Wiadomo, że trzeba zminimalizować

ryzyko przyszłych powodzi, a jednocześnie wszelkie inwestycje muszą spełniać unijne normy w zakresie ochrony środowiska i strategię przyrodnicze. Czy zatem mieszkańcy Kłodzka, Nysy i okolic są na z góry przegranej pozycji?

Mieszkańcy mogą i powinni wywierać presję na rząd, by robił, co trzeba. Ale też niestety mamy do czynienia z bardzo ostrym sporem o to, jaka ma być przyszłość Odry. I tu potrzebny byłby jakiś rodzaj kompromisu. Wszystkim tak naprawdę bliska jest troska o środowisko, ale nie wszyscy wiedzą, że można w zgodzie z nią dokonać pewnych inwestycji, zagospodarować i wykorzystać możliwości rzeki. Nie chodzi o żadne „betonowanie Odry”, o którym mówią dziś aktywiści. Choć na marginesie powiem, że wystarczy przespacerować się po niemieckiej stronie, by zrozumieć, jak takie „betonowanie” wygląda i co znaczy w rzeczywistości. Dla porównania polecam zobaczyć nasze ostrogi i porównać z niemieckim betonem wlanym w Odrę. Można zatem regulować rzekę i wybudować zbiorniki retencyjne w zgodzie z oczekiwaniami i dbałością o środowisko. Już mamy w tym doświadczenie i warto je wykorzystać. Szczególnie korzystną i ważną rolę odgrywają lasy łęgowe, które są doskonałym siedliskiem dla wielu gatunków roślin i ptaków. A łęg rozwija się zależnie od poziomu ruchu wody w rzekach i potokach. I taki mieliśmy też plan. I to dopiero jest prawdziwa renaturyzacja, o którą dopominają się ekolodzy. Można pogodzić ekologię i żeglowność rzek. To możliwe, ale trzeba to dostrzec.

Wiele wskazuje na to, że choć obecnie to właśnie renaturyzacja stała się nadrzędnym celem Unii Europejskiej, gdy mówimy o rzekach, to jednak nie w takim wydaniu, o jakim pan mówi. Ciekawy jest też unijny zwrot. Bo jeszcze 13 lat temu cele były inne, zaś Komisja Europejska opublikowała w kwestii ekologicznego transportu tzw. białą księgę, z której wynikało, że do 2030 roku 30 proc., a do 2050 roku ponad połowa towarów przewożonych na odległość ponad 300 km ma się odbywać transportem innym niż drogowy, czyli właśnie wodnym lub kolejowym. Skąd wzięło się to nowe eko-podejście w Brukseli?

Obawiam się, że ta zmiana wskazuje na problem tkwiący w samej Komisji Europejskiej, polegający na braku spójności w podejściu do różnych strategii. Bo z jednej strony faktycznie Komisja ds. Transportu przygotowała tę białą księgę i zaproponowała m.in. plan korytarza śródlądowego, łączącego Morze Bałtyckie i Morze Północne. A my jako kraj w nim uczestniczący nawet zyskaliśmy dofinansowanie na unowocześnienie odcinka rzeki w rejonie Kostrzyna. Z drugiej strony Komisja ds. Środowiska UE była przeciwna i robiła wszystko, by ten plan zablokować. Niestety dla polskiego interesu jej opinie i działania wzięły górę w Brukseli, co też szczególnie widoczne było w czasach komisarza Fransa Timmermansa, nastawionego na realizację radykalnej polityki klima-

”

Samorządy właściwie wszystkich gmin Powiatu Kłodzkiego podpisały się pod oficjalnymi protestami przeciwko budowie zbiorników, przyjmując odpowiednie uchwały w tej sprawie

tycznej. Dlatego obecna presja na przywracanie rzek naturze mnie nie zaskakuje, choć z wielu powodów jest niekorzystna, zwłaszcza dla naszego kraju. Niestety dla Komisji Europejskiej plan budowy jakichkolwiek obiektów hydrotechnicznych i przegradzanie rzek jest wręcz niedopuszczalne, bo w jej opinii narusza ciągłość korytarzy migracyjnych ryb.

Dr Grzegorz Chocian w niedawnym wywiadzie dla naszego portalu wGospodarce.pl wskazał na pewien „wyjątek”, na możliwość ominięcia tych unijnych przepisów tam, gdzie rzeki są żeglowne i gdzie już nie da się tego odwrócić. Powstaje więc wrażenie, że Niemcy, którzy zarabiają na żegludze na Łabie czy Renie, i tak będą mieli spokój, a prawdziwe wyzwanie i problem w związku z dyrektywą o renaturyzacji rzek ma na przykład właśnie Polska.

Ten wyjątek to czytelny sygnał dla wszystkich. I celowy zabieg, który nie powinien nikogo dziwić w Polsce. Niemcy tradycyjnie zadbali w Komisji Europejskiej o swoje interesy. Nie jest tajemnicą, że pogłębiania swoich rzek i modernizację portu w Hamburgu sfinansowali z unijnych pieniędzy, a na budowę terminalu do odbioru LNG na Rugii zdecydowali się pomimo braku wszystkich analiz oddziaływania na środowisko. Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdybyśmy w Polsce nie dopilnowali tego typu procedur. Jest jeszcze dodatkowa kwestia, czyli obowiązek włączenia do procesu uzgodnień inwestycyjnych organizacji pozarządowych. A te – szczególnie związane z pseudoekologią – potrafią niezwykle skutecznie zablokować każdą inwestycję. Przez ostatnie osiem lat byliśmy tego świadkami przy okazji przygotowań kolejnych inwestycji.

A może jako rząd po prostu robiliście za mało i zbyt wolno, by rozwinąć transport rzeczny w Polsce? Może należało szybciej działać i szybciej projektować? W końcu sprawnie rozpoczętych czy zaawansowanych prac unijna dyrektywa o przywracaniu przyrody by nie zatrzymała.

Uważam, że pomimo oporu ekologów i tak zdołaliśmy przygotować dobre plany i projekty. Ale by działać, trzeba mieć finansowanie – to pierwszy problem. Zwłaszcza że ani EBI, ani EBOR nie chcą finansować

inwestycji w żeglugę śródlądową. Wystarczyły – i to nie jest anegdota – dwa telefony od niemieckich posłów do centrali Europejskiego Banku Inwestycyjnego, by cofnięto nam fundusze na inwestycje na Odrze. Musieliśmy zastąpić je obligacjami rządowymi. Udało nam się – pomimo blokady funduszy przez Unię Europejską – wygospodarować miliard złotych na budowę promów i 600 mln zł na rozbudowę portów Szczecin-Świnoujście. To nie było łatwe, ale się udało.

Czy biorąc pod uwagę to wszystko, o czym rozmawiamy, sądzi pan, że jest w ogóle jeszcze szansa na dalszy rozwój Odry jako drogi transportowej? Gdy spojrzymy na dane, to w Polsce podstawowe znaczenie dla przewozów towarowych żegluga śródlądowa ma tzw. Odrzańska Droga Wodna (rzeka Odra wraz z Kanałem Gliwickim), która obsługuje ok. 80 proc. przewozów towarowych w ruchu krajowym.

Mieliśmy specustawę odrzańską i plan kaskad. Rozpoczęliśmy projektowanie budowy dwóch stopni wodnych Lubiąż i Ścinawa, dzięki którym można będzie lepiej wykorzystać drogę wodną na Odrze. Wprawdzie sąd zablokował plany budowy ostróg, ale i tak jest to trzecia klasa żeglowności, więc gdyby jeszcze te zbiorniki powstały, to byłaby bardzo korzystna sytuacja. Dziś wiadomo już, że nie powstaną, bo w czerwcu nowi szefowie Wód Polskich zerwali umowy na projekty inwestycji. Zatem cały projekt został definitywnie zatrzymany – znów była presja ekologów, presja polityków. Trudno będzie do tego powrócić. Zwłaszcza biorąc pod uwagę unijne przepisy. Obowiązuje nie tylko Ramowa Dyrektywa Wodna, lecz i „Nature Restoration Law”, czyli renaturyzacja rzek i siedlisk od wód zależnych.

Wasz rząd miał też ambitną strategię dla żeglugi śródlądowej w Polsce, czyli połączenie Odra-Wisła-Zalew Wiślany. Na Wiśle mamy trzy niepołączone ze sobą odcinki o parametrach dróg międzynarodowych, więc do brzo rokuja. Jeden w okolicach Krakowa – ponad 37 km, od Płocka do Włocławka – 55 km i odcinek Martwej Wisły – 11 km. Czy myśli pan, że ta strategia już wylądowała w archiwum?

Nie wiem, co się stało z dokumentacją, ale wiem, że byliśmy bardzo blisko zrealizowania wieloletniego programu „Zagospodarowanie Dolnej Wisły”. Chcieliśmy zapewnić warunki żeglugowe tak, by faktycznie zwiększyć transport wodny śródlądowy. W planie była m.in. budowa stopnia wodnego Siarzewo koło Ciechocinka. Z jednej strony miał wspierać istniejącą tamę we Włocławku, z drugiej – chronić teren przed powodzią, bo w planach był też wielki zbiornik, ale jednocześnie także przepławki i urządzenia umożliwiające rybom migrację w górę rzeki. Zatem wszystko

w zgodzie z ekowymaganiem. Pozyskaliśmy nie tylko niezbędne uzgodnienia, lecz również wsparcie mieszkańców. Tam, w odróżnieniu od powiatu kłodzkiego, rady gmin poparły strategię, widząc w niej szansę na rozwój regionu. Choć też pojawili się ekoterrorysty z zamiarem blokady przygotowań, to jednak mieszkańcy wykazali się niebywałą wręcz odpowiedzialnością – uznali, że liczy się ich własne podejście do inwestycji, i powołali własne organizacje ekologiczne.

Cały projekt miał być gotowy w 2032 roku, ale – według informacji prasowych – obecne władze uznały, że jest jeszcze za mało analiz... Wiosną resort infrastruktury informował, że potrzebna jest strategiczna ocena oddziaływania na środowisko. Czy sądzi pan, że faktycznie chodzi o tę ocenę, czy raczej to pretekst, by odrzucić plan?

Budowa stopnia wodnego i cały ten projekt poprawiłby żeglowność Wisły, ale najwyraźniej obecny rząd tego nie chce. W budżecie zarezerwowaliśmy kwotę 7,5 mld zł na projekt Siarzewo i planowaliśmy dokapitalizować spółkę Wody Polskie, by mogła podjąć tam prace. Jednocześnie projekt w Siarzewie był ekologiczny, bo obejmował budowę małej elektrowni wodnej i w ciągu sześciu-siedmiu lat mielibyśmy kolejne źródło czystej energii z korzyścią dla klimatu oraz dla mieszkańców. Mówienie teraz o kolejnych potrzebnych analizach to zwykły wybieg. I domyślam się, że ten sam los spotka inne projekty dla Wisły. Mieliśmy też gotowe studium wykonalności i dokumentację, by Wisła była żeglowna również na odcinku od Warszawy do Dębina. Mieliśmy koncepcję żeglugi krótkiego zasięgu, gdy okazało się, że port w Gdańsku jest na fali.

Czy patrząc na działania obecnego rządu w odniesieniu zarówno do żeglugi śródlądowej, jak i polskich portów, nie ma pan wrażenia, że chodzi zwyczajnie o zablokowanie rozwoju? Oczywiście w imię ochrony środowiska.

Zakładaliśmy rozwój gospodarczy kraju i – pomimo ogromnej presji ze strony opozycji – udało nam się tę wizję częściowo zrealizować, a tam, gdzie się dało – przygotowaliśmy projekty. Jak duży opór polityczny może zahamować nawet najlepszy pomysł i strategię, najdobitniej pokazała sprawa rozbudowy portu w Elblągu. Mogły być nowe miejsca pracy, mógł być rozwój gospodarczy miasta, ale zadziałała polityka. Wiadomo, że potrzebne jest tam nowe nabrzeże, mieliśmy plan wykonania tzw. obrotnicy, by do Elbląga mogły zająć statki tak duże jak do Trójmiasta. Gdyby nie blokada miejscowych władz – reprezentujących Platformę Obywatelską – doprowadzilibyśmy tę koncepcję do końca. A teraz plan został drastycznie okrojony. Być może będą tam mogły wpływać jednostki małe o niewielkim zanurzeniu, ale i to nie jest wcale pewne, bo – już wiemy nieoficjalnie – nie będzie na ten

”

Dla nikogo nie było i nie jest tajemnicą, że tamte tereny są i będą zalewowe, ale agresja w związku z naszymi planami była tak duża, że nie było w ogóle mowy o przekonaniu mieszkańców do sprzedaży terenów pod budowę zbiorników

cel odpowiednich funduszy. Za to będą kolejne opracowania kolejnych koncepcji, zbieranie dokumentacji i tak upłyną trzy-cztery lata. I nic się tam nie zmieni. Ciekawi mnie tylko, co na to władze miasta, które były naszym planom tak niechętnie, i co powiedzą mieszkańcom. Czy przyznają, że w imię politycznych interesów zaprzepaścili szansę rozwoju całego miasta i regionu?

Wszystko wskazuje na to, że obecny rząd nie bierze pod uwagę rozwoju żeglugi ani na Odrze, ani na Wiśle. Więc tak naprawdę unijne przepisy – czyli Nature Restoration Law i dyrektywa wodna – są i będą wygodną wymówką. Czy więc plany zagospodarowania rzek w naszym kraju należy właściwie uznać za niebyłe?

Obawiam się, że tak właśnie się stanie. Najbardziej wpływowe w Unii Niemcy nie pozwolą na rozwój konkurencyjnej żeglugi i konkurencyjnych portów. Kryzys energetyczny spowodowany wojną, do którego sami się przyczynili, uzależniając się od rosyjskich surowców, mocno uderzył w ich gospodarkę. We wschodnich Niemczech nic się nie dzieje, rozbudowa terminalu w Rostoku i Wilhelmshaven się nie powiodła. Konkurencja tym bardziej więc nie jest im potrzebna, a już na pewno nie ze strony naszego kraju. Do tego trzeba dodać jeszcze kwestie gospodarczego bezpieczeństwa państwa. Jeśli weźmiemy pod uwagę to, co mówił dr Grzegorz Chocian o próbach werbunku i ofercie pracy na zlecenie od zagranicznych służb, to dopełnia skalę problemu. Obawiam się, że nic się nie zmieni i nie pójdziemy jako kraj naprzód, bo na dokładkę mamy w Warszawie coś w rodzaju zarządzania z Berlina. Przypomina mi się opinia wyrażona przez słynnego budowniczego Gdyni – Eugeniusza Kwiatkowskiego. To on powiedział pierwszy, że polskie porty – tak jak wtedy ten w Gdyni, a dziś powiedzielibyśmy o Trójmieście, Elblągu, Szczecinie i Świnoujściu – to przede wszystkim konkurencja i zagrożenie dla niemieckiego Hamburga. ●

JAN ROKITA

publicysta, były polityk i poseł



List trzech

Na początku października dziennikarze ujawnili treść listu, jaki otrzymał John Berrigan – szef unijnej dykcji generalnej od finansów. Irlandczyk jest w Brukseli kluczową figurą oddziałującą na kształt toczących się cały czas w Europie, choć – trzeba przyznać – ślamazarnie i z licznymi oporami, reform systemu bankowego. Reform, które miały być unijną lekcją wyciągniętą z wielkiego kryzysu roku 2008. Nadawcami listu są zaś wspólnie trzy ministerstwa finansów: Niemiec, Francji i Włoch. List jest podpisany co prawda „tylko” przez wysokich rangą urzędników, ale jego treść wskazuje, iż chodzi tu o inicjatywę skoordynowaną na najwyższym politycznym szczeblu pomiędzy trzema krajami. Bo list – to w istocie bardzo grzecznie, ale stanowczo sformułowane żądanie, aby Unia Europejska porzuciła, przynajmniej na jakiś czas, starania o wprowadzenie regulacji zwiększających wiarygodność finansową i zaufanie do banków.

Po kryzysie, u którego podstaw leżała utrata poczucia miary i odpowiedzialności przez bankierów, powszechnie nawoływano do ściślejszej regulacji usług finansowych. Tak zwany Komitet Bazylejski przygotowywał przez długi czas kolejne rekomendacje, a nie tak dawno, po wielu oporach, udało się w Unii uzgodnić pakiet zwany „Bazylea III”, mający gwarantować, iż bankierzy nie będą mogli powrócić do skandalicznej praktyki udzielania złych kredytów, na których zarówno instytucje finansowe, jak i sami bankierzy najlepiej zarabiają. „Bazylea III” miałaby wejść w życie na początku 2025 r. No, ale teraz nagle Berlin, Paryż i Rzym chcą to powstrzymać.

Argumenty? Przytaczane są dwa. Pierwszy ten, że po zmianie prezydenta USA Amerykanie nie będą wcielać restrykcji dla swoich banków, więc banki europejskie staną tu w gorszej pozycji. Drugi wykorzystuje zaś retorykę głośnego w Unii „raportu Draghiego”, który wróży rosnącą niekonkurencyjność całej europejskiej gospodarki względem reszty świata, zwłaszcza Chin i USA. W trzech stolicach

uznano więc, iż pierwsza rzecz, jaką należy zrobić w zgodzie z duchem „raportu Draghiego”, to... umożliwienie wyższych zysków bankom, ich menedżerom i akcjonariuszom. W imię tak rozumianej „konkurencyjności” bankierzy mają więc moc powrócić do swych ukochanych starych praktyk, które legły u podstaw kryzysu 2008 roku, ponosząc przy tym – jak uczy doświadczenie – małe lub zgoła żadne ryzyko. Bo przecież jeśli po raz kolejny pęknie bańka kredytowa, to i tak rządy, czyli podatnicy, będą musiały wrócić do sławetnej praktyki wielomiliardowych „bailoutów”.

Przypadkowo list trzech zbiegł się z małym skandalem, jaki wybuchł wokół działającej przy Unii organizacji „Eurofi”, która zrzesza ponad sto wielkich instytucji finansowych i służy do uprawiania lobbingu. Na ten cel „Eurofi” miała w tym roku do dyspozycji kwotę 6 mln euro i małe biuro brukselskie z trzema pracownikami. No i okazuje się, że te pieniądze sprawnie wydawane są na finansowanie luksusowych podróży oraz hoteli dla kluczowych polityków i urzędników od finansów, zarówno unijnych, jak i narodowych. A są wśród nich postaci tak znaczące w procesie decyzyjnym jak np. prezes Banque de France albo szefowa unijnego EBI. A wszystko pod zřejcznym pretekstem spotkań dyskusyjnych, poprzedzających odbywające się dwa razy w roku posiedzenia unijnych ministrów finansów. Podobno zresztą wszystkie te praktyki są zgodne z prawem i tzw. standardami unijnymi, o ile to określenie w dzisiejszej Europie w ogóle coś jeszcze może znaczyć.

Przez jakiś czas po kryzysie mogło się wydawać, że przynajmniej Europa jest zdeterminowana, aby zadbać o wyższe standardy działania banków. A co za tym idzie – o odbudowę zaufania do bankierów, którzy stali się po roku 2008 bodaj najbardziej zniechęconą przez ludzi częścią dzisiejszej elity. Ale to było złudzenie. Sprawnie działające lobby bankierów, choćby takie ukryte dotąd przed wzrokiem opinii „Ecofi”, nie zamierza na to pozwolić. Zwłaszcza, że najbardziej wpływowe w Unii rządy tak wyraźnie zdecydowały się stanąć po jego stronie. ●

BARTOSZ ŻYCIŃSKI

Powódź 2024 nie była kataklizmem tysiąclecia. *Ale zdarzyła się* zbyt blisko zimy

Ze wstępnych szacunków wynika, że środków na usunięcie skutków powodzi nie zabraknie. Przeciwnie – zadeklarowana przez rząd suma 23 mld zł powinna z nawiązką pokryć wszystkie straty spowodowane przez kataklizm we wrześniu 2024 r.

Choć zdarzeń, jakie rozegrały się przed miesiącem w południowo-zachodniej Polsce, nie sposób bagatelizować, to jednak trzeba przyznać, że tegoroczna powódź nie może się równać pod względem rozmiarów zniszczeń z kataklizmami z lat 1997 i 2010.

W przestrzeni publicznej krąży szacunki, według których straty spowodowane przez tegoroczne powodzie wynoszą od 3 do 5 mld zł, co stanowi – jak zauważa „Puls Biznesu” – około 0,1 proc. PKB Polski. Rzeczywiście, jeśli odnieść skalę strat do współczesnej wartości PKB naszego kraju, to można założyć, że Polska wyciągnęła jednak – przynajmniej w części – właściwą lekcję z „wielkiej wody” w 2010 roku, ale przede wszystkim z „powodzi tysiąclecia” z roku 1997. 27 lat temu, gdy pod wodą znalazły się dzielnice Wrocławia, wartość szkód oszacowano na 2,5 proc. ówczesnego PKB (dziś dałoby to 90 mld zł), a w 2010 r. szacunki mówiły o 1 proc., a więc obecnie byłoby to ok. 35 mld zł. Biorąc pod uwagę fakt, że zarówno w 1997, jak i 2010 r. spadła podobna ilość wody, to tak znaczące zmniejszenie strat powodziowych świadczy o tym, że jakieś wnioski wyciągnięto. Na pierwszy plan wysuwa się oczywiście budowa zbiorników retencyjnych, takich jak słynny dziś Racibórz Dolny, który po prostu uratował Wrocław przed zalaniem.

Straty i tak są ogromne

Niestety wciąż nie powstały wszystkie potrzebne w tamtym rejonie zbiorniki retencyjne, a dodatkowo

doszło do uszkodzeń infrastruktury hydrologicznej, z których najgorsze konsekwencje miało przerwanie wału w Stroniu Śląskim. W tym roku znacząco ucierpiały miejscowości takie jak Kłodzko, Łądek-Zdrój, Stronie Śląskie, Głuchołazy, Prudnik, Nysa, Bystrzyca Kłodzka, Szprotawa i Lewin Brzeski, z czego ten ostatni został zalany aż w 90 proc. Liczne wsie położone wzdłuż rzek doznały mniejszych lub większych zniszczeń. Woda uszkodziła również historyczne zabytki, m.in. XVI-wieczny most w Łądku-Zdroju, klasztor franciszkanów w Kłodzku oraz ogrodzenie zakładu „Frotex” w Prudniku. W Stroniu Śląskim fala powodziowa doszczętnie zniszczyła budynek Policji i Straży Miejskiej. Powódź spowodowała także ogromne straty w infrastrukturze kolejowej, prowadząc do przerwania ruchu pociągów na ważnych odcinkach, takich jak węzeł Kłodzko oraz linia Kamieniec Żąbkowicki–Paczków–Nysa–Prudnik. Największe zniszczenia miały miejsce w rejonie stacji Głuchołazy, gdzie deformacje torów uniemożliwiły ruch kolejowy. Kataklizm pochłonął życie dziewięciu osób.

Powódź 2024 r. pozostawiła po sobie nie tylko zniszczenia materialne, lecz również poważne wyzwania ekonomiczne dla regionów dotkniętych kataklizmem. Choć w odniesieniu do dzisiejszego PKB możemy mówić o relatywnie niższych stratach, to jednak nadal są one ogromne. Pierwsze dane sugerują, że koszty napraw infrastruktury w zalanych regionach mogą wynieść od 3 do 5 mld zł, choć pełne oszacowanie strat nastąpi po zakończeniu analizy zniszczeń. W skali

całego kraju, zwłaszcza na Dolnym Śląsku, konieczne będzie wzmocnienie wałów przeciwpowodziowych, co generuje dodatkowe koszty w wysokości około 700 mln zł. Istotnym i kosztownym elementem odbudowy będzie także modernizacja sieci energetycznych oraz wodociągowych.

Powódź spowodowała też ogromne zniszczenia w sektorze rolnym. Na terenach wiejskich zalanych zostało ponad 10 tys. ha upraw, a straty w plonach wynoszą w niektórych regionach do 40 proc. wszystkich gruntów ornych. Szacuje się, że straty w samym sektorze rolniczym mogą wynieść 500 mln zł, z czego około 200 mln zł to straty w uprawach, a reszta w hodowli zwierząt i infrastrukturze rolniczej. Powódź zakłóciła również funkcjonowanie rynków lokalnych, co musi doprowadzić do wzrostu cen żywności w ciągu najbliższych miesięcy.

2 mld wypłacą ubezpieczyciele, a rząd...

Na poziomie indywidualnym mieszkańcy dotkniętych regionów ponoszą poważne straty w swoich gospodarstwach domowych. Szacuje się, że ponad 15 tys. domów zostało zalanych, a w miastach takich jak Lewin Brzeski ponad 70 proc. mieszkańców straciło mienie o wartości od kilku tysięcy do kilkuset tysięcy złotych. Wartość odszkodowań, jakie firmy ubezpieczeniowe będą musiały wypłacić, powinna przekroczyć 2 mld zł.

Rząd zareagował na katastrofę, wprowadzając specustawę powodziową oraz tworząc programy pomocowe. Na mocy tej ustawy budżet państwa ma przeznaczyć około 1,5 mld zł na doraźną pomoc, w tym na odbudowę infrastruktury, wsparcie dla rolników oraz mieszkańców regionów dotkniętych powodzią. W ramach specustawy ofiarom powodzi przyznano jednorazowe zasiłki na odbudowę domów i mieszkań, które wynoszą od 20 do 200 tys. zł w zależności od skali zniszczeń. Lwia część środków na odbudowę (5 mld euro) ma jednak pochodzić z Funduszu Spójności, w którym ma dojść do przesunięcia tej należnej Polsce kwoty z innych zadań. Mówiąc wprost, jedyna pomoc z Brukseli polega na udzieleniu zgody, aby przyznane naszemu krajowi dużo wcześniej fundusze przeznaczyć na usuwanie skutków powodzi.

Powódź wpłynęła również na lokalne rynki pracy. W regionach dotkniętych katastrofą wiele zakładów, zwłaszcza w sektorze przemysłowym i rolniczym, musiało tymczasowo zawiesić działalność. Według pierwszych szacunków bezrobocie w regionach najbardziej dotkniętych powodzią może wzrosnąć o 2-3 proc. Oczywiście w dłuższej perspektywie czasowej powódź może paradoksalnie stać się impulsem do wzrostu gospodarczego, dzięki znaczącym inwestycjom w odbudowę zniszczonych terenów. Przewiduje się, że wartość



Fot. Mat. prasowe

całkowitych inwestycji w odbudowę infrastruktury przekroczy 10 mld zł w ciągu następnych pięciu lat.

Padalo zbyt późno

Największym problemem tegorocznej powodzi i tym, co najbardziej odróżniło ją od kataklizmów z lat 1997 i 2010, była pora roku, w jakiej z chmur uformowanych przez tzw. niż genueński spadł obfity deszcz. W 1997 r. do zalania południowo-zachodniej Polski doszło w lipcu, w 2010 żywioł uderzył w drugiej połowie maja. Oznacza to, że w obu przypadkach poszkodowani mieli przed sobą dużo ciepłych dni na spokojne naprawianie swoich domów. W tym roku tego czasu nie ma, więc choć zniszczenia są w wymiarze materialnym mniejsze, to ich skutki są znacznie bardziej tragiczne dla tych, którzy ucierpieli. Z zalanych miejscowości słychać dziś chociażby skargi na opieszałość w działaniu udzielenia państwowej pomocy czy dokonywania oceny szkód przez ubezpieczycieli. Poszkodowani donoszą, że często muszą czekać tygodniami na stosowne komisje, które zdecydują o wysokości zapomóg i odszkodowań dopiero po ocenie skali zniszczeń. Oznacza to, że wiele osób waha się, czy przystąpić do szybkiej odbudowy swoich domostw, w obawie, że nie dostaną rekompensaty za prace wykonane przed przybyciem rzeczoznawców. Tymczasem w październiku nocne przymrozki nie należą do rzadkości, szybkie tempo prac jest więc koniecznością. Skoro zatem ogół strat w infrastrukturze publicznej i prywatnej nie powinien przekroczyć 10 mld zł, a skala zapowiadanej pomocy jest ponad dwukrotnie wyższa, tym bardziej trudno zrozumieć zwłokę w dystrybucji pieniędzy potrzebnych poszkodowanym. To właśnie sprawność w usuwaniu skutków tegorocznej powodzi, a nie szacunek strat w odniesieniu do PKB, pozwoli po latach właściwie ocenić skalę tragedii, jaka rozegrała się we wrześniu 2024 r.

ROZMAWIALI

MACIEJ WOŚKO I STANISŁAW KOCZOT

Polska najwyraźniej zaciągnęła ręczny hamulec

Strategia głębokiego rozliczenia przeszłości sprawia, że wielka armia ludzi odpowiedzialnych za gospodarkę dostaje sygnał, iż lepiej się nie wychylać, bo być może ci, którzy po nas przyjdą, pójdą jeszcze głębiej, rozliczą jeszcze mocniej – mówi Jadwiga Emilewicz, wicepremier w rządzie Mateusza Morawieckiego, była minister rozwoju, współautorka Tarczy Finansowej i Antykryzysowej dla firm zmagających się z kryzysem podczas pandemii COVID-19

Na początku pandemii, w 2020 roku, ministerstwa błyskawicznie stworzyły jednolitą platformę współpracy, a my, obywatele, przedsiębiorcy, dostawaliśmy jasne, przemyślane i wypracowane rozwiązania. W tym roku, podczas powodzi w południowo-zachodnich regionach Polski, zarządzanie kryzysowe wyglądało inaczej, a posiedzenia kryzysowe rządu podczas ostatniej powodzi nie robiły wrażenia zbyt profesjonalnego kanału komunikacji. Jakie pani miała przemyślenia, obserwując transmisje z posiedzeń sztabu, tej „przeprytawanki” premiera, połażanek urzędników?

Jadwiga Emilewicz: Oba te kryzysy mają różny charakter. Powódź jest gwałtowna, bezpośrednio dotyka

mieszkańców, zabiera dorobek całego życia... Pojawia się konieczność współpracy wszystkich służb, by zapewnić w pierwszej kolejności fizyczne bezpieczeństwo. Kryzys pandemiczny rozwijał się nieco inaczej. To prawda, że sytuacja była wówczas zaskakująca, paraliżowała życie gospodarcze, jednak jej konsekwencje pojawiały się z wolna, w dłuższym okresie. Były ogromne, dotyczyły finalnie każdego z nas, ale czas na reakcję był dłuższy. To dwa różne kryzysy – pandemiczny i powodziowy – nie chciałabym więc oceniać w tej chwili sposobu zarządzania obecnego rządu.

Co pani sądzi o wsparciu ze strony Unii Europejskiej przeznaczonym na walkę ze skutkami powodzi? Miliardy euro mogą robić wrażenie...

Nie są to dodatkowe środki, tylko możliwość przełożenia ich z jednej kieszeni do drugiej. To jednak oznacza, że dzięki pieniądзом z Unii dotacja dla powodziaków będzie 100-procentowa, a nie 80- czy 90-procentowa. Ścieżka wydatkowania unijnych środków też stanie się szybsza. Oczekiwałam jednak więcej. Fundusz Solidarnościowy Unii Europejskiej mógłby być hojniejszy, ale aktywności w tym względzie ze strony polskiej widzę niewiele. Trudno powiedzieć, kto w rządzie odpowiada za politykę europejską, i to nie tylko w kontekście powodzi. Kiedy myślimy o przygotowaniach do prezydentury [Polska od 1 stycznia 2025 r. przez sześć miesięcy będzie sprawować prezydenturę w Radzie Unii Europejskiej – red.], to też właściwie nie wiemy, gdzie jest centrum programowania. Czy jest nim osobiście pan premier, czy pan minister Szłapka, czy pan minister Sikorski? Dziś nie wiemy, kto za to odpowiada. Nie wiemy również, kto jest liderem w rozmowach z Unią o środkach dla powodziaków.

Może dlatego, że wróciła taka Polska resortowa, nie ma chętnych do wysuwania się na czoło, ministrowie wolą pozostawać z boku?

Ale to premier Donald Tusk wysunął się zdecydowanie na prowadzenie jako lider zarządzania kryzysowego! W geście jak z „Alicji w Krainie Czarów”, gdy Królowa Kier mówi: „Ściąć go!”, na posiedzeniach sztabów premier rozliczał i zwalniał samorządowców. Ten jego styl bardzo mi ją przypomina. Powiedziałabym więc, że całkowitą odpowiedzialność wziął osobiście na siebie pan premier, co pewnie w zarządzaniu w sytuacji kryzysowej jest dobre, ale... Czekam na materiał, który pozwoli to ocenić. Porównywałam sposób zarządzania w Czechach i okazało się, że tam sztaby kryzysowe pracowały już dwa tygodnie przed wielką wodą. Dzisiaj u naszych południowych sąsiadów nie dyskutuje się o odszkodowaniach dla obywateli czy dla przedsiębiorców, ponieważ rząd odpowiednio wcześniej informował,

”

Trudno powiedzieć, kto w rządzie odpowiada za politykę europejską, i to nie tylko w kontekście powodzi

skąd należy usunąć mienie. Jeżeli te informacje dotarły w odpowiednim czasie, czeski rząd nie czuje się zobowiązany do zrekompensowania strat. W Polsce prawdopodobnie koszt ten będzie musiał być przeniesiony na Skarb Państwa.

Z drugiej strony mieliśmy do czynienia ze zrywem społecznym, z realną pomocą niesioną przez Polaków praktycznie z całego kraju. Byliśmy też świadkami takiej oto sytuacji, kiedy premier Donald Tusk wskazał na jedną znaną organizację, na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, która taką pomoc potrafi zorganizować. Czy nie był to taki symboliczny gest wycofania się państwa z działań, które de facto należą do jego obowiązków?

Zryw społeczny nie jest niczym złym. Oznacza, że mamy w Polsce dobrze rozwinięte społeczeństwo obywatelskie. Przy temperaturze politycznego sporu sięgającej zenitu, kiedy wydaje się, że pozabijamy się na ulicach z najdrobniejszego powodu, okazuje się, że w sytuacji kryzysowej jesteśmy w stanie nieść pomoc, nie patrząc na poglądy. Gen Solidarności przetrwał i odnawia się w sytuacjach trudnych. To dobrze. Ale zgadzam się, że aktywność społeczna nie może zastępować państwa. To dwa równoległe, superistotne filary. Bardzo ważny jest filar społeczny, ale może jedynie uzupełnić działalność instytucji publicznych. Rządowy pakiet pomocowy jest dobrym ruchem, podobnie jak decyzja ministra finansów dotycząca zwolnienia z podatków tych wszystkich, którzy dostarczają na tereny objęte powodzią to, co niezbędne – wodę, produkty spożywcze, usługi transportowe. Problem zaczyna się wtedy, kiedy z niezrozumiałych względów władza wskazuje jedną organizację pozarządową z „licencją” na pomaganie. I to nie tylko dlatego, że wskazana przez premiera Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy w ostatnich latach niejednokrotnie w jednoznaczny sposób angażowała się politycznie, lecz przede wszystkim dlatego, że w ten sposób pominiętych zostaje gros organizacji, takich jak Caritas, Szlachetna Paczka, Fundacja Świętego Mikołaja, od lat zaangażowanych we wsparcie potrzebujących. To bardzo nieprofesjonalne, kiedy premier występuje tylko z jedną z nich. Uważam, że był to błąd. Powtórzę jeszcze raz – organizacja społeczna nie może zastąpić państwa, którego aktywność w sytuacji kryzysowej ma znaczenie fundamentalne. Myślę, że

warto skorzystać z tych doświadczeń, które ponad podziałami politycznymi przyjmowaliśmy w Sejmie w czasie pandemii, wykorzystując wówczas takie instytucje jak Polski Fundusz Rozwoju, Bank Gospodarstwa Krajowego – jeden skierowany bardziej do sektora prywatnego, drugi do samorządów, i Zakład Ubezpieczeń Społecznych, aby nieść pomoc indywidualną. Te ścieżki mamy przecież przetarte. Wiemy, które zadziałały i z których schematów warto skorzystać także tym razem.

I to właśnie było chyba najbardziej zaskakujące, że przecież te ścieżki, procedury, pomysły zostały już wypracowane i nagle się okazało się, że gdy wybuchła powódź, odłożono je ad acta. I druga rzecz: w czasie pandemii technologia przyszła nam z pomocą, a teraz, w sytuacji kryzysowej, została gdzieś z boku, nie została realnie wykorzystana nawet wtedy, gdy zapowiadała zbliżającą się katastrofę. Obecny rząd jakby zaczynał wszystko od nowa...

Po prawie roku urzędowania obecny gabinet ma kłopoty z realizacją nie tylko 100 obietnic, lecz również umowy koalicyjnej. Znalezienie konsensusu w ramach koalicji jest bardzo trudne. Zamiast realizacji zapisów umowy mamy do czynienia z wypełnianiem jednej z obietnic wyborczych, jaką było rozliczanie naszego obozu. W związku z tym, że wszystko, co robiliśmy, było – według obecnego rządu – złe, towarzyszy mu duży strach przed skorzystaniem z naszych rozwiązań, które leżą na stole. A to przecież dorobek administracyjny, który zostawiliśmy następcom, by służył wszystkim Polakom. Nie ma powodu, by z niego nie korzystać, zwłaszcza że był on jednoznacznie dobrze oceniony. Jeszcze raz przypomnę – rozwiązania uchwaliliśmy ponad podziałami politycznymi. Autorami tych rozwiązań mogą się przecież czuć także dzisiejsi rządzący. Ścieżka wsparcia przedsiębiorców jest gotowa, banki też na nią przygotowane, bo z nimi wypracowaliśmy rozwiązania. Dzisiaj nikt nie ma wątpliwości co do tarcz. Wystarczy sięgnąć po konkluzje Najwyższej Izby Kontroli. Nie ma wątpliwości co do zasadności sposobu wydatkowania tych środków.

Cztery lata temu w wywiadzie dla tygodnika „Sieci” powiedziała pani o pewnej zmianie, która wtedy się dokonywała, czyli o przejściu z „polityki tarczy” do „polityki miecza”. Chodziło oczywiście o inwestycje. Tych inwestycji bardzo potrzebujemy. Nasz PKB rośnie, ale on cały czas buduje konsumpcję, nie mamy inwestycji. Potrzebujemy powrotu do tej „polityki miecza”?

Zdajemy sobie sprawę, że na sytuację gospodarczą Polski ogromny wpływ ma to, co się dzieje u naszych największych partnerów gospodarczych. Kryzys w Unii Europejskiej odbija się echem także w Polsce, choć w znacznie mniejszym stopniu niż kilkanaście lat temu, bo odporność polskiej gospodarki, jak się

wyduje, jest wyższa. Myślę, że wielu ministrów finansów w Europie, nasz minister również, zastanawia się nad tym, jak rozbudzić apetyt inwestycyjny polskich przedsiębiorców. Bo to, że mają odpowiednie zasoby, jest oczywiste. Na pewno nie sprzyjają temu częste zmiany ustawodawcze. Kilka dni temu rozmawiałam z jednym z dużych przedsiębiorców o fundacji rodzinnej, dorobku ustawowym sprzed dwóch lat. Wydaje się, że fundacje rodzinne to sukces legislacyjny, ponieważ mamy ich dziś ponad 1,2 tys., są one zakładane przez polskie podmioty gospodarcze przygotowujące się do sukcesji. Przedsiębiorca, którego wspomniałam, ma fundację zarejestrowaną w Liechtensteinie. Rozważał przeniesienie do Polski, ale minister finansów niedawno zapowiedział zmianę w rozliczeniach podatkowych, zniechęcając mojego rozmówcę do zmiany. Drugi wątek, nie mniej istotny, nagłaśniany przez innego dużego polskiego przedsiębiorcę, powiedziała bym – przedsiębiorcę celebrytę. Zwraca on uwagę na to, że rodzime firmy płacą CIT w Polsce, a zagraniczne, które korzystają z naszego prawie 40-milionowego rynku, często płacą podatki w swoim macierzystym kraju, a nie w Polsce. Jest więc kilka wątków, które powinniśmy wziąć pod uwagę, zastanawiając się nad tym, jak sprawić, by przedsiębiorcy chcieli w Polsce inwestować, a także, by nie chcieli się od nas wycofywać. Ostatnie pół roku to fala złych informacji, jeżeli chodzi o inwestycje. Podstawową aktywnością Ministerstwa Przemysłu i Ministerstwa Finansów powinien być aktywny dialog z rynkiem, którego – jak jaskółki donoszą – dzisiaj praktycznie nie ma.

Z inwestycjami wiązą się fundusze unijne. To przesunięcie środków na powódź z jednej kieszeni do drugiej nie jest chyba taką neutralną zmianą, bo przecież te pieniądze miały być przeznaczone na ważne projekty związane z transformacją energetyczną, innowacjami, jednym słowem: z inwestowaniem w te dziedziny naszej gospodarki, które pozwalają jej na rozwój.

Tak, to jest strata, ale – jak uczy doświadczenie – od początku naszego członkostwa w Unii Europejskiej zawsze pozostawała pewna liczba projektów, które z różnych powodów nie mogły być dokończone albo nawet rozpoczęte. Wówczas przepadały. Mam nadzieję, że tym razem mówimy tylko o przesuwaniu środków z tych projektów, które i tak nie byłyby zrealizowane, co oczywiście też nie jest dobrą wiadomością. Przekonamy się, czy tak rzeczywiście będzie, kiedy wyjdą komunikaty pani Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, minister funduszy i polityki regionalnej. Zobaczymy, z jakiego źródła będą pochodziły środki przesunięte na odbudowę po powodzi Polski południowo-zachodniej. Natomiast myślę, że ważniejsze jest jeszcze co innego: polski obrót gospodarczy w największym stopniu zależy od jednolitego rynku europejskiego, a diagnoza Mario Draghiego, przed-

”

Porównywałam sposób zarządzania w Czechach i okazało się, że tam sztaby kryzysowe pracowały już dwa tygodnie przed wielką wodą



stawiona w raporcie poświęconym konkurencyjności Unii, jest bardzo pesymistyczna. Draghi głośno powiedział, że król jest nagi. Unia wzięła na siebie bardzo duże zobowiązania regulacyjne. Miały one wyznaczyć nowy horyzont rozwojowy biznesu. Okazuje się on jednak ślepą uliczką. Na przykład wodór miał być paliwem przyszłości... Owszem, może kiedyś będzie, ale na razie tak się nie dzieje. Potrzebujemy bardzo dużo energii – której nie mamy – by go wyprodukować. Panele fotowoltaiczne czy technologie związane z energetyką wiatrową miały być ucieczką do przodu. Tymczasem to nie niemiecki Siemens ani duński Vestas, ale chińscy producenci są na wyższym poziomie technologicznym. I to Chińczycy będą dostarczać turbiny wiatrowe do Europy. Trzy lata temu swoją produkcję na Starym Kontynencie zamknął ostatni producent paneli fotowoltaicznych, a to znaczy, że technologia, za opracowanie której zapłaciła Europa, trafiła do Chin i teraz powraca do nas – odpłatnie. Dlaczego? Bo koszt produkcji jest nie do udźwignięcia dla europejskiego biznesu, dlatego przegrywa on w konkurencji z firmami z Azji. Podobnie z magazynami energii, których największymi producentami – jak się okazuje – również są Chiny, bo to one są właścicielami złóż kryjących pierwiastki ziem rzadkich, niezbędnych do produkcji baterii. Chcemy być niezależni od ropy, od gazu, a uzależniamy się od

magazynów energii. Unia Europejska zawiązała sobie regulacyjną pętlę, wyznaczyła trendy, ale to nie ona jest ich beneficjentem. Do tego warunki społeczne, w jakich żyje pracownik w Europie – które chcemy utrzymać, ponieważ są dużo korzystniejsze niż w Azji, ale też w Stanach Zjednoczonych – sprawiają, że koszty pracy stają się bardzo wysokie. Technologie wypuściliśmy poza Europę, podnieśliśmy koszty pracy i jak chcemy znowu wejść na ścieżkę wzrostu?

Przydałaby się rozsądna strategia gospodarcza, której ciągle nie mamy ani w Polsce, ani w Unii Europejskiej...

...mamy za to panią przewodniczącą Komisji, która mówi: zazieleniaj się albo giń. I jeszcze jedną komisarz z Hiszpanii, która będzie odpowiadała między innymi za energetykę, a jest radykalną przeciwniczką atomu. Jestem ciekawa, co będzie miała do powiedzenia polska prezydencja w obszarze przemysłu i energii. W tej perspektywie finansowej będzie to pierwsza merytoryczna prezydencja; pierwsza, która nie zajmie się mówieniem, o czym mamy rozmawiać przez siedem lat, ale ma szansę położyć realnie coś na stole.

Czy rzeczywiście tak będzie? Z bardzo ofensywnej strategii gospodarczej poprzedniego rządu przeszliśmy do defensywy. Komunikaty dotyczące gospodarki, które

słyszemy ze strony obecnego rządu, sygnalizują raczej obronę przed czymś, okopanie się na swoich pozycjach, a nie wyjście do przodu. Nawet kwestie związane z pozyskiwaniem inwestycji sprowadzają się do zatrzymania inwestorów w Polsce, a nie zdobywania nowych.

To nie tylko politycy głównego nurtu prowadzą dialog z biznesem. Dzieje się to na każdym poziomie zarządzania państwem – dyrektorów, naczelników... Jako minister odpowiedzialny za gospodarkę byłam wspierana na każdym etapie przez współpracowników każdego urzędniczego szczebla. Sama mogłam otworzyć drzwi, ale tylko po to, aby były one cały czas otwarte, aby istniał dialog, aby inwestor naprawdę chciał przyjść do naszego kraju – właśnie ze względu na jakość obsługi. Ten biznesowy „concierge” musiał działać na każdym poziomie.

Dzisiaj strategia głębokiego rozliczenia przeszłości sprawia, że wielka armia ludzi odpowiedzialnych za gospodarkę dostaje sygnał, iż lepiej się nie wychylać, bo być może ci, którzy po nas przyjdą, pójdą jeszcze głębiej, rozliczą jeszcze mocniej. Wszyscy ci ludzie zaciągnęli dzisiaj hamulec ręczny. Współczuję wielu z nich, bo są to bardzo kompetentni pracownicy, którzy dziś pracują poniżej swego potencjału. Myślę, że mają bardzo dużo obaw przed otwartym dialogiem ze światem zewnętrznym. Jeżeli chodzi o wyższy, strategiczny poziom zarządzania, to uważam, że rządzi nim strategia „małych kroków”. Najlepiej widać to na przykładzie dyskusji wokół Centralnego Portu Komunikacyjnego. Przypięcie przez rządzących do tego projektu łąty „megalomania PiS-owska” skutkuje stanowiskiem, wedle którego dziś nie potrzebujemy projektów dużych i wymagających. Przedstawiciele rządu przyznają otwarcie, że ich zdaniem jesteśmy „średniakiem” i to, czego potrzebujemy, to garnitur z second handu. Wydaje mi się, że lider rządu, który znaczną część minionych ośmiu lat spędził poza Polską, być może nie rozumie, jak bardzo się w tym czasie zmieniliśmy. Można to zaobserwować w danych makroekonomicznych, ale także patrząc na polskie średnie i duże firmy, które stać dzisiaj na ekspansję zagraniczną. Widzę tu jakieś głębokie niezrozumienie tego, że Polska 2024 jest inna niż Polska 2015. Dobrym tego świadectwem

”

Przedstawiciele rządu przyznają otwarcie, że ich zdaniem jesteśmy „średniakiem” i to, czego potrzebujemy, to garnitur z second handu

był list przedsiębiorców w sprawie CPK, a nie są to przecież wyborcy Prawa i Sprawiedliwości. Polski biznes powiedział, że chce czegoś od państwa polskiego, ale nie chodzi mu o obniżenie podatków czy o dogadanie się ze „skarbowką”, tylko o coś bardzo istotnego – by mógł się rozwijać. Nie tylko chce CPK, lecz jeszcze do tego zakontraktuje pierwsze 100 frachtów. Jednym słowem, biznes dał konkretny sygnał, że są klienci do tego projektu. Liczę na to, że tego typu odważne gesty przedsiębiorców zachęcą i pana premiera, i ministra finansów, by usiąść do okrągłego stołu z biznesem i umówić się na Polskę.

Trójmorze, jak można przypuszczać, czeka na wyniki wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Od nich pewnie będą zależały w dużej mierze dalsze losy tego projektu, który jest przecież wielką szansą dla Polski i całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Trójmorze to projekt gospodarczy i geopolityczny. Jest on dzisiaj potrzebny Polsce ze względu na strategiczne bezpieczeństwo państwa. Zakładam, że ci, którzy w obecnym rządzie zajmują się geopolityką, naprawdę to rozumieją. Jeśli chcą ten projekt nazwać sobie inaczej, bo uważają, że Trójmorze to PiS czy prezydent Andrzej Duda, to niech tak zrobią. Natomiast jego porzucenie byłoby dużym błędem polskiej dyplomacji. Wiemy, że potrzebujemy znacznie więcej inwestycji na osi Północ-Południe niż tylko Via Carpatia. Trójmorze to nie tylko połączenia drogowe, kolejowe, lecz i energetyczne. Bez względu na napięcia, które mamy w stosunkach z Ukrainą, wiemy, że w interesie Polski jest posiadanie za naszą wschodnią granicą sąsiada, który jest zainteresowany bardziej byciem częścią Zachodu niż Wschodu. Trójmorze ma moc przyciągania. Inwestycje w Trójmorze są konieczne, ale dziś nie ma na nie środków w żadnym znanym źródle finansowania. Ani w unijnej perspektywie finansowej, ani w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju. Potrzebne jest więc stworzenie wehikułu finansowego, służącego do realizacji dużych inwestycji infrastrukturalnych w tej części Europy. Liderem w tym obszarze może być tylko Polska, ponieważ w regionie jesteśmy najwięksi. Zainteresowanie Polską, w związku z sytuacją na Ukrainie, wyrażają nie tylko Stany Zjednoczone, lecz także Korea Południowa, Japonia, Australia, Kanada. Inwestorzy pochodzący z tych państw rozumieją polską jurysdykcję, ponieważ są tu obecni od dawna i czują się tu bezpiecznie. Są gotowi ulokować tu swój kapitał w perspektywie długoterminowych inwestycji Północ-Południe. Ponieważ środków na takie cele dziś w Unii Europejskiej nie ma, musimy przyciągać biznes spoza Europy i stworzyć wehikuł finansowania. Rezygnacja z Trójmorza byłaby zatem błędem strategicznym. Nie wierzę, aby ktokolwiek w dzisiejszym rządzie mógł sobie na to pozwolić. ●

RYSZARD CZARNECKI

europoseł 2004–2024,
w latach 2014–2018 wiceprzewodniczący
Parlamentu Europejskiego

Turcja Chinami Europy?

Takie właśnie stwierdzenie – bez znaku zapytania – usłyszałem w Mediolanie od obywatela jednego z krajów członkowskich UE, ale nie był to Włoch. Czy tak będzie? Póki co w ciągu ostatniego ćwierćwiecza Ankara niepomrotnie rozszerzyła swoje wpływy w tradycyjnej strefie wpływów Rosji i ostatnio Chin, czyli w postsowieckiej Azji. Bardzo pomogła również wygrać Azerbejdżanowi wojnę z Armenią (presja polityczno-dyplomatyczna, ale przede wszystkim militarna, w tym słynne tureckie drony Bajraktary!).

Gdyby nagle, wbrew woli Niemiec i Francji, Turcja znalazła się w Unii Europejskiej, byłaby w niej największym państwem obok naszego zachodniego sąsiada. Tak się nie stanie, bo właśnie z tego powodu Berlin i Paryż od lat nie chcą do tego dopuścić – ale to pokazuje siłę Ankary.

Kraj ten w ostatnich dwóch dekadach, czyli w pewnym uproszczeniu w „erze Erdoğan” (najpierw jako premiera, potem jako prezydenta), postawił na wielkie państwowe inwestycje i olbrzymi rozwój przemysłu zbrojeniowego. Obecna – wręcz kosmiczna, bo sięgająca od miesięcy ponad 70 proc. – inflacja wcale nie zahamowała wielkich projektów infrastrukturalnych. Na terytorium państwa położonego geograficznie tylko w minimalnym stopniu w Europie, a przede wszystkim w Azji, buduje się lotniska i porty dla kontenerowców, koryguje koryta rzek, podnosi się kraj na wyższy poziom cywilizacyjny.

Piszę te słowa między jednym a drugim wyjazdem do Turcji. Widziałem właśnie, jak wielką wagę przywiązują władze w Ankarze do inwestowania w tzw. prowincję. Wspierają lokalne, małe firmy turystyczne, ale też budują porty lotnicze, aby uniknąć „wykluczenia komunikacyjnego” – nawet jeśli liczba lotów w mieście Rize, w pobliżu granicy z Turcją, zamyka się w może raptem dziesięciu w dzień powszedni.

Zwiedzam fabrykę herbaty – narodowego napoju Turków w stolicy, ale też w Stambule (niegdyś był to chrześcijański Konstantynopol...) i daleko, daleko od politycznego centrum kraju. Menedżer podkreśla, że pracują w niej wyłącznie Turcy. Wie, że w większości krajów Europy w podobnych zakładach pracuje sporo przybyszów z innych kontynentów.

Składiną Turcja ma też relatywnie bardzo dużą liczbę imigrantów, głównie z Syrii i Iraku. Tyle, że potrafiła skutecznie zaszantażować Unię Europejską, że jeśli nie otrzyma z tego tytułu znaczących środków, to...

wypuści te niespełna 2 mln ludzi z Bliskiego Wschodu do państw UE. No i Ankara otrzymała w dwóch ratach 6 mld euro, a więc nieporównywalnie więcej niż Polska po ugoszczeniu większej liczby (2,5 mln) realnych uchodźców wojennych z Ukrainy...

Tutejsi politycy mają ciekawe pomysły. Zostałem zaproszony na wspólną konferencję prasową przy... wodospadzie! W regionie Rize, gdzie przebywałem kilka dni, takich cudów natury jest więcej. Nic dziwnego, że władze w Ankarze mocno wspierają rozwój turystyki w regionie, który graniczy z Gruzją – tyle, że jest od niej znacznie bogatszy.

Wszędzie widać minarety – mniejsze czy większe, ale wciśnięte w krajobraz islamskiego kraju. Nieraz w czasie tej wizyty słyszę głosy muezzinów nawołujących wyznawców Allaha. I jakoś nie budzi to kontrowersji. Ci, którzy nie wierzą w Allaha, nie dzwonią na policję ze skargą. Mniejszości szanują prawa większości. Ciekawe, czyż nie? Tak samo jak fakt, że miejscowi szanują swoją religię, nawet jeśli nie zawsze jej przestrzegają.

No i wreszcie nie wstydzą się swojego patriotyzmu: widać tu bardzo dużo tureckich flag – charakterystycznych czerwonych z białym półksiężycem i białą gwiazdą. Wiszą na budynkach państwowych i prywatnych. W tym kraju nie było i nie ma prawa ograniczającego eksponowanie w przestrzeni publicznej barw narodowych – jak do niedawna miało to miejsce w Polsce. ●

”

Gdyby nagle, wbrew woli Niemiec i Francji, Turcja znalazła się w Unii Europejskiej, byłaby w niej największym państwem obok naszego zachodniego sąsiada

wydarzenia

Raporty & Analizy & Firmy



foto: Ludmyla Kazakova

ROZMAWIAŁ
MACIEJ WOŚKO

Gdyby inwestycje wziąć *tak naprawdę* na serio...

O losach największej i najważniejszej inwestycji w Polsce – Centralnego Portu Komunikacyjnego – i projekcie kolejowych szprych, z którego został tylko „Y”, o politycznej walce, cenie porozumień ponad podziałami i prawdziwych kosztach opóźnień oraz markowania działań rozwojowych mówi nam Marcin Horała, poseł, były wiceminister w resorcie funduszy i polityki regionalnej, były pełnomocnik rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego

Chciałbym zacząć od wypowiedzi prof. Witolda Orłowskiego, który bez ogródek oznajmił, że „CPK, tak jak został zapisany, jest bzdurą. Po prostu ludzie nie będą z tego korzystać. Ludzie ze Szczecina, zamiast wsiąść w samochód i jechać do Berlina na lotnisko, siedzieliby trzy godziny, żeby podjechać do Baranowa z powodów patriotycznych?”. Jak pan to skomentuje?

Marcin Horała: Cała ta wypowiedź pana profesora jest na żenującym wręcz poziomie. Ktoś z tytułem naukowym powinien najpierw zaczerpnąć elementarnej wiedzy w temacie, w którym się wypowiada, albo po prostu się nie wypowiadać. Kto mówi o patriotycznych pobudkach przy wyborze lotniska? Trzeba jasno powiedzieć – po prostu nie mamy w Polsce lotniska hubowego. Co ciekawe, takim lotniskiem hubowym nie jest też Berlin, bo w Niemczech to akurat Frankfurt i Monachium. I jeśli ktoś się zdecyduje, by wybrać lot z CPK, wybierze ten kierunek, dlatego że będzie taniej, wygodniej i szybciej. Jeżeli będziemy mieli w Polsce duże lotnisko, które agreguje dostateczny ruch i w związku z tym oferuje cały szereg połączeń na świecie, których nie mamy – to Polacy wybiorą podróż z Polski. Nawet ten hipotetyczny mieszkaniec Szczecina będzie miał do wyboru jechać trzy godziny pociągiem do Baranowa, skąd wsiądzie sobie w samolot na przykład do Tokio albo do Szanghaju czy gdziekolwiek chce lecieć, lub – zgodnie z tym, co mówi prof. Orłowski, może pojechać dwie godziny samochodem do Berlina po to, by tam wsiąść

w samolot, którym poleci do Frankfurtu, żeby tam złapać samolot, którym poleci na przykład do Tokio czy Szanghaju, lecąc nad Polską... Zatem wybierze tę opcję przez CPK nie ze względu na patriotyczne czy inne pobudki, ale dlatego, że tak będzie po prostu szybciej, taniej i wygodniej, mniej przesiadek. I tyle... Po prostu trzeba mieć jakieś pojęcie o tym, jak wygląda rynek lotniczy, żeby to dostrzec, jakieś absolutnie minimalne pojęcie już wystarczy... A pan profesor niestety postanowił zachować się zgodnie z maksymą: nie znam się, ale się wypowiem.

A jak długo będziemy jeszcze słyszeli o megalomanii Prawa i Sprawiedliwości w kontekście tej inwestycji? Mam wrażenie, że to jest argument padający na jednym wydechu, gdy mowa o projekcie Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Jak długo, tego nie wiem, bo to pytanie do tych, którzy używają tego argumentu. I pytanie, czy to wynika z ich niewiedzy, czy po prostu celowej manipulacji. Jeśli z niewiedzy, to jest cień szansy, że gdy się dowiedzą, to przestaną w ten sposób się wypowiadać. Port Lotniczy Chopina to dziś czwarta dziesiątka lotnisk w Europie, mniej więcej 32.-34. lotnisko co do wielkości w Europie. Dużo większe lotniska od Warszawy mają na przykład Helsinki, czyli stolica pięciomilionowej Finlandii, czy Wiedeń, czyli stolica dziewięciomilionowej Austrii. Z kolei CPK w tym pierwszym planowanym przez nas etapie uplasuje się

mniej więcej na pozycji 12. lotniska w Europie. Stawiam więc pytanie: czy dla piątego kraju Unii Europejskiej chęć posiadania 12., nie 32. co do wielkości lotniska w Europie to jest megalomania? Oczywiście nie.

A nie jest tak, że to komentujący czy wypowiadający się na ten temat popełniają błąd, skupiając się na ruchu pasażerskim, zapominając o – moim zdaniem – ważniejszej części, czyli kwestii lotniska cargo, lotniska hubowego, przyjmującego też ruch towarowy, który w tej chwili płynie przez niemieckie lotniska?

Trudno powiedzieć... Nie stawiałbym takich kwantifikatorów, które lotnisko i jaki ruch jest akurat ważniejszy czy mniej ważny. Oba są oczywiście ważne i zyskowne, przynoszące korzyści. Ale to z pewnością kolejny element, o którym trzeba pamiętać – że obecnie 80 proc. polskiego cargo lotniczego, eksportu z Polski, importu do Polski, który odbywa się drogą lotniczą, jest obsługiwane przez lotniska leżące poza naszym krajem. To gotowy biznes, gotowy rynek generowany przez polską gospodarkę, który wystarczy u nas obsłużyć. Ale nie mamy jak. Wszystkie związane z tym pożytki – miejsca pracy, wpływy z podatków – nie trafiają dziś do Polski, do polskich firm, do polskiego budżetu, do polskich pracowników. Więc znów... Aż trudno uwierzyć, że ktoś może być takim dyletantem, by tego nie dostrzegać i nie rozumieć, bo sprawa jest naprawdę niezwykle prosta.

Pamiętam naszą rozmowę na temat centralnego systemu komunikacyjnego, który miał powstać dzięki CPK. Z ambitnego projektu szprych kolejowych został właściwie już tylko „Y”. To łamie tę podstawę projektu komunikacyjnego, taką dziejową zmianę „porozbiorowej” sieci kolejowej w Polsce?

Jeżeli by tak miało być, że zostanie tylko „Y”, to tak. Obecnie rządzący mówią, że nie wykluczają, iż być może kiedyś, w przyszłości, inne połączenia zostaną wykonane. Ale dowiemy się tego po... 2040 roku. Cóż, ja nie jestem jeszcze aż taki stary, a mam obawy, czy dożyję tego momentu... Zaprojektowany przez nas system kolejowy był wynikiem wieloletnich prac badawczych, analitycznych, symulacji, które analizowały wszystkie przepływy towarowe i pasażerskie. Był oparty na takich kilku fundamentalnych założeniach, że niemal z całego terenu kraju w dwie-dwie i pół godziny da się dotrzeć do CPK, do Warszawy. Dalej, że przytłaczająca większość obecnie nieskomunikowanych miast, mających po kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, powinna uzyskać dostęp do kolei. Także, że niemal wszyscy Polacy powinni mieszkać w zasięgu do 30 minut dostępu do stacji kolejowej, z której jest co najmniej kilka dobrych, szybkich połączeń krajowych. Krótko mówiąc, to był spójny, komplementarny system realizujący na takim

”

Nie mamy w Polsce lotniska hubowego.

Takim lotniskiem hubowym nie jest też Berlin, bo w Niemczech to akurat Frankfurt i Monachium

najwyższym światowym poziomie potrzeby transportowe państwa. Obcięcie go tylko do „Y” i jeszcze zmiana koncepcji prędkości pociągów na tej trasie to zupełnie inny projekt. Słyszymy dziś, że mają się pojawić pociągi szybsze – jeżdżące z prędkością 320 km/h. To jest zmiana systemu, który w spójny sposób miał obsługiwać potrzeby transportowe całego kraju, w taką dość drogą zabawkę dla mieszkańców czterech dużych miast. Nic poza tym... 320 km/h oznacza, że pociągi premium, te najszybsze, nie będą się w ogóle albo prawie w ogóle zatrzymywały pomiędzy tymi miastami. To oznacza, że nawet te miejscowości, które mają szczęście leżeć na trasie „Y”, a nie na szlaku „starych” szprych, i tak nie odniosą z tego korzyści. Mieszkańcy Sieradza na przykład będą mogli tym pociągom tylko pomachać. Więcej, podwyższenie prędkości powoduje też dużo wyższe koszty, bo zużycie energii rośnie wykładniczo, a to oznacza dużo droższe bilety. Niejako przy okazji wpadamy już w unijną definicję kolei dużych prędkości, a więc nie będzie można zawierać umów typu public operator, które pozwoliłyby utrzymać niskie ceny biletów. Wreszcie dużo bardziej problematyczny staje się udział polskich producentów w dostarczeniu taboru. To takie trochę – ja bym powiedział – „trzecioświatowe” podejście. Kupimy sobie drogą zabawkę i nikt nie powie, że nie mamy kolei dużych prędkości, za to mało kto z tego będzie korzystał.

Ale to bardzo fajnie brzmi – zrobimy 320 km/h i połączymy duże miasta, tam są wyborcy Koalicji Donalda Tuska, więc efekt zostanie osiągnięty...

Nie wiem... Być może to takie cyniczne podejście, że właśnie chodzi o te 15 minut szybciej dla mieszkańców Wrocławia. Warto jednak pamiętać, że wrocławianie i tak mieli mieć dużo szybciej po realizacji tej naszej wersji systemu kolejowego. Czas przejazdu z Wrocławia do Warszawy miał zmaleć ponad połowę – z ponad czterech godzin na mniej niż dwie. Czyli byłoby szybciej o dwie godziny i 10 minut. To teraz, w tej nowej koncepcji, z Wrocławia będzie szybciej o dwie godziny i 25 minut, ale kosztem tego, że bilety będą dużo droższe, kosztem tego, że tych pociągów nie dostarczą polscy producenci, i kosztem tego, że

mieszkańcy Sieradza, Kalisza czy Wieruszowa prawie w ogóle z tego nie skorzystają. Zatem koszty niewspółmierne do zysków, ale taką decyzję, wydaje się, już podjęto.

Pozorowane działania rządu i spółek Skarbu Państwa – to sformułowanie, które pada w ostatnim półroczu zarówno wobec działań wokół rolnictwa, transportu, jak i inwestycji. Czy wobec inwestycji w CPK, przy ogromnej presji społecznej na realizację planów budowy, nie ma pan wrażenia, że również doświadczamy takich pozorowanych działań?

Na szczęście po konferencji czerwcowej możemy powiedzieć, że nie jest już tak, by absolutnie nic się nie działo. Wcześniej, przez pół roku, w sposób dosyć chaotyczny, jak siekiera, ucięto różne procesy, co już wygenerowało opóźnienie dużo dłuższe niż sześć miesięcy. W takim skomplikowanym, wielowątkowym programie inwestycyjnym, który jeszcze miał bardzo agresywnie optymalizowany harmonogram, to jest jak w precyzyjnej maszynierii, jak w takim mechanicznym zegarku z wieloma zębatkami – gdy ktoś nagle tam włoży kij i zatrzyma mechanizm, to szkody są niewspółmierne. Od czerwca jest deklaracja, że CPK – okrojony, opóźniony, pogorszony, ale jednak – będzie realizowany. Nie można już więc powiedzieć, że absolutnie nic się nie dzieje, pewne procesy, przetargi, decyzje zachodzą, ale to wszystko jest niezwykle powolne, bez żadnego ciśnienia na poziomie zarządczym – żeby było szybko, żeby było sprawnie. Dość powiedzieć, że w naszym harmonogramie planowaliśmy pozyskanie decyzji lokalizacyjnej na styczeń-luty 2024, to jest decyzja wojewody, a więc... organu administracji rządowej. I mówimy o prostym postępowaniu administracyjnym, a nie skomplikowanej operacji biznesowej czy technicznej. I potem, po kilku miesiącach, powinno być pozwolenie na budowę, wszystkie prace budowlane powinny już ruszać. Tymczasem w nowym harmonogramie na to, co według nas miało się zadziać do lata czy późnej jesieni 2024 roku, przewidziane są jeszcze dwa lata. Dwa lata na stosunkowo proste postępowanie administracyjne przed państwowymi organami, na które rząd ma wszelki wpływ! To pokazuje całkowity brak zaangażowania i chęci, by ten projekt w jakiś realny sposób poruszał się do przodu. Można z góry przyjąć, że przy takiej kulturze korporacyjnej będą kolejne opóźnienia. Skoro prosty pracownik widzi, że nikomu nie zależy na tym, aby praca szła do przodu, to – powiedzmy szczerze – nie pracuje w sposób najbardziej wyteżony.

Ale za to pojawiło się ogłoszenie CPK, że „wychodząc naprzeciw postulatam i oczekiwaniom rolników, spółka Centralny Port Komunikacyjny zaprasza zainteresowanych dzierżawą wybranych gruntów na terenie gmin:

Baranów, Teresin i Wiskitki. Inwestor lotniska i węzła kolejowego proponuje indywidualne odpłatne umowy obowiązujące nie dłużej niż do końca 2025 r.” – to oznacza, że przez kolejny rok nic się na tym terenie nie wydarzy...

Dokładnie tak. My też zawieraliśmy takie umowy najmu, kiedy dwa-trzy lata temu w ramach Programu Dobrowolnych Nabyć udało się kupić jakieś grunty. I wtedy faktycznie jeszcze nie były potrzebne do działań inwestycyjnych, więc trafiały do rolników. I te umowy były do końca ubiegłego oraz bieżącego roku. Ale widzimy już, że przedłużane są o kolejny rok.

Wspomniał pan o Programie Dobrowolnych Nabyć. Na części działek pozyskanych przez CPK zakończyła się rozbiorówka budynków, a na pozostałym obszarze proces ten jest kontynuowany. Ale protesty ucichły. Co takiego się stało, że to rzekomo powszechne oburzenie na wysiedlanie ludzi, na wyrzucanie ich z domów, pozbawianie prawa do własności – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – zniknęło?

Ponieważ wiem, kto te protesty prowadzi, obserwuję te profile w mediach społecznościowych, te kilka osób – bo to było zawsze de facto kilka osób, znanych mi z imienia i nazwiska, to one dalej protestują. Tyle, że po zmianie rządu wiodące media przestały relacjonować te protesty w sosie tzw. krzywdy ludzkiej. „Na krzywdzie ludzkiej” – to taka fraza, taki mem, który był upowszechniany w czasie kampanii. I cała rzekomo potężna machina oddolnego społecznego protestu zachowuje się dziś jak maszyna, której ktoś nagle odłączył prąd.

Posel Paulina Matysiak płaci dziś polityczną cenę za poparcie inicjatywy „Tak dla rozwoju”, choć wydaje się, że to raczej zemsta za podjęcie rozmów i wspólnego działania z opozycją, także z panem. Czy to był na tyle wyraźny sygnał, że nie uda się nikogo więcej z koalicji rządowej namówić na deklarację współpracy dla inwestycji w CPK?

A nawet trochę szerzej, bo założone przez nas stowarzyszenie ruch społeczny „Tak dla rozwoju” na sztafardach ma też budowę elektrowni atomowych, rozbudowę polskich portów czy rozbudowę armii. To pewien pakiet kluczowych spraw, mających swoją wagę bez względu na różnice polityczne, ideologiczne, które były, są i będą. W demokracji muszą być między nami pewne różnice. Demokracja to przecież wybór, ale to nie znaczy, że spierając się, nawet kłócąc czy walcząc w wielu obszarach, nie można w tych kilku właśnie ważnych, najważniejszych sprawach do załatwienia w najbliższym czasie w kraju, podzielać wspólnie... I z panią poseł Matysiak wyszliśmy z takiego założenia. Muszę przyznać, że ten lincz, który się na pani poseł odbył, faktycznie zadziałał, bo przynajmniej kilkoro posłów koalicji,

o których wiem, że dzielają nasz punkt widzenia, po prostu się przestraszyło. Nawiasem mówiąc, nie wiem, co Donald Tusk robi, że oni się tak go boją. Bo ci ludzie autentycznie się boją. Pan prezes Kaczyński ma opinię jakiegoś wielkiego hegemonu, tymczasem naprawdę jest przemitym, koncyliacyjnym człowiekiem. Zastanawiam się, co musi robić Tusk, że wywołuje taki strach u dorosłych przecież, poważnych ludzi, że się go boją jak przedszkolaki: „że pani na nich nakrzyczy”?

Wracając do sprawy pani poseł, to bardzo smutne, że nie można robić dobrych rzeczy dla kraju, że nie można wspierać punktów programowych własnej partii. Bo przecież wszystko, co robimy, jest jak najbardziej zgodne z programem Lewicy, która przynajmniej werbalnie twierdzi, że za takim rozwojem kraju jest. I cała koalicja też.

Wierzył pan, że dla dobra Polski, dla rozwoju można wyjść z okopów politycznych?

Jeżeli na jednej szali położymy robienie dobrych, ważnych spraw dla kraju, które są w programie „Tak dla rozwoju”, a na drugiej szali – walkę polityczną czy wręcz taką polityczną nienawiść do Prawa i Sprawiedliwości, to dla większości koalicji rządzącej ta właśnie nienawiść okazała się po prostu ważniejsza. I okazuje się, że można być w koalicji rządzącej na przykład z Romanem Giertychem, który najwyraźniej lewicowych wartości w żaden sposób nie narusza i pod tym względem jest bardzo spokojny... Natomiast wobec kilku spraw leżących w programie Lewicy, bardzo wyraźnie w nich wskazanych, ale z moją skromną osobą czy kimkolwiek innym współpracować nie wolno. To tylko świadczy o kondycji tej strony.

Już na poziomie czysto politycznym – jako że mam swoje doświadczenie w polityce, i tak się składa, iż politologię też skończyłem, więc już nawet odkładając na bok te sprawy zasadnicze, o których mówiłem – to tak czysto taktycznie, politycznie jest to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Lewica ustawia się w roli stuprocentowego petenta Donalda Tuska. Nie ma żadnej alternatywy, możliwości ruchu, manewru. No bo dlaczego Tusk miałby im cokolwiek dawać, jakkolwiek ich słuchać, jeśli oni od razu występują w pozycji wiernopoddanych? Gdzieś na horyzoncie takiej taktyki jest po prostu zanik Lewicy i proszenie się o miejsce na listach Koalicji Obywatelskiej. Szczególnie mnie to nie martwi, bo ja politykiem Lewicy nie jestem, nie darzę tego ruchu jakąś szczególną estymą na scenie politycznej. A może to nawet zwolni miejsce pod jakąś zupełnie nową polską lewicę patriotyczną, nawiązującą do tradycji PPS, Ignacego Daszyńskiego, Kazimierza Pużaka, a nie taką, która jest albo postkomunistyczna, albo ślepo małopuje najnowsze trendy z Zachodu, gdzie właściwie za całą

lewicowość robi aborcja, LGBT i nic poza tym, a ten element troski o codzienne życie zwykłego, prostego człowieka – to, co akurat właśnie na lewicy jest najcenniejsze, zupełnie idzie w odstawkę. Więc może taka nowa formacja gdzieś swoje miejsce znajdzie i wtedy poseł Matysiak – która pewnie wolałaby, by powiedzieć raczej pani posłanka Matysiak – będzie jednym z jej liderów, jedną z lidererek.

Pozostanę przy tezie, że sprawa kary dla posłanki Matysiak jest emanacją większego planu otoczenia kordonem sanitarnym polityków Prawa i Sprawiedliwości, ale też w ogóle całej prawicy. To sygnał nie tylko do posłów, nie tylko do polityków, lecz do wszystkich, którym zależy na dobrych stosunkach z rządem, że... cokolwiek zrobicie z ludźmi tej formacji, to kara będzie sroga. Nie odbiera pan takiego sygnału?

To wynika z takiego właśnie całkowicie antydemokratycznego założenia. Prawo i Sprawiedliwość czy politycy PiS nie spadli z choinki do polityki, tylko są popierani przez 35 proc. społeczeństwa, a zdarzało się, że i ponad 40 proc. I ktoś mówi, że 40 proc. obywateli to obywatele drugiej kategorii, którzy nie mają prawa do swojej reprezentacji; do tego, żeby w różnych gremiach, w różnych organach wybrani przez nich przedstawiciele reprezentowali ich interesy i poglądy. To jest antydemokratyczne, to jest też antypaństwowe. Bo zdarzają się takie projekty, przykładem jest CPK, zdarzają się takie kwestie, takie sprawy, które są ważne dla kraju, ale żeby je zrobić, potrzebny jest horyzont dłuższy niż jedna kadencja. W demokracji władza się zmienia, a my nadal – chciałoby się wierzyć – jesteśmy demokracją. Elementarna dbałość o państwo wymagałaby, żeby próbować wokół takich spraw jakiś konsensus budować. Tak, żeby ewidentny interes kraju, jakim jest np. dobry i sprawny system transportowy, był po prostu na pierwszym miejscu, przed walką polityczną. I to jeszcze taką walką rozumianą w sposób bardzo prymitywny, bo – porównując do sportu – nasza polityka już nie wygląda jak szachy ani nawet jak boks (bo boks to jednak też ma pewne zasady), tylko bardziej takie

”

Obecnie 80 proc. polskiego cargo lotniczego, eksportu z Polski, importu do Polski, który odbywa się drogą lotniczą, jest obsługiwane przez lotniska leżące poza naszym krajem

fame MMA – bez żadnych zasad znani ludzie z polityki okładają się po twarzy. Im kto mocniej walnie, tym lepiej. To bardzo toksyczne i powoduje, że cała sfera polityczna, publiczna przestaje obsługiwać interes narodowy. Chcielibyśmy, aby było inaczej, i tutaj wielki szacunek do pani poseł, że też tak uważa i że tak duże nieprzyjemności pod tym względem ponosi. Mimo wszystko jestem dobrej myśli, bo uważam, że ludzie też to widzą i wyrazów wsparcia, sympatii jest mnóstwo. Zatem z czasem doprowadzimy do pewnego przełamania sytuacji i pokażemy, że – cytując hasło pewnej partii, o którym ona sama trochę zapomniała – inna polityka jest możliwa.

Wracając do inwestycji: nie ma pan wrażenia, że z takiego szturmu inwestycyjnego, z jakim mieliśmy do czynienia w ostatnich ośmiu latach, wycofujemy się w ramach ogólnego obalania państwa PiS-u? CPK, atom, porty, kolej, cargo, petrochemia... można wymienić właściwie każdą branżę, dziedzinę, w których państwo wycofuje się z planów rozwojowych... Czyj zysk? Kto korzysta na tym wycofaniu Polski ze ścieżki rozwoju?

To nie jest obalanie państwa PiS, ale obalanie państwa polskiego, po prostu. Właściwie nie ma obszaru inwestycyjnego – wiele pan ich wymienił – w którym byłaby taka prosta, szybka kontynuacja: zmieniamy woźnicę czy maszynistę, a wóz czy pociąg po prostu jadą dalej. CPK to dobry przykład. Najpierw była deklaracja całkowitego skasowania, potem trochę popuszczono. Ale nawet w takich obszarach, gdzie deklaratywnie od początku rząd zapowiadał kontynuację, czyli np. budowa elektrowni atomowych, już wiemy, że będą opóźnienia. Pierwsza elektrownia będzie opóźniona od dwóch do siedmiu lat, w zależności od tego, kto z rządu się wypowiada. W ten sposób rozwoju, dobrobytu kraju się nie zbuduje. I tak punkt po punkcie, obszar po obszarze. Muszę powiedzieć, że mnie osobiście, mimo wszystko, dziwi aż tak daleko posunięta, taka czysto techniczna nieudolność tego rządu, nieumiejętność. To, że nawet gdy czasem chcą zrobić, to po prostu nie umieją. W wielu przypadkach nie chcą, w wielu przypadkach mamy do czynienia z takim niszczyielskim zapędem. I widziemy, jak wyglądają wyniki spółek Skarbu Państwa.

Ja wiem, z czego to wynika. Bywa tak, że jak jest choćby taki dział kontrolingu czy dział sprzedaży lub jakiś istotny dział, gdzie pracuje, powiedzmy, pięć osób i wszystkie pięć jest na podstawie donosów zakwalifikowane jako „pisowcy”, to całe pięć jest zwalnianych, dział zanika i brakuje ciągłości. Ważny obszar działania firmy zamiera na wiele miesięcy, po prostu nie ma komu się tym zająć. Ale to nieważne, najważniejsze, żeby niszczyć. Cóż, na nienawiści jeszcze nikt nie zbudował niczego dobrego, niczego produktywnego. I odbywa się to z ogromną stratą dla państwa.

”

Zastanawiam się, co musi robić Tusk, że wywołuje taki strach u dorosłych przecież, poważnych ludzi, że się go boją jak przedszkolaki

Kto na tym zyskuje? Pewnie to trzeba rozpatrzyć przykład po przykładzie, bo są różne przypadki, w różnych obszarach konkurujemy z różnymi podmiotami, z różnymi państwami, również podmiotami niepaństwowymi, takimi jak korporacje... Wróćmy do tematu lotniczego. Inwestor, którego my pozyskaaliśmy do inwestycji w CPK, wobec tego, że warunki się zmieniły, a nowy rząd zniszczył model biznesowy CPK – bo to neo-CPK jest po prostu innym modelem biznesowym, nie tak pomyślanym, nie tak opłacalnym – rozmawia już z Viktorom Orbánem na temat rozbudowy lotniska w Budapeszcie. Są już plany rozbudowy lotniska w Pradze. Słyszymy, że Lufthansa rozbuduje swój terminal cargo we Frankfurcie. Świat nie śpi, świat nam odjeżdża, konkurencja trwa.

Nie popadałbym jednak w jakieś straszne czarnowidztwo, nic straconego i już nie z takich opałów wychodziliśmy, tylko oczywiście jak najszybciej, w jak najkrótszej perspektywie trzeba wrócić do tego frontu inwestycyjnego, do tego myślenia w kategoriach polskiego interesu narodowego, polskiego biznesu, korzyści dla rodzimej gospodarki. Polska jeszcze wróci do gry i jeszcze wielkie sukcesy przed nami. Jestem przekonany, że ten czas – to, co teraz obserwujemy – będzie rozpatrywany jako potknięcie, czkawka na drodze do sukcesu gospodarczego.

To kiedy polecimy z Centralnego Portu Komunikacyjnego, z Baranowa? Padają deklaracje o 2032 roku...

Jak słyszymy, padają... i na jednym oddechu słyszymy, że 2032 tak, ale z góry trzeba założyć, iż będą opóźnienia i pewnie będzie to raczej 2035. A ja powiem tak: jeżeli przez ten cały czas inwestycją miałaby zarządzać ta ekipa i pan Maciej Lasek, który jest raczej specjalistą od katastrof i tłumaczeń z rosyjskiego, to ja bym tak obstawiał, że 2036–2037 to jest najbliższy termin. Natomiast gdyby została przyjęta obywatelska ustawa, którą poparło ponad 200 tys. Polaków, i gdyby w efekcie zmieniła się ekipa prowadząca projekt na taką, która, po pierwsze, w ogóle chce to robić, a po drugie – umie, to taki pierwszy najszybszy termin, w tym momencie realny, to jest rok 2030. Gdyby jeszcze w tym kwartale wziąć się do tego naprawdę serio.

STANISŁAW KOCZOT

Nowa ekipa wchodzi do gry

Kompletowanie nowego składu Komisji Europejskiej powoli dobiega końca. Zakończyły się przesłuchania kandydatów przed Komisją Prawną (JURI) Parlamentu Europejskiego, która weryfikowała ich pod względem ewentualnych konfliktów interesów. W żadnym przypadku takiego konfliktu nie stwierdzono i przyszli komisarze przeszli do kolejnego etapu

Przewodniczący JURI, Ilhan Kyuchyuk, przyznał, że w kilku przypadkach komisja prosiła kandydatów o uzupełnienie informacji, ale generalnie cały proces przeszedł szybko i pomyślnie. Z przecieków, do których dotarł portal Politico, wynika jednak, że aż tak dobrze nie było. O dodatkowe informacje poproszono aż... 23 z 26 nominowanych przez przewodniczącą KE Ursulę von der Leyen, ponieważ złożone oświadczenia zawierały zbyt mało danych. Powodem miały być nieprecyzyjne przepisy regulujące kwestie ujawniania biznesowych powiązań europosłów. Jeden z nich, określany dość powszechnie jako „dziwny”, stwierdzał, że kandydaci muszą przedstawić lub pominąć informacje na podstawie... własnej oceny, czy świadczą one o konflikcie interesów czy nie. Właśnie z tego powodu niektórzy nie ujawnili szczegółów o swoich majątkach.

Tak było np. z Grekiem Apostolosem Tzitzikostasem, kandydatem na komisarza ds. turystyki, który jest właścicielem lub współwłaścicielem 16 apartamentów, około 655 463 m² ziemi, sześciu sklepów, a także kilku gara-



Ursula von der Leyen
przewodnicząca KE



Raffaele Fitto
przyszły wiceprzewodniczący KE

”

Ursula von der Leyen sugeruje, by finansowanie dla biedniejszych regionów było uzależnione od przeprowadzenia przez nie reform

ży i magazynów w całej Grecji. Tzitzikostas oświadczył, że cały ten majątek pochodzi ze spadku po rodzicach, z wyjątkiem domu, który kupił za pożyczkę zaciągniętą wraz z żoną. Nie podał jednak ani jej kwoty, ani jej pochodzenia, pomimo prośby JURI.

Również Hiszpanka Teresa Ribera złożyła formularz niezawierający szczegółów, chociaż wcześniej, kiedy sprawowała ważne funkcje państwowe w Madrycie, takie informacje podała. Pomimo nacisków JURI pozostała nieugięta: „Nie mam żadnych interesów finansowych, które mogłyby zostać zadeklarowane lub mogłyby powodować konflikt interesów” – poinformowała komisję. Według jej ostatnich deklaracji, po-

chodzących z 2023 roku, posiadała 250 tys. euro na rachunku oszczędnościowym, jest współwłaścicielką czterech nieruchomości, ma też udziały w jednym z największych banków w Hiszpanii, BBVA, o wartości 1 680 euro.

Włoch Raffaele Fitto dostarczył komisji dodatkowe dokumenty, które precyzowały ilość i wartość posiadanych akcji, a także pochodzenie pożyczek związanych z jego portfelem nieruchomości. Przyszły wiceprzewodniczący komisji, odpowiedzialny za wielomiliardowy Fundusz Spójności, posiada oszczędności warte 246 tys. euro, jest właścicielem siedmiu mieszkań i ma udziały w trzech innych. Jego aktywa obejmują również ziemię, dwa garaże i piwnicę. Jedną z hipotek, w wysokości 600 tys. euro, jest nadal spłacana.

Napięty harmonogram

JURI nie ma uprawnień śledczych, więc musiała się zadowolić tym, co przyszli komisarze chcieli jej pokazać. Czy więcej dowiemy się podczas zasadniczych przesłuchań w komisjach parlamentarnych i czy JURI będzie chciała o coś dopytać? Raczej nie, bo kwestie powiązań majątkowych uznano już za zamknięte, a kandydaci będą musieli odpowiadać na pytania dotyczące bezpośrednio ich funkcji. Przyszli komisarze dostają pytania wcześniej na piśmie, będą mieli więc czas, by się dobrze do nich przygotować (treść niektórych została już ujawniona przez media). Przesłuchania kandydatów zaczną się w poniedziałek 4 listopada i zakończą we wtorek 12 listopada.

Na pierwszy ogień już pierwszego dnia trafią – z grona pretendentów do komisji odpowiedzialnych pośrednio lub bezpośrednio za gospodarkę i zieloną transformację – Maroš Šefčovič, kandydat na komisarza ds. handlu i bezpieczeństwa gospodarczego oraz stosunków międzyinstytucjonalnych i przejrzystości, oraz Apostolos Tzitzikostas. Drugiego dnia zostanie wysłuchany Duńczyk Dan Jørgensen (komisarz ds. energii i mieszkalnictwa) oraz Szwedka Jessika Roswall (kandydatka na komisarza ds.



Jessika Roswall
kandydatka na komisarza
ds. środowiska, odporności
wodnej i konkurencyjnej
gospodarki o obiegu zamkniętym



Piotr Serafin
przyszły komisarz ds. budżetu
i administracji publicznej oraz
zwalczania nadużyć finansowych



Wopke Hoekstra
kandydat na komisarza ds. klimatu,
neutralności emisyjnej i czysty
wzrost gospodarczy

środowiska, odporności wodnej i konkurencyjnej gospodarki o obiegu zamkniętym).

6 listopada stawia się przed komisją Portugalka Maria Luís Albuquerque (usługi finansowe oraz oszczędności i inwestycje), a 7 listopada – Piotr Serafin (komisarz ds. budżetu i administracji publicznej oraz zwalczania nadużyć finansowych) i Wopke Hoekstra (klimat, neutralność emisyjna i czysty wzrost). Na ostatni dzień przewidziano najcięższy kaliber, czyli kandydatów na wiceprzewodniczących KE: przed komisją stawia się Włoch Raffaele Fitto (spójność i reformy), Francuz Stéphane Séjourné (dobrobyt i strategia przemysłowa) oraz Teresa Ribera (czysta, sprawiedliwa i konkurencyjna transformacja).

Niespodzianek i zmian kandydatów nikt się raczej nie spodziewa, bo nie tylko zaburzyłoby to procedurę wyboru, lecz mogłoby doprowadzić również do reorganizacji uprawnień przysługujących poszczególnym komisarzom. To prosta droga do chaosu, którego Ursula von der Leyen chce za wszelką cenę uniknąć. Nie oznacza to jednak, że nie będzie niespodzianek albo że nic ciekawego podczas przesłuchań się nie wydarzy. Już sam fakt, że proces wyboru się przedłuża, jest pewną niespodzianką. Początkowo szefowa Komisji Europejskiej liczyła na to, że procedurę konstruowania nowej Komisji Europejskiej uda się zakończyć w październiku, ale teraz mówi się raczej o grudniu lub nawet początku przyszłego roku.

Jastrząb z Madrytu

Sporo kontrowersji wzbudza kandydatura Teresy Ribery, nie tylko z powodu skomplikowanej materii, jaką będzie się zajmowała (zielona transformacja i konkurencyjność), lecz także jej poglądów na temat energetyki jądrowej. Ribera odpowiadała w swoim kraju za transformację klimatyczną i przyczyniła się do zamknięcia elektrowni jądrowych. Do tego wielokrotnie krytykowała zaliczenie technologii jądrowych w Unii do bezemisyjnych. Poglądy Teresy Ribery nie podobają się Francuzom, którzy stawiają na rozwój atomu, a także mniejszym państwom

unijnym, m.in. Czechom. Wygląda jednak na to, że Ribera zmieniła poglądy na ten temat, gdyż bardzo zależy jej na stanowisku w Komisji Europejskiej, czego zresztą nigdy specjalnie nie ukrywała. Nie oznacza to jednak, że jej przesłuchanie w parlamencie przejdzie gładko (Ribera stanie przed przedstawicielami w sumie aż ośmiu komisji). Hiszpańska socjalistka zostanie poproszona m.in. o opinię na temat ustaleń KE dotyczących subsydiowania pojazdów elektrycznych na baterie z Chin i tymczasowych celów wyrównawczych nałożonych na import tych pojazdów. Kolejne pytanie, które opublikował euroactiv.com, dotyczy tego, czy obecne unijne ramy pomocy państwa mogą zapewnić „uczciwą konkurencję” na całym jednolitym rynku.

Obie te kwestie – zarówno cła na auta elektryczne, jak i konkurencyjność stymulowana przez rządy – są przedmiotem gorących sporów w Unii. Przeciwnikami celów są Niemcy, jednak w kluczowym głosowaniu w tej sprawie nie zebrały wystarczającej liczby głosów, by je zablokować. Z kolei w drugiej kwestii w miarę jednolity front tworzą mniejsze państwa członkowskie, według których obecne zasady pomocy faworyzują duże gospodarki. W wywiadzie dla El País, cytowanym przez euroactiv.com, Ribera nie wypowiedziała się jednoznacznie co do celów („Potrzebujemy dobrze prosperującego i innowacyjnego przemysłu. Jednocześnie musimy unikać wchodzenia w wojny handlowe”), natomiast zdecydowanie poparła stanowisko mniejszych krajów członkowskich w sprawie zasad pomocy państwa. O co jeszcze będzie pytała Ribera? Między innymi o to, czy uważa, że „różna przestrzeń fiskalna” krajów UE może spowodować „fragmentację jednolitego rynku”, a także, jakie jest jej stanowisko w sprawie fuzji, które pozwolą europejskim firmom konkurować z ich chińskimi i amerykańskimi odpowiednikami.

Teresa Ribera to klimatyczny „jastrząb” i orędowniczka odnawialnych źródeł energii. W gabinecie Ursuli von der Leyen ma być twarzą zielonej transformacji. Jest prawniczką, w latach 2004–2008 była dyrektorem generalnym Hiszpań-



Dan Jørgensen
przyszły komisarz
ds. energii i mieszkalnictwa



Teresa Ribera Rodriguez
kandydatka na wiceprzewodniczącą
KE i komisarz ds. czystej,
sprawiedliwej i konkurencyjnej
transformacji



Kostas Kadis
kandydat na komisarza
odpowiedzialnego
za rybołówstwo i oceany

skiego Biura ds. Zmian Klimatu, w latach 2008–2011 sekretarzem stanu ds. zmian klimatu i bioróżnorodności, doradczynią ds. energii i klimatu w Instytucie Zrównoważonego Rozwoju i Stosunków Międzynarodowych, następnie dyrektorem tej instytucji. Od 2018 r. jest ministrem ds. transformacji ekologicznej, a w 2020 r. została wicepremierem.

Piątka do zielonej transformacji

Za politykę klimatyczną i energetykę w nowej Komisji Europejskiej będzie odpowiadać kilku komisarzy. To sygnał, że w gabinecie Ursuli von der Leyen ma ona wyjątkowo duże znaczenie.

”

Teresa Ribera to klimatyczny „jastrząb” i orędowniczka odnawialnych źródeł energii. W gabinecie Ursuli von der Leyen ma być twarzą zielonej transformacji

Poza Teresą Riberą do tego grona należy Holender Wopke Hoekstra, Cypryzyk Kostas Kadis, Jessika Roswall i Dan Jørgensen. Hoekstra to następca Fransa Timmermansa, prawnik, były minister finansów, a także wicepremier i minister spraw zagranicznych w holenderskim rządzie. Hoekstra to zwolennik rygorystycznej polityki fiskalnej, który przez część poprzedniej kadencji już pełnił funkcję komisarza. Nosi przydomek „Mr No!”, ze względu na nawyk puszczania mimo uszu wezwań do asygnowania nowych funduszy.

Kostas Kadis ma w nowej Komisji Europejskiej odpowiadać za rybołówstwo i oceany. Jest biologiem, który w cypryjskim rządzie był m.in. ministrem rolnictwa, rozwoju wsi i środowiska. Kadis ma przy-

gotować program dla unijnego sektora rybołówstwa do 2040 r.

Jessika Roswall pełniła funkcję ministra ds. europejskich w szwedzkim rządzie. Poza kierowaniem pracami komisji, do której została powołana, będzie zajmowała się również tworzeniem planu dla rolnictwa i żywności. Dan Jørgensen to politolog, europoseł w latach 2004–2013, były minister żywności, rolnictwa i rybołówstwa, następnie klimatu i energii, a jeszcze później współpracy rozwojowej i globalnej polityki klimatycznej w duńskim rządzie. To on będzie odpowiadał za plan obniżenia cen energii i za scenariusz elektryfikacji – jednego z kluczowych elementów transformacji energetycznej Unii. Prace jego komisji będą miały bardzo duże i bezpośrednie przełożenie na życie obywateli państw unijnych, gdyż w jednej tece zgromadził mieszkalnictwo i reformę energetyki. Jørgensen, tak samo jak Ribera, jest przeciwnikiem energetyki jądrowej, natomiast gorącym zwolennikiem odnawialnych źródeł energii.

Miliardy w rękach pragmatyka

Ważną komisją z punktu widzenia Polski i Europy Środkowo-Wschodniej będzie kierował Raffaele Fitto. Wcześniej od włoskiej premier Giorgii Meloni dostał zadanie zarządzania ogromnymi pieniędzmi, jakie jego kraj otrzymał za pośrednictwem Next Generation EU – funduszu odbudowy po pandemii COVID-19. Teraz będzie kontrolować fundusze europejskie, w tym Fundusz Spójności, którego Polska jest największym beneficjentem. Decyzja Ursuli von der Leyen o awansie Włocha rozżłościła Socjalistów, dla których Fitto jest politycznym wrogiem. Jednak o głosowanie za jego kandydaturą zaapelował Paolo Gentiloni, prominentny członek Partii Demokratycznej i były premier Włoch. Wezwał 21 włoskich europarlamentarzystów z grupy Socjalistów i Demokratów, aby oderwali się od partyjnej polityki i postawili interes narodowy na pierwszym miejscu.

Fitto uważany jest za pragmatyka i osobę niezwykle ważącą swoje decyzje. Ma odpowiadać za 400 mld euro, przeznaczonych dla biedniejszych regionów UE. Unia planuje jednak zmiany w polityce spójności i chce przekierować dedykowane dla niej fundusze na innowacje i cyfryzację. Państwa beneficjenci krytykują te pomysły, gdyż oznacza to dla nich wyraźne zmniejszenie dotacji na infrastrukturę.

Wybuchowy budżet

Z przejściem przez sito parlamentarne nie powinien mieć problemu polski kandydat na komisarza ds. budżetu, przeciwdziałania oszustwom i administracji publicznej Piotr Serafin. Sądząc po problemach, przed jakimi staje unijna kasa, nie będzie jednak miał łatwej pracy. Unia musi spłacić pożyczkę zaciągniętą na fun-

”

Procedura konstruowania nowej Komisji Europejskiej miała się zakończyć już w październiku, ale teraz mówi się raczej o grudniu lub nawet o początku przyszłego roku

dusz odbudowy po pandemii COVID-19, której obsługa jest bardzo kosztowna – same odsetki wynoszą 200 mld euro, a 3 mld tylko w tym roku. Do tego w szeroko komentowanym raporcie Mario Dragiego, przygotowanym na zlecenie Komisji Europejskiej, pojawił się postulat wprowadzenia euroobligacji jako stałego narzędzia, czyli zaciągania przez Unię kolejnych długów. Jeżeli ten pomysł nie przejdzie – sprzeciwiają się mu m.in. Niemcy, Dania, Austria i Holandia – to i tak pojawia się konieczność stworzenia nowych źródeł pozyskiwania pieniędzy przez UE. Mają one pochodzić między innymi z kontrolowanego systemu ETS2, który uderzy w przeciętnego mieszkańca Unii (system zacznie działać w 2027 r.). Słychać też propozycje wprowadzenia dodatkowych wpłat do unijnego budżetu przez państwa członkowskie.

Wyzwania, przed jakimi stanie Serafin, są w tej chwili trudne do przewidzenia, bo będzie pilnował budżetu u progu zmian, przed którymi staje Unia. W gabinetach Komisji Europejskiej będzie się toczyła walka o pieniądze w kolejnej perspektywie, czyli o wieloletnie ramy finansowe (WRF). Wyście z tego starcia bez szwanku będzie „prawie niemożliwe” – jak pisze Politico, powołując się na swoje źródła w unijnej dyplomacji. Rola, jakiej podjął się Serafin, „będzie jedną z najtrudniejszych w tej Komisji Europejskiej”. Polski komisarz stanie się centralnym punktem negocjacji budżetowych na lata 2028–2034 i to on będzie musiał przedstawić propozycje, w jaki sposób Unia chce pozyskać i jak wydać pieniądze w tych latach. Tekst z planami budżetowymi może się pojawić już w drugiej połowie 2025 r., a jego zatwierdzenie przez kraje członkowskie jest konieczne przed 2028.

Nie będzie to łatwe, gdyż już teraz, przed rozpoczęciem nowej kadencji przez Komisję Europejską, pojawiają się propozycje trudne do przyjęcia przez wiele rządów. Na przykład Ursula von der Leyen sugeruje, by finansowanie dla biedniejszych regionów było uzależnione od przeprowadzenia przez nie reform. Pojawił się też pomysł skumulowania funduszy unijnych w jednym megafunduszu, z którego mogłyby czerpać wszystkie kraje unijne. Takie pomysły nie podobają się ani Europie Południowej, ani Środkowo-Wschodniej. Ułożenie w jedną całość konglomeratu sprzecznych interesów będzie potężnym wyzwaniem. ●

AGNIESZKA ŁAKOMA

Wielkie nadzieje unijnego przemysłu

Ta pięciolatka to być albo nie być dla europejskiej gospodarki. Czy nowe unijne władze znajdą sposób na uratowanie przemysłu? Zielone branże miały być antidotum na bolączki Unii, ale na razie są tylko kulą u nogi

Podniesienie konkurencyjności europejskiej gospodarki, mocno nadszarpniętej przez pandemię i kryzys energetyczny wywołany napaścią Rosji na Ukrainę, to jedno z najważniejszych, ale i najtrudniejszych zadań, przed jakimi stoi Komisja Europejska. I choć zapowiedzi jej szefowej – Ursuli von der Leyen – powinny wzbudzać optymizm, to jednak rzeczywistość zdaje się mu przeczyć. Na początku roku dowiemy się, jakie są pomysły na poprawę sytuacji, gdy zostanie opublikowany nowy Czysty Ład Przemysłowy. Na razie wiadomo tylko, jaki musi przyjąć kierunek ta jedna z kluczowych unijnych strategii. Czysty Ład Przemysłowy ma być gotowy w ciągu pierwszych 100 dni od uformowania się Komisji Europejskiej, a formalnie główna odpowiedzialność za to spada na duet hiszpańsko-francuski. Prace nad dokumentem ma nadzorować wiceprzewodnicząca KE Teresa Ribera,

dotychczas przede wszystkim kojarzona z twardą realizacją w jej rodzinnej Hiszpanii unijnej polityki klimatycznej i zamknięciem energetyki atomowej. Jej prawą ręką będzie Stéphane Séjourné odpowiedzialny za unijny Dobrobyt i Strategię Przemysłową.

Doświadczenia poszczególnych sektorów czystych technologii z ostatnich lat pokazują, że w zasadzie unijne władze i państwa nie mają innego wyjścia, jak tylko zapewnić im jak najlepsze warunki rozwoju, skoro to one mają zapewnić dobrobyt. Tymczasem kolejne sektory od solarnego przez wiatrowy i pomp ciepła oraz motoryzacyjny mają mniejsze lub większe problemy i co niemal kilka tygodni lub miesięcy ich przedstawiciele apelują o pomoc oraz działania Brukseli. Jednym z kluczowych problemów jest przewaga – także kosztowa (z powodu drogiej energii w Europie) – Chin i USA w wielu dziedzinach. Wystarczy porównać dane handlowe w odniesieniu do fotowoltaiki. W ubiegłym roku

”

W ubiegłym roku Unia Europejska sprowadziła panele słoneczne o wartości 19,7 mld euro, podczas gdy wartość eksportu wyniosła zaledwie ok. 900 mln euro



Unia Europejska sprowadziła panele słoneczne o wartości 19,7 mld euro, podczas gdy wartość eksportu wyniosła ok. 900 mln euro. Chiny były zdecydowanie największym dostawcą paneli słonecznych, odpowiadając za 98 proc. całego importu.

Oczekiwania przewodniczącej

Każdy z nowych unijnych komisarzy – także zastępcy Ursuli von der Leyen – otrzymał od niej tzw. mission letter, by wiedzieć, czym ma się zająć. W przypadku strategii dla przemysłu przewodnicząca KE wskazała, że ma ona obejmować „optymalne warunki inwestowania, dekarbonizację, wzmocnienie konkurencyjności i suwerenności Europy w sektorach i technologiach, które będą kształtować gospodarkę jutra”. Plan przemysłowy nie może być oderwany od Europejskiego Zielonego Ładu, którego urzeczywistnienie jest priorytetem na najbliższe lata, zatem i przyszłość ma należeć głównie do związanych z nim branż. Stąd Czysty Ład Przemysłowy ma nie tylko pomóc przyspieszyć rozwój energii odnawialnej, lecz praktycznie przestawić większą część europejskiej gospodarki na nowe, niskoemisyjne (lub bezemisyjne) tory.

Formalnie równocześnie – jak wynika z mission letter – zostanie zmieniona polityka konkurencji, a „nacisk powinien zostać położony na odporność, wydajność i innowacyjność” oraz przyspieszenie inwestycji w niektórych sektorach strategicznych. Na nowej polityce unijnej mają skorzystać też małe firmy działające w branży energii odnawialnej, by mogły rozszerzyć działalność. Ale mają być również chronione przed przejściem przez firmy spoza Unii, „które chcą wyeliminować je jako potencjalne źródło przyszłej konkurencji”.

Strategii przemysłowej ma także towarzyszyć Europejski Fundusz Konkurencyjności. Poza tym zaplanowano m.in. ułatwienia i przyspieszenie procedowania „wniosków dotyczących ważnych projektów będących przedmiotem wspólnego zainteresowania dla najbardziej strategicznych sektorów i technologii, które mogą szybko uzyskać dostęp do finansowania i zacząć działać”. Unijna strategia ma też pomóc w „tworzeniu wiodących rynków dla czystych technologii” i „zapewnić przedsiębiorstwom optymalne warunki do rozwoju i konkurowania w skali globalnej”. Biznes dzięki nowej strategii ma zyskać również ułatwienia biurokratyczne, gdyż mniejsze będą obowiązki w zakresie raportowania i sprawozdawczości (obecnie kosztowne i czasochłonne).

37

LISTOPAD 2024 // GAZETA BANKOWA

Każdy z nowych unijnych komisarzy – także zastępcy Ursuli von der Leyen – otrzymał od niej tzw. mission letter, by wiedzieć, czym ma się zająć. W przypadku strategii dla przemysłu przewodnicząca KE wskazała, że ma ona obejmować „optymalne warunki inwestowania, dekarbonizację, wzmocnienie konkurencyjności i suwerenności Europy w sektorach i technologiach, które będą kształtować gospodarkę jutra”. Plan przemysłowy nie może być oderwany od Europejskiego Zielonego Ładu, którego urzeczywistnienie jest priorytetem na najbliższe lata, zatem i przyszłość ma należeć głównie do związanych z nim branż. Stąd Czysty Ład Przemysłowy ma nie tylko pomóc przyspieszyć rozwój energii odnawialnej, lecz praktycznie przestawić większą część europejskiej gospodarki na nowe, niskoemisyjne (lub bezemisyjne) tory.

Strategii przemysłowej ma także towarzyszyć Europejski Fundusz Konkurencyjności. Poza tym zaplanowano m.in. ułatwienia i przyśpieszenie procedowania „wniosków dotyczących ważnych projektów będących przedmiotem wspólnego zainteresowania dla najbardziej strategicznych sektorów i technologii, które mogą szybko uzyskać dostęp do finansowania i zacząć działać”. Unijna strategia ma też pomóc w „tworzeniu wiodących rynków dla czystych technologii” i „zapewnić przedsiębiorstwom optymalne warunki do rozwoju i konkurowania w skali globalnej”. Biznes dzięki nowej strategii ma zyskać również ułatwienia biurokratyczne, gdyż mniejsze będą obowiązki w zakresie raportowania i sprawozdawczości (obecnie kosztowne i czasochłonne).

Raport Draghiego w tle

W opracowaniu najnowszej strategii przemysłowej swoistym wsparciem ma być raport opublikowany we wrześniu przez grupę ekspercką na czele z Mario Draghim, byłym szefem Europejskiego Banku Centralnego. Sama Ursula von der Leyen sugerowała, że wniośki z tego dokumentu powinny być brane pod uwagę przez nowych unijnych komisarzy (szczególnie, że w swoich zapowiedziach działań nowego unijnego rządu na pierwsze 100 dni jest publikacja kilku ważnych dokumentów, a nie tylko programu dla przemysłu). Sam Draghi ostrzegał przy okazji publikacji swojego dokumentu, że Unia Europejska dotarła „do punktu, w którym bez podjęcia działań będziemy musieli albo narazić na szwank nasz dobrobyt, nasze środowisko, albo naszą wolność”. Koszty tych działań będą jednak ogromne, gdyż oczekuje, że wartość inwestycji ma być o 750–800 mld euro rocznie wyższa niż dotychczas, co odpowiada równowartości 4,4–4,7 proc. unijnego PKB (już teraz Unia wydaje 22 proc. PKB). By pokryć potrzeby, włoski polityk sugeruje zwiększenie wspólnego unijnego długu, co jest bardzo ryzykownym i kontrowersyjnym pomysłem. Zaś „wspólne pożyczki UE powinny być regularnie wykorzystywane do realizacji ambicji bloku w zakresie transformacji cyfrowej i zielonej, a także na bardzo potrzebne wzmocnienie zdolności obronnych”.

I – co oczywiste – w raporcie jest też postulat opracowania rzetelnej jednolitej strategii przemysłowej dla Europy oraz bardziej zdecydowanej odpowiedzi na dotacje, jakich na zielone technologie udzielają USA i Chiny. Mario Draghi uważa, że „wspólnotowy plan dekarbonizacji i konkurencyjności mógłby w określonych okolicznościach obejmować obronne środki handlowe mające na celu wyrównanie szans w skali globalnej oraz zrównoważenie sponsorowanej przez państwo konkurencji za granicą”. A zatem sugeruje wykorzystywanie takich środków jak polityka celna. I tak już dzieje się w przypadku branży motoryzacyjnej. Unia – po dochodzeniu, potwierdzającym nieuzasadnioną pomoc

publiczną dla chińskich producentów samochodów elektrycznych – nałożyła najpierw w lipcu tymczasowo dodatkowe cła, a od października ostateczne, w wysokości od kilkunastu do ponad 30 proc. Stawki zależały od tego, jak i czy dany koncern udostępnił dane unijnym inspektorom. Tym samym – choć władze unijne naraziły kontynent na akcję odwetową Pekinu, co widać w zapowiedziach dochodzeń w sprawie sprowadzanych do Chin unijnych wyrobów mięsnych, mleczarskich, serów i twarogów oraz koniaku – ochrona rodzimych producentów przed zalewem tanich chińskich elektryków stała się koniecznością.

Strategia goni strategię

O ile wytyczne do najnowszej strategii przemysłowej zaproponowane przez przewodniczącą KE nie wzbudzają wątpliwości, o tyle dopiero po jej opublikowaniu okaże się, czy faktycznie zostaną uwzględnione. A nawet jeśli tak się stanie, to odrębnym problemem zapewne będzie jej wdrożenie. Tym bardziej, że wymagane będą nie tylko konsultacje z europarlamentem, lecz także uzgodnienia z państwami członkowskimi, a już nie jest tajemnicą, że nie wszystkie są zwolennikami dalszego zadłużania Unii.

Rodzi się też pytanie, na ile nowa strategia poprawi sytuację przedsiębiorstw, szczególnie że w ostatnich dwóch latach – praktycznie od kryzysu energetycznego 2022/2023 – unijne władze proponują i publikują ustawy oraz programy dla poszczególnych segmentów gospodarki i branż w reakcji na ich trudną sytuację, jednak ich efekt jest niewielki. Pokazują to kolejne dane i raporty, według których spada znaczenie europejskich firm, także tych wiodących, w zderzeniu z działaniami władz USA czy Chin. Przypomnijmy, że już zaledwie trzy miesiące po agresji Rosji na Ukrainę Komisja Europejska opracowała program REPower EU, którego efektem miał być gwałtowny wzrost OZE i doprowadzenie w szybkim czasie – bo do 2027 r. – do rezygnacji z rosyjskich paliw kopalnych. Plan był tak ambitny, że jego koszty inwestycyjne oszacowano na ponad bilion euro (według Rystad Energy), choć KE mówiła o 300 mld euro. A celem na rok 2030 było potrojenie (z ok. 200 GW do 600 GW) mocy w fotowoltaice i niemal 500 GW mocy w energetyce wiatrowej. Sukces w tym ostatnim zakresie póki co jest połowiczny, a w przypadku importu gazu Rosja znów znajduje się w ścisłej czołówce dostawców, zajmując drugie miejsce i wyprzedzając nawet USA. Tempo inwestycji nie tylko w farmy wiatrowe i panele PV też wzbudza wątpliwości. A na poprawę koniunktury liczą również producenci pomp ciepła, czekając na wdrożenie dyrektywy budynkowej nakazującej montaż ekoogrzewania.

Od maja br. obowiązuje Net Zero Industry Act, czyli kolejny zestaw celów gospodarczych, dzięki którym Unia ma poprawić konkurencyjność w sektorach mają-

”

Rosja znów jest w ścisłej czołówce dostawców gazu do Europy, zajmując drugie miejsce i wyprzedzając nawet USA. Tempo inwestycji w farmy wiatrowe i panele PV też wzbudza wątpliwości

cych doprowadzić Europę do neutralności klimatycznej w połowie wieku. A efekt ma być taki, że już za sześć lat europejscy producenci będą pokrywać 40 proc. zapotrzebowania kontynentu w zakresie choćby zapotrzebowania na turbiny wiatrowe i panele PV, w 2040 zaś – nawet 15 proc. światowego zapotrzebowania. Jednocześnie przewidziano system zachęt dla OZE, czyli dodatkowe ułatwienia i rozwiązania pozwalające na promowanie oraz uprzywilejowanie europejskich podmiotów w przetargach na ekoprojekty, gdzie podstawowym kryterium niekoniecznie ma być cena. Pierwsze efekty tych przepisów już odczuli organizatorzy przetargów na farmy słoneczne i wiatrowe w Rumunii oraz w Niemczech, którzy wybrali oferty... chińskich firm, a Bruksela zapowiedziała sprawdzenie przebiegu przetargów.

Wątpliwe założenia

Unia Europejska ma także opracowaną ustawę o surowcach krytycznych, która z założenia ma przybliżyć blok do źródeł niezbędnych w transformacji minerałów i metali ziem rzadkich. Do European Critical Raw Materials Act wpisano poziomy krajowych zdolności produkcyjnych w całym łańcuchu dostaw surowców, które mają zostać osiągnięte w ciągu zaledwie sześciu lat, czyli co najmniej 10 proc. rocznego zużycia UE w wydobywaniu, co najmniej 40 proc. w przetwórstwie surowców. Dzięki niemu Unia Europejska ma sobie zapewnić bezpieczne i zrównoważone dostawy. W ustawie jest też zapis o konieczności dywersyfikacji kierunków i dostawców, choć określony raczej ostrożnie, skoro nie więcej niż 65 proc. potrzebnego surowca strategicznego może pochodzić z jednego kraju (spoza UE). Choć wszyscy są zgodni co do tego, że Unia musi mieć zapewnione niezbędne surowce, to wielu ekspertów podaje w wątpliwość przyjęte w tej strategii założenia. Zwłaszcza choćby biorąc pod uwagę problemy z uzyskiwaniem niezbędnych pozwoleń do uruchomienia choćby wydobywania niektórych minerałów, a także ostre protesty aktywistów i ekologów. Eksploatacja niektórych złóż wiąże się z bardzo niekorzystnym wpływem na środowisko i otoczenie. A pozycja konkurentów – nie tylko z Chin – jest niezwykle silna, więc i szanse na nadrobienie dystansu są niewielkie.

Formalnie w Unii obowiązuje też Europejska Tarcza Solarna, ale również alians na rzecz energetyki jądrowej i wsparcia małych reaktorów, czyli Europejski Sojusz Przemysłowy ds. SMR. Ten ostatni na przykład działa poprzez grupy robocze „w celu poprawy warunków rozwoju i wdrażania projektów, w tym odbudowy łańcucha dostaw dla energetyki jądrowej”, a celem jest wsparcie konkretnych inwestycji.

Każda z tych inicjatyw stanowi swoistą odpowiedź na oczekiwania sektora. Pytanie, czy rzeczywiście takich odpowiedzi się doczeka. ●



fol. Shutterstock

Z czym mierzy się Unia Europejska*

Chińskie firmy dostarczają Europie 90 proc. potrzebnych modułów fotowoltaicznych. Na nie przypada także dwie trzecie światowego wytwórstwa polikrzemu, a w UE ta produkcja jest praktycznie marginalna. W 2023 r. koszty produkcji modułów słonecznych w Chinach spadły do 0,15 dol./W, podczas gdy w Unii wynoszą dwa razy tyle, a w USA 0,4 dol./W. Ten spadek cen doprowadził do ograniczenia wytwarzania paneli na naszym kontynencie. UE importuje wiele materiałów i komponentów, których używa do produkcji modułów i ogniw słonecznych, przede wszystkim z Chin, ale też z Malezji i Wietnamu. Dane pokazują, że ponad 60 proc. nowych instalacji fotowoltaicznych w Europie jest wyposażonych w chińskie falowniki, a udział samego Huawei wynosi w tym zakresie prawie 30 proc.

W przypadku baterii, które nie tylko zasilają auta elektryczne, lecz również są niezbędne w nowych obiektach magazynowania sieciowego, uzależnienie od Chin także jest znaczące. Niemal jedna trzecia baterii w pojazdach elektrycznych, jakie sprzedano w Unii w 2023 r., została wyprodukowana w chińskich zakładach. A ich cena (126 dol. za kilowatogodzinę) była niższa o 20 proc. niż w UE i o 10 proc. niż w USA. Chiny kontrolują prawie 41 proc. światowych zasobów kobaltu, 28 proc. litu i 78 proc. grafitu, który jest wydobywany głównie bezpośrednio w Państwie Środka. Ta dominacja jest jeszcze bardziej widoczna w przetwórstwie minerałów. Ok. 95 proc. manganu, 73 proc. kobaltu, 70 proc. grafitu, 67 proc. litu i 63 proc. niklu jest rafinowanych w zakładach zlokalizowanych w Chinach. To także ten kraj produkuje 77 proc. katod i 92 proc. anod, które są kluczowymi pośrednimi materiałami dla ogniw baterii.

* Wybrane przykłady na podstawie Raportu European Council Foreign Relations o ryzykach wynikających z unijnej zależności od zielonych technologii z Chin

ARKADY SAULSKI



Fot. kpr. Sławomir Kozioł

Przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać na F-35 w polskich bazach wojskowych, ale już teraz nasz kraj wszedł do wielkiej lotniczej koalicji. Husarz to postrach przestworzy i bicz na każdego, kto chciałby zagrozić naszym granicom

Polska zamówiła 32 odrzutowce F-35A. Pierwszy z nich, oznaczony jako AZ-01, trafi do Polskich Sił Powietrznych jeszcze w tym roku. Samolot będzie początkowo stacjonował w bazie Ebbing Air National Guard w stanie Arkansas, gdzie będą szkoleni polscy piloci. F35 jest nie tylko najnowocześniejszym samolotem bojowym na globie, lecz także platformą integrującą rozmaite elementy uzbrojenia, łączności, swoistym latającym centrum dowodzenia i koordynacji dla wojsk obecnych na polu walki. Maszyna została już zaprezentowana podczas specjalnego wydarzenia w USA. Widzieli ją krajowi eksperci.

– Polski samolot to wersja A, czyli następca F-16. Podobnie jak samolot norweski będzie dysponował

na kadłubie dodatkowym garbem, w którym znajduje się spadochron hamujący. Umożliwia to korzystanie z krótkich pasów startowych. To rozwiązanie poza Polską i Norwegią wybrało niewiele państw – mówi Maciej Szopa, ekspert ds. wojskowości i lotnictwa, zarazem jeden z pierwszych Polaków, którzy uczestniczyli w odsłonięciu polskiego eFa.

Co ważne, pierwsze rozmowy na temat polskich F-35 prowadzone były ze stroną amerykańską już w 2017 roku, sam zakup zaś między naszymi siłami zbrojnymi a producentem eFa, koncernem Lockheed Martin, finalizował szef Ministerstwa Obrony Narodowej z ramienia rządów Zjednoczonej Prawicy Mariusz Błaszczak. Działo się to w innej sytuacji geopolitycznej, jednak obecnie sprawa F-35 i obrony polskiego nieba wydaje się istotniejsza niż kiedykolwiek.

Elitarny klub

F-35 w rozmaitych wersjach zostały zamówione przez kilkanaście państw świata, głównie z Zachodu, ale także kilka rosnących potęg azjatyckich sięgnęło po tę technologię, jak również mniejsze kraje, obawiające się o swoje bezpieczeństwo. Samolot ów zamówiło 12 państw europejskich: Belgia, Czechy, Norwegia, Finlandia, Niemcy, Wielka Brytania, Włochy, Holandia, Norwegia, Polska, Szwajcaria i Grecja. W tym ostatnim przypadku mamy do czynienia z zapotrzebowaniem na maszyny, które będą mogły nie tylko operować w koordynacji z rozmaitymi innymi systemami uzbrojenia, lecz również wspierać marynarkę wojenną tego kraju. Zwłaszcza że obecne relacje z największym oponentem Grecji – Turcją – są coraz bardziej napięte. I choć wojna między członkami NATO na obecną chwilę wydaje się niemożliwa, Ateny nie mają zamiaru ryzykować i obudzić się w krytycznej chwili bez niezbędnego uzbrojenia. Jak mówił Mike Schmidt, generał broni, dyrektor wykonawczy programu F-35 Joint Program Office: „F-35 zapewni wyjątkowe możliwości Greckim Siłom Powietrznym, zbuduje interoperacyjność między naszymi sojusznikami i wzmocni skuteczność bojową całego NATO”. Jak dodała z kolei Bridget Lauderdale, wiceprezes Lockheed Martin i dyrektor generalna programu F-35: „F-35 jest jedynym myśliwcem, który może wzmocnić suwerenność Grecji i jej zdolności operacyjne z sojusznikami”.

F-35 szybko staje się podstawowym myśliwcem wykorzystywanym w siłach NATO, oferując niezrównaną interoperacyjność z Sojuszem i innymi sojusznikami. Zdolność ta stanowi znaczącą przewagę dla Stanów Zjednoczonych i innych krajów członkowskich NATO, zapewniając strategiczną przewagę w powietrzu przez dziesięciolecie. Do 2030 roku ponad 600 maszyn F-35 będzie współpracować z ponad 10 państwami europejskimi, w tym dwiema pełnymi amerykańskimi eskadrami F-35 stacjonującymi w Royal Air Force Lakenheath. Mara Motherway, wiceprezes Lockheed Martin ds. strategii i rozwoju biznesu, podkreśla, że „rosnąca obecność F-35 w Europie jest potężnym świadectwem odstraszania opartego na współpracy i stanowi istotny fundament dla zdolności NATO oraz państw sojuszników w zakresie obrony powietrznej nowej generacji”.

”

F-35 szybko staje się podstawowym
myśliwcem wykorzystywanym
w siłach NATO, oferując niezrównaną
interoperacyjność

Posiadanie F-35 sprawia, że kraj, który jest dysponentem tej potężnej maszyny, wchodzi do wielkiej lotniczej koalicji – niezbędnej w obecnym klimacie geopolitycznym, kiedy wielkie totalitarne reżimy (Rosja, Chiny, ale też Iran) rzucają wyzwanie mniejszym państwom. Idea kolektywnej obrony, stojąca u podstaw NATO, znowu stała się aktualna, a F-35 jest jej najdoskonalszym wyrazem... nie tylko w Europie, bo i Australia – świadoma zagrożenia ze strony Chin – także posiada własne eFy. Dysponuje więc sprzętem, o którym Pekin, mimo propagandowych deklaracji o rozwoju własnego uzbrojenia, może tylko pomarzyć.

Rosja przed nim drży

I nie tylko Pekin, również Rosja – mimo formalnie nadal aktywnego własnego programu myśliwców najnowszej generacji – nie dysponuje sprzętem zdolnym rzucić wyzwanie eFom. – F35 to najwyższa kategoria zdolności bojowych. To najnowocześniejszy samolot, ale i platforma uzbrojenia, nieporównywalna z niczym innym – mówi nam Piotr Langenfeld, analityk i ekspert ds. bezpieczeństwa. Jak dodaje, polskie eFy będą zdolne osiągać bezwzględną przewagę w powietrzu nad wojskami potencjalnego nieprzyjaciela ze Wschodu. – Możliwość śledzenia i atakowania kilku celów powietrznych w przypadku jednej maszyny. To utrudnione wykrycie przez nieprzyjaciela, a co za tym idzie niepostrzeżone podejście do celu naziemnego. F-35 będzie zintegrowany z innymi systemami, takimi jak sensory czołgów czy śmigłowców Apache. Będzie mógł przekazywać obraz sytuacji operacyjnej do centrów dowodzenia różnego szczebla. F-35 to najwyższa jakość nowoczesnych technologii. Dołączamy do elitarnego klubu posiadaczy tej maszyny. Co ważniejsze, nasze F-35 będą operować w pobliżu najbardziej niebezpiecznego obszaru w Europie – tłumaczy.

Czy to oznacza, że sama obecność eFów będzie odstraszać agresywne zapędy Kremla? Langenfeld nie ma wątpliwości: – Samo ich pojawienie się wraz z np. pociskami dalekiego zasięgu wymusi na nieprzyjacielu przewartościowanie planów rozmieszczenia choćby własnych baz. Jak skutecznie działa F-35, pokazują doświadczenia z Bliskiego Wschodu. Nie ma chyba oficjalnych potwierdzeń, ale to izraelskie eFy dokonują spustoszenia w syryjskiej obronie przeciwlotniczej, dostarczanej, a jakże, z Rosji.

Jak więc wyglądałoby potencjalne starcie z Rosją, gdy Polska będzie posiadać już samoloty F-35? Langenfeld opisuje: – Mogę tylko sobie to wyobrazić. Ukraina pokazała, jak skuteczne są zachodnie, głównie amerykańskie, systemy powietrzne i rakietowe. Wojna pokazuje też, jak ważne jest wsparcie z powietrza, nawet starymi bombami używanymi przez Rosjan. Zgodnie z doktryną amerykańską i NATO-wską należy wywalczyć przewagę, a potem panowanie w powietrzu. Trzeba

szybciej wykrywać samoloty przeciwnika, potem obronę przeciwlotniczą, atakować lotniska z dłuższego dystansu i wtedy uderzać na siły lądowe, a przede wszystkim ich logistykę.

To sprawi, że np. polskie siły pancerne nie tylko będą miały większe szanse w starciach z rosyjską „techniką”, lecz wręcz, że owa „technika” nie zdoła nawet opuścić parku maszyn!

Atomowa ostateczność

Niezwykle istotny jest jeszcze jeden element, który wprowadzają polskie Husarze – chodzi o możliwość przenoszenia taktycznych głowic jądrowych. Oczywiście Polska nie posiada własnej broni jądrowej, ale doktryna NATO zakłada możliwość zaproszenia nowych państw do nuclear sharing. Czym jest ten program?

„Jeżeli byłaby taka decyzja naszych sojuszników, żeby rozlokować broń nuklearną w ramach nuclear sharing także na naszym terytorium, aby umocnić bezpieczeństwo wschodniej flanki NATO, to jesteśmy na to gotowi” – powiedział prezydent Andrzej Duda w wywiadzie dla dziennika „Fakt” jeszcze w kwietniu tego roku. Istotnie, postulat włączenia Polski do tego programu pojawia się wielokrotnie. Zgłaszano go już na długo przed rosyjską agresją na Ukrainę. F-35 zdolny jest przenosić tego typu głowice, a koincydencja dla wejścia naszego kraju do nuclear sharing nie mogła być lepsza, oto bowiem nasz zachodni sąsiad – Niemcy – wkrótce straci możliwość uczestnictwa w programie. A to dlatego, że samoloty niemieckich sił zbrojnych są zbyt przestarzałe, by przenosić głowice jądrowe (Niemcy do programu nuclear sharing należą), toteż w niektórych niemieckich kręgach pojawiła się myśl, iż na ten czas, kiedy Berlin będzie się przedstawiał na nowe maszyny (oczywiście F-35), to Polska mogłaby być krajem, który przyjąłby atomowe zobowiązanie. Niestety obecny rząd wydaje się wobec pomysłu sceptyczny, ale głośno „nie” jeszcze nie padło.

To, co nie budzi sceptycyzmu, to perspektywa zakupu kolejnych eFów. „Rozważamy zakup kolejnych samolotów bojowych. Naszym celem jest zbudowanie większej floty powietrznej” – powiedział w sierpniu

”

Rosja – mimo formalnie nadal aktywnego własnego programu myśliwców najnowszej generacji – nie dysponuje sprzętem zdolnym rzucić wyzwanie eFom



General dywizji pilot Ireneusz Nowak, dowodzący polskimi siłami powietrznymi

wiceszef MON Paweł Bejda podczas ceremonii prezentacji pierwszego polskiego F-35 w Fort Worth w Teksasie. To bardzo ważne słowa. Idea dokupienia F-35 cieszy się uznaniem ekspertów. Jak wskazuje dr Piotr Napierała, historyk i ekspert ds. bezpieczeństwa, nabycie kilkudziesięciu kolejnych samolotów F-35 wraz z uzbrojeniem mogłoby być nawet skuteczniejsze w odstraszeniu Rosji niż zakupy „pancerne”.

Maciej Szopa potwierdza tę koncepcję. – F-35 jest szansą, ale też wyzwaniem. Podobnie jak wcześniej był nim F-16. Siły Zbrojne RP muszą odrobić wielką lekcję, aby używać wszystkich możliwości tych maszyn. F-35 może dostarczać informacji do systemów artyleryjskich, przeciwlotniczych, przeciwokrętowych oraz innych samolotów i wygrywać wojnę, nawet nie otwierając swojej komory uzbrojenia. Wszystko musi zostać jednak połączone sieciocentrycznym systemem dowodzenia. Przygotowania do osiągnięcia tego wszystkiego trwają i wierzę, że uda się osiągnąć ten cel – mówi. – W sytuacji, w której będziemy mieli dwie lub cztery (rozważane jest dokupienie) eskadry F-35, samoloty te będą wskazywały cele polskiej obronie powietrznej, prowadziły do walki F-16 i FA-50, które uderzą z bezpiecznej dla nich odległości – dodaje. Słowem, Husarz będzie siał prawdziwe zniszczenie z powietrza, demolując siły nieprzyjaciela.

Choć początkowo panował sceptycyzm wobec zakupu F-35, teraz jest już jasne, że maszyny te będą nie tylko wzmocnieniem naszej obronności, lecz również wielkim straszakiem na agresorów. A najlepsze uzbrojenie to takie, które zniechęca do ataku samą obecnością. ●

Jest lepszy niż wszystko, o czym może zamarzyć Rosja

Widział pan polskiego Husarza na żywo. Jakie wrażenie robi F-35?

Maciej Szopa, ekspert ds. wojskowości i lotnictwa, analityk: Nie jest to pierwszy F-35, jakiego widziałem w życiu, ale ten samolot z polskimi szachownicami, efektownie oświetlony i na białoczerwonym tle zrobił na mnie wielkie wrażenie. Szczególnie, kiedy się wie, że jest lepszy niż wszystko, o czym może zamarzyć Rosja.



Wiemy, że Polska, nabywając te maszyny, wchodzi w pewną lotniczą koalicję posiadaczy eFów. Co się kryje za tym pojęciem? Jak taka koalicja wzmacnia nasze zdolności obronne?

To nie tyle wejście do „koalicji”, ile do klubu posiadaczy samolotów F-35. Będziemy opierali się o wspólny system logistyczny, który zapewni części na czas, a nawet przewiduje przyszłe potrzeby w tym zakresie na podstawie oceny stanu samolotu. Na pewno umiejętność używania i obsługi F-35 w Polsce spowoduje, że takie odrzutowce sojusznicze będą mogły z łatwością operować z naszego terytorium, co dodatkowo zwiększy nasze bezpieczeństwo.

Nie mogę nie zapytać o to, czy polska maszyna będzie się jakoś różnić od innych? Czy Polska zamówiła dla swojego F-35 jakiś „indywidualny pakiet”?

Polski samolot to wersja A, czyli następcą F-16. Podobnie jak samolot norweski będzie dysponował na kadłubie dodatkowym garbem, w którym znajduje się spadochron hamujący. Umożliwia to korzystanie z krótkich pasów startowych. To rozwiązanie poza Polską i Norwegią wybrało niewiele państw.

F-35 ma być nie tylko samolotem o wielu funkcjach, lecz także swoistym integratorem dla rozmaitych systemów pola walki. Czy Wojsko Polskie jest przygotowane technicznie na taką integrację?

F-35 jest szansą, ale też wyzwaniem. Podobnie jak wcześniej był nim F-16. Siły Zbrojne RP muszą odrobić wielką lekcję, aby używać wszystkich możliwości tych maszyn. F-35 może dostarczać informacji do systemów artyleryjskich, przeciwlotniczych, przeciwokrętowych i innych samolotów oraz wygrywać wojnę, nawet nie otwierając swojej komory uzbrojenia. Wszystko musi zostać jednak połączone sieciocentrycznym systemem dowodzenia. Przygotowania do osiągnięcia tego wszystkiego trwają i wierzę, że uda się osiągnąć ten cel. Warto dodać, że wejście w F-35 jest mniejszym przeskokiem dzisiaj, niż 20 lat temu było przejście z samolotów sowieckich na F-16. Z F-16 się udało, więc teraz powinno udać się tym bardziej.

A może musimy nadrobić jakieś zapóźnienia?

F-35, tak jak F-16 wcześniej, będzie bodźcem do wzrostu kultury technicznej i organizacyjnej w Wojsku Polskim. Raczej patrzę na to jak na szansę i podniesienie sobie poprzeczki niż na zagrożenie.

Nie sposób nie zapytać o bojowe wykorzystanie polskiego eFa. Jakie zastosowanie miałyby F-35 w starciu z Rosją? Wszak „nasza” wojna miałaby chyba inny charakter niż konflikt ukraiński – czy może się myłę?

W sytuacji, w której będziemy mieli dwie lub cztery (rozważane jest dokupienie) eskadry F-35, samoloty te będą wskazywały cele polskiej obronie powietrznej, prowadziły do walki F-16 i FA-50, które uderzą z bezpiecznej dla nich odległości, a same będą mogły albo wziąć udział w obronie powietrznej kraju, zestrzeliwując cele latające, albo w trybie stealth przenikną w rejony baz lotniczych czy zaopatrzeniowych nieprzyjaciela i dokonają ich zniszczenia. Cechy stealth są tutaj kluczowe i pozwolą przeniknąć przez obronę powietrzną wroga. ●

Rozmawiał Arkady Saulski

ROZMAWIAŁA
BEATA ZUBOWICZ

fol. Andrzej Wiktor

Rynek młody i chaotyczny

O polskim i zachodnim rynku sztuki, galerii w Wenecji i w Warszawie, a także o tym, czym jest prawdziwe malarstwo i jak wygląda droga artysty na światowe szczyty, mówią Józef Krzysztof Oraczewski – malarz, i Monika Turczyńska – właścicielka galerii Orac w Warszawie oraz A Space w Wenecji

W listopadzie otwiera pan wystawę swoich prac w Wenecji. Czy to pierwsza pańska wystawa we Włoszech?

Józef Krzysztof Oraczewski: We Włoszech kolejna, a w Wenecji druga. Pierwsza odbywała się od kwietnia do połowy lipca, przy okazji Biennale Sztuki. Zauważyliśmy, że w Wenecji w tym czasie odbywa się wiele różnorodnych działań związanych z tematyką Biennale. Więc pod hasłem tegorocznego Biennale „Obcokrajowcy są wszędzie” postanowiliśmy zorganizować wystawę o charakterze stricte artystycznym. Jej tytuł „Venice Whispers” można tłumaczyć jako „Szeptu weneckie” lub „Wenecja szepcze”. To był

nasz hołd dla miasta. A potem zaczęliśmy analizować, co tak naprawdę oznacza Biennale, Wenecja i karnawał wenecki. Monika, która była kuratorem wystawy, zaproponowała, aby rozszerzyć projekt. I tak powstał „Carnival Biennale Mask” – nowy projekt, w którego ramach 15 listopada odbędzie się moja druga wystawa w galerii A Space.

Monika Turczyńska: Ponieważ mam filozoficzny background, uważam, że sztuka jest nie tylko obiektem materialnym, odzwierciedla pewne procesy, które zachodzą w społeczeństwie, kryzysy egzystencjalne; coś, co w ludziach kipi, ale nie umieją tego wyrazić.

A artyści z tych różnych napięć, odczuć i konfliktów wyławiają sedno, zamykają je w sztuce. Celem naszego projektu jest więc nadawanie sensu myślom i emocjom. Projekt czerpie inspirację z koncepcji zderzania się różnych perspektyw w twórczości Józefa Krzysztofa Oraczewskiego. Łączy ideę Biennale z ideą karnawału weneckiego i zadaje wiele prowokujących pytań: czy Biennale to ciąg dalszy karnawału? Czy doszło do zamiany ról? Czy udajemy, że zajmujemy się prawdziwymi tematami społecznymi, gdy tymczasem robimy biznesy, czy robimy show? Gdzie w tym wszystkim jest sztuka, artysta? To pytania, które pojawiają się na styku biznes-sztuka-marketing i są kluczowe w naszym poszukiwaniu równowagi pomiędzy sztuką a jej komercyjnym kontekstem.

I ten właśnie projekt realizowany jest w państwa galerii w Wenecji?

J.K.O.: Tak. Ale uwaga: ja jestem artystą galerii. To Monika jest galerzystką.

Dlaczego wybrali państwo właśnie Wenecję?

M.T.: Bo tam dzieje się wszystko, co najważniejsze w sztuce. Wenecja żyje sztuką. Jest fascynująca.

J.K.O.: Nasza galeria znajduje się w ścisłym centrum. Dookoła jest kilkanaście wystaw. Bo nie wszystkie kraje uczestniczące w Biennale mają swoje pawilony na terenie wystawowym. A jeśli nie mają, to je wynajmują w mieście. I dosłownie obok naszej galerii jest kilka prezentacji krajowych. A w całej Wenecji są ich dziesiątki.

Od jak dawna istnieje wenecka galeria?

M.T.: Od roku.

Jak polski artysta i polska galerzystka trafiają do Włoch?

J.K.O.: Wchodzimy na Mount Everest. To jedyna polska galeria w Wenecji. Są oczywiście wystawy i prezentacje polskich twórców, ale A Space Gallery jest jedyną galerią z polskimi korzeniami. Ponieważ od 2017 r. mamy galerię Orac w Warszawie, postanowiliśmy też pobyć w różnych miejscach na świecie: bywamy na targach sztuki w Bazylei, Londynie, Kolonii, Miami, Palm Beach, Nowym Jorku, ale kiedy tylko mieliśmy możliwość wyjazdu na Biennale Sztuki do Wenecji, to zawsze tam jeździliśmy. I chłoniliśmy atmosferę. Aż tu nagle okazało się, że jest szansa, by właśnie tam – dokładnie 400 metrów od placu San Marco – zaistnieć. Teraz się rozglądamy, poznajemy warunki. Byliśmy tam także w czasie ostatniego festiwalu filmowego.

M.T.: Liczyliśmy na to, że wejdzie di Caprio, ale nie wszedł [śmiech]. Cały świat chce się pokazać w Wenecji od strony artystycznej.

Ale skoro „cały świat”, to chyba nie jest to taka prosta sprawa, aby tam zaistnieć.

M.T.: Artysta jest przyzwyczajony do robienia rzeczy niemożliwych. Uważam, że jeśli czegoś naprawdę się chce, to się to kreuje. Z tym, że nasza wenecka galeria nie jest – co zawsze powtarza Oraczewski – sklepem z obrazami. To nawet nie jest stricte galeria, czyli miejsce do prezentowania dzieł sztuki.

A czym jest?

M.T.: To miejsce spotkań artystów, kolekcjonerów, krytyków i miłośników sztuki. Chcemy współpracować z artystami z całego świata. Mamy nadzieję, że przyciągniemy tych, którzy chcą coś przekazać od siebie i których twórczość się obroni na rynku sztuki.

Czyli będzie pani wystawiać prace nie tylko Oraczewskiego, lecz także innych twórców?

M.T.: Taki mamy plan. Współpracujemy z kilkoma bardzo interesującymi twórcami. Organizujemy konkurs, który jest częścią projektu „Carnival Biennale Mask”, żeby poszukać takich artystów, którzy mają potencjał zarówno artystyczny, jak i inwestycyjny, ale przede wszystkim są wolni oraz autentyczni. Dziś artyści, żeby móc się poruszać w świecie sztuki, często rezygnują z własnej tożsamości, autentyczności, z tego, co chcieliby przekazać światu, na rzecz tego, co się sprzeda. To prawda, że artyści zawsze musieli balansować między wolnością twórczą a kontekstem społecznym. Jednak dziś artysta, aby zaistnieć, musi być w jakimś nurcie, musi być z kimś zaprzyjaźniony, spełniać czyjeś oczekiwania. A przecież jedyną wartością, która przetrwa, jest autentyczność, i to ona wraz z ideą, którą artysta chce przekazać, przełoży się na późniejszą wartość finansową dzieła. Chcemy, żeby nasze projekty były manifestem artystycznej wolności twórców, ale jednocześnie dbamy o to, aby każda wystawa była nie tylko przeżyciem estetycznym, lecz również zaproszeniem do odkrycia możliwości inwestycyjnych.

Mówi pani o wartości finansowej dzieła i możliwościach inwestycyjnych, czyli na sztuce można robić biznes.

J.K.O.: Sztuka może, choć nie musi, być biznesem. I nie każdy biznesowy projekt artystyczny jest sztuką. Problem polega na tym, w jakich kategoriach tę sztukę odbieramy. Ponieważ sztuka jest zajęciem prestiżowym i można na niej zarobić, wiele działań jest dziś kreowanych – zwłaszcza w internecie – jako sztuka, choć w rzeczywistości niewiele mają z nią wspólnego. Pojawiło się mnóstwo ludzi, którym internet dał szansę na zaistnienie, ale też łatwy dostęp do światowych tendencji. Niektórzy sugerują się więc tym, co znajduje w sieci, i patrzą, ile ma to lajków. Potem robią coś podobnego, ale nie zastanawiają się, jakie przesłanie to ze sobą niesie. I okazuje się, że coś, co jest modne, promowane i eksponowane, nie ma oparcia w żadnej idei. To tylko przedmiot pod nazwą obrazek. Tymczasem sztuka musi być związana z ideą i przeżyciem.

”

Na wypromowanie artysty potrzebne są ogromne zasoby – nie tylko finansowe, lecz także czasu i energii. I nigdy nie ma pewności, że się to zwróci

Obraz jest efektem myślenia, wypadkową wszystkich doświadczeń życiowych artysty. Jeśli nie ma idei, nie ma sztuki. Jeśli praca nie niesie żadnej treści, jest tylko przedmiotem na sprzedaż. Filiżanki też się sprzedają.

Niektóre mają dużą wartość.

J.K.O.: Ale to dlatego, że za tymi najcenniejszymi stoi jakaś idea, która sprawia, że są tyle warte nawet po wielu latach.

M.T.: Teraz artystą jest każdy – i to jest wspaniałe, bo sztuka to sposób na wyrażanie swoich emocji, siebie. Chodziłoby jednak także o to, by można było ją zweryfikować, choćby pod względem inwestycyjnym. Problem polega na tym, że w Polsce wciąż za mało jest instytucji, które z jednej strony wyznaczałyby trendy, a z drugiej – tworzyły jasne kryteria oceny.

Ale przecież są instytucje kultury, muzea, galerie. Czy one nie wskazują tego, co jest wartościowe, a co nie?

M.T.: Tak, ale to nie wystarcza. Polski rynek jest młody, a więc chaotyczny. Dużo na nim niejasności. Kolekcjonerzy kupują coś, co jest modne, bo liczą na to, że to się sprzeda z zyskiem. A potem bywa różnie. Rynek oczywiście sam się jakoś reguluje, ale byłoby dobrze, gdyby były czytelne kryteria wartości artystycznej. Wierzę, że to się zmieni, bo musi.

Na Zachodzie jest inaczej?

M.T.: Kryteria weryfikacji są bardziej czytelne. Jednym z takich kryteriów jest na przykład wystawa artysty w muzeum.

J.K.O.: Tam w kształtowanie wartości artysty zaangażowana jest reprezentująca go galeria. To głównie ona jest wobec kolekcjonera gwarantem jego niepodważalnej wartości, zarówno pod względem ideowym, jak i materialnym. Weźmy Berlin: tam jest ok. 200 uznanych, liczących się galerii, każda z nich reprezentuje kilku artystów. Aby kupić dzieło artysty, trzeba się zwrócić do galerii. Ta gwarantuje jakość dzieła, jego wartość i daje szansę na jego odkupienie. Nie wspominając już o tym, że galeria często wspiera artystę, by dalej mógł pracować, a w rezultacie uzyskać efekt biznesowy, zadowalający obie strony. Gdy takich galerii jest 200 i każda opiekuje się, powiedzmy, pięcioma artystami, to daje

nam tysiąc artystów. Gdybyśmy mieli w Warszawie tysiąc artystów wspieranych przez galerie, którzy mogliby swobodnie realizować swoje cele artystyczne, to byłby zarys rynku sztuki. Tymczasem my tego nie mamy. Ktoś może powiedzieć, że mamy rynek sztuki, bo są domy aukcyjne. Bzdura! Dom aukcyjny to rynek wtórny, który powinien być wierzchołkiem góry lodowej. Ile mamy w Warszawie galerii, które gwarantują za artystę?

Dlaczego w Warszawie nie jest tak jak w Berlinie?

M.T.: Wielu galerii po prostu jeszcze nie stać na to, by gwarantować za artystę. Większość próbuje sprzedać cokolwiek. Ale to się powoli zmienia.

Jak rozumiem i galerie, i artyści muszą z czegoś żyć. A więc muszą mieć odbiorców, którzy ich prace kupują, zamawiają.

J.K.O.: Zawsze tak było. Weneckie rody zamawiały u artystów ogromną liczbę dzieł sztuki.

Czy kolekcjonerzy, którzy zamawiają obrazy na przykład u pana, mają swoje życzenia?

J.K.O.: Zdarza się. Ale jeśli artysta ma renomę, wtedy nikt nie ośmiela się przyjść i powiedzieć: namaluj mi, pan, to czy tamto w takim kolorze. Kiedyś jeden z moich kolekcjonerów powiedział: „Kupiłem nowy apartament w Międzyzdrojach. Tam wszystko jest w złotych i brązach. Chciałbym mieć też obraz”. Proszę bardzo. Wymagania były sformułowane pod kątem jego potrzeby estetycznej, ale temat był mój. To ja przygotowałem propozycję. Inny kolekcjoner wybudował rezydencję w Zakopanem i zamówił obraz o wymiarach metr wysokości na trzy metry szerokości. Namalowałem, wisi. Zwykle przygotowuję minimum dwa obrazy do wyboru, bo i tak mam z nimi potem co robić.

M.T.: Bardzo często kolekcjoner kupuje te dwa obrazy. J.K.O.: Tak rzeczywiście zdarzyło się w tym wypadku [śmiech]. I wtedy też mam z tego satysfakcję, bo robię coś od siebie.

A czy zdarza się, że ktoś wchodzi do galerii, rozgląda się, wskazuje obraz i mówi: ten?

M.K.: Ależ tak, Oraczewski wzbudza zachwyt! Ma warsztat, który go wyróżnia. Wypracowany latami. A z inwestycyjnego punktu widzenia warsztat, farby, których się używa, też mają znaczenie. Bo są farby, które po kilku latach po prostu odpadną. A u Oraczewskiego obraz jest przygotowany tak, żeby przetrwać co najmniej 500 lat.

Może pan więc powiedzieć, że się mu udało. Miał pan wystawy. Sprzedaje pan prace i w Polsce, i za granicą. Gdzie jest łatwiej?

J.K.O.: Zawsze mnie cieszy, kiedy ludzie przychodzą na wernisaże, oglądają moje prace, bo wtedy czuję, że jestem potrzebny. Sztuka nie ma granic i nie mogę tego

oceniać w takich kategoriach. Ale patrząc z szerszej perspektywy, w Polsce mamy dopiero zasiany grunt pod wzrost rynku sztuki. Wielu ludzi zaczyna się interesować sztuką i choć ją kupują, to często traktują w sposób dekoracyjny albo inwestycyjny. A przecież nie chodzi tylko o liczbę zer. Tymczasem w Polsce, ponieważ bycie kolekcjonerem to nobilitacja, niektórzy biznesmeni usiłują tę nobilitację włączyć w swoje działania biznesowe.

M.K.: Polski klient sobie nie ufa. Patrzy na wyznaczniki: musi mieć tego czy tamtego artystę, bo liczy się z tym, co powiedzą inni. A kiedy już go ma, to znaczy, że jest bogaty, jest elitą. Na bardziej wyrafinowanych rynkach ludzie kupują to, co się im podoba i co ma wartość rynkową. Mają swobodę, pewność siebie, poczucie wewnętrzne, że to oni decydują. Na Zachodzie rynek sztuki jest bardziej dojrzały. Są artyści i są galerieści. Wszystko jest poukładane. A kolekcjonerzy są bardzo aktywną stroną rynku sztuki, bo wyławiając jakiegoś artystę i kolekcjonując jego dzieła, nadają mu rangę. Ten rynek to system naczyń połączonych. Nie jest łatwo na nim zaistnieć.

Państwo chyba nie mogą narzekać. Galeria w Warszawie, galeria we Włoszech. Nie jest tak źle...

J.K.O.: To ogromne szczęście. Jestem malarzem, który wypełnia swoje życiowe powołanie z wielką radością, ale to, co jest związane z galerią, to zasługa Moniki.

M.T.: Teraz mamy szansę coś wartościowego na tym trudnym rynku sztuki wykreować, bo otwierając galerię w Wenecji, jesteśmy na samym szczycie artystycznych wydarzeń. Ktoś, przechodząc między różnorodnymi propozycjami Biennale, może do nas wejść i nas zauważyć. Byłoby to niemożliwe, gdybyśmy byli tylko w Warszawie, bo nie wszyscy krytycy czy kolekcjonerzy tu przyjadą.

J.K.O.: Z tym że w Warszawie też jesteśmy obecni. 30 października w naszej przestrzeni na Koszykowej otwieramy wystawę „Cienie dobrych duchów” związaną z listopadowym świętem, ale i z moimi rozliczeniami z przodkami.

Wracając do różnicy w podejściu do sztuki między Polską a Zachodem: czy nie jest ona związana z ciągle niższym u nas poziomem życia? Żeby kolekcjonować sztukę, trzeba mieć za co ją kupować.

J.K.O.: Oczywiście. Ale i w Polsce bywają instytucje, które pokazują, jak należy do tego podchodzić. Na przykład banki tworzyły kiedyś fundacje, które kolekcjonowały sztukę. Po pewnym czasie okazywało się, że artyści, których obrazy kupiono za niewielkie pieniądze, są warci o wiele więcej. To jest działanie biznesowe. Tyle że, jak w każdym biznesie, pewności żadnej nie ma.

M.T.: Musi się zgrać kilka czynników. Ale to się zdarza tak jak w przypadku pewnej młodej polskiej malarki,

która w tym roku wystawiała swoje obrazy przy okazji Biennale w Wenecji. Kiedy dostała się do renomowanej międzynarodowej galerii sztuki, ceny za jej prace dosłownie wystrzeliły.

Zdradzi pani nazwisko?

M.T.: Ewa Juszkiewicz.

Najdroższa dziś polska malarka.

M.K.: Właśnie tak. Teraz artystka nie wstawia prac do galerii, która może jej zagwarantować 5 tys. zł za obraz, ale wystawia je tam, gdzie ktoś zapłaci 500 tys. dolarów, i to bez mrugnięcia okiem. Ktoś, kto kiedyś za tak zwane grosze kupił jej obrazy w Polsce, zrobił świetny biznes. A takich artystów będzie z pewnością więcej.

Jak się dostaje do galerii, która płaci 500 tys. dolarów za obraz?

M.K.: Trzeba mieć szczęście albo kogoś znać. Warunkiem koniecznym jest oczywiście niepodważalna, wypracowana i zweryfikowana wartość artystyczna. W galeriach są też poławiacze pereł, którzy szukają tego, co się sprzedaje. Ale szukają też kogoś, kto się sprzedaje – czy raczej sprzedaje się jej czy jego historia. Na wypromowanie artysty potrzebne są ogromne zasoby nie tylko finansowe, lecz także czasu i energii. I nigdy nie ma pewności, że to się zwróci. To gorzej, niż grać na giełdzie. Z tym, że przebicie jest większe, jeśli się trafi. Bo potem jest efekt kuli śnieżowej. My, tworząc galerię, także założyliśmy, że będziemy wyławiać z morza talentów tych artystów, którzy mają i warsztat, i coś do powiedzenia. Artystów, którzy robią coś, co można nazwać sztuką przez wielkie S. Chcemy dać szansę tym, którzy na razie się nie sprzedają, ale mają potencjał. I mamy nadzieję, że uda się nam dobrać takich artystów, którzy okażą się strzałem w dziesiątkę. ●

Józef Krzysztof Oraczewski, malarz, grafik, autor instalacji.

Ukończył studia w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w 1975 r. W 1977 uzyskał dyplom w Studium Scenografii Teatralnej i Filmowej u prof. Józefa Szajny. Autor ponad 40 wystaw indywidualnych, m.in. w Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku, w Centrum Kultury w Trewirze, w Centrum Kultury Wachsabrick w Kolonii, Muzeum Sztuki Współczesnej Bohum, w Ehrenhof w Düsseldorfie, Muzeum Sztuki Współczesnej Herclijja, Muzeum Narodowym w Kielcach. Miał też wystawy z innymi twórcami, m.in. Wiktorem Vasarelym, Wilfridem Polke, Gunterem Grasssem i Andym Warholem. Jego obrazy znajdują się m.in. w kolekcjach Kancelarii Prezydenta RP, prezydenta Ronalda Reagana, papieża Jana Pawła II, prezydenta Niemiec Johannesera Raua, wicekanclerza Hansa-Dietricha Genschera, a także w zbiorach banku PKO BP, Pekao SA oraz Związku Banków Polskich.

Monika Turczyńska, poetka, filozof, menedżerka, właścicielka galerii Orac w Warszawie i A Space Gallery w Wenecji.

GRZEGORZ SZAFRANIEC

Zdolni, szybcy, niecierpliwi

Europa się starzeje, Polska też. Miejsce seniorów zajmuje nowe pokolenie, jakże od nich różne i w pewnym stopniu nieprzewidywalne. Młodzi ludzie wchodzący w dorosłość nie znają świata bez internetu, nie potrafią żyć bez smartfonów. Są wymagający, czasem roszczeniowi, a jednocześnie zdolni i ambitni. Największy problem stanowią dla nich relacje społeczne

Polskie społeczeństwo starzeje się najszybciej w Europie. W 2030 r. aż 45 proc. populacji będzie mieć ponad 50 lat. Niektórzy, z uwagi na siwe włosy seniorów, nazywają to zjawisko „srebrnym tsunami”. Jednocześnie osoby po sześćdziesiątce dysponują aż 21 proc. siły nabywczej Polaków. I producenci, i sieci handlowe rozpoczęły już bój o ich portfele. Starają się rozpoznawać potrzeby osób starszych i dopasowywać do nich ofertę. Sukcesywnie przybywa produktów w małych opakowaniach, łatwych do otwarcia, ze składem wypisanym dużą czcionką. W sklepach pojawiają się wygodne stanowiska kasowe, czytelne cenówki, oferowana jest pomoc w zapakowaniu zakupów. Pojawiły się nawet wózki wyposażone w lupy – wszystko dla poprawy doświadczenia zakupowego (ang. customer experience) srebrnego pokolenia.

„Zetki” – wielka zagadka

O ile seniorzy są dość przewidywalni w swoich wyborach (ponad połowa z nich ma ulubione marki i sklepy, których nie zamierza zmieniać), o tyle pokolenie Z



”

Dla pokolenia Z normalne relacje z innymi ludźmi to kontakt poprzez media społecznościowe. Ponad połowa ankietowanych deklaruje, że łatwiej im się porozumiewać cyfrowo niż w tradycyjny sposób



Pięć zasad komunikacji z pokoleniem Z:

1. Bądź wiarygodny, dbaj o spójny przekaz.
2. Prowadź aktywny dialog i na bieżąco reaguj.
3. Zauważaj starania i czas poświęcony marce.
4. Wyjdź do młodych ludzi z produktem.
5. Inwestuj w influencerów, nie w celebrytów.

(osoby urodzone po 1994 roku) to wielka zagadka. Do tych młodych ludzi nie jest łatwo dotrzeć tradycyjnymi kanałami. Dlaczego? Bo nie oglądają telewizji i nie czytają gazet. Stali się zakładnikami nowych technologii – tabletów, smartfonów, zegarków. Samych smartfonów kupiliśmy w ubiegłym roku ponad 8,5 mln. Już ponad 80 proc. Polaków ma przynajmniej jedno takie urządzenie. W przypadku młodzieży ten odsetek dochodzi do 100 proc. Rzesze dzisiejszych nastolatków są wręcz uzależnione od telefonu, a „szlaban” na jego używanie stanowi najdotkliwszą karę, jaką można sobie wyobrazić. Nic nie boli bardziej.

Podczas przerwy w szkole lub jazdy autobusem młodzi ludzie stoją obok siebie, ale nie rozmawiają. Każdy skupiony jest na swoim smartfonie i z niego odczytuje informacje. Być może i tę, którą kolega siedzący trzy miejsca dalej umieścił właśnie na Facebooku, Snapchacie, Instagramie Tik-Toku czy Twitterze. Na „fejsie” konto ma aż 83 proc. dzieci w wieku 11–16 lat, jedna trzecia korzysta ze Snapchata, 28 proc. z Instagrama, a 15 proc. z Twittera.

Pokolenie pochyłonych głów (i klikającego kciuka)

Dzieci i nastolatki wpatrzone w ekrany urządzeń mobilnych nazywane są „pokoleniem pochyłonych głów” („i klikającego kciuka”). Wielu z nich nie wyobraża sobie życia bez możliwości nieustannego sprawdzania e-maila czy przeglądania Facebooka. Świat „zetek” nie dzieli dnia na naukę/pracę i odpoczynek. Są po prostu on-line lub off-line. Komunikują się z rówieśnikami, nie wychodząc z domu i nie wypuszczając telefonu z ręki. Komunikaty wyrażane słowem, gestem, mimiką odchodzą do lamusa. A przecież aż 80 proc. informacji przekazywanych jest w sposób niewerbalny. Młode pokolenie nie umie ich odczytać, bo rzadko kontaktuje się bezpośrednio twarzą w twarz. Stąd coraz większe trudności ze zrozumieniem się. Doskonale opisuje ten stan piosenka zespołu Coma pt. „Lajki”: „Gdy pomyślałem, że mnie zechcesz, to polubiłem cię na fejsie, ale myliłem się i wiem, że mnie nie chcesz. Oddawaj wszystkie moje lajki, oddawaj wszystkie komentarze, oddawaj uśmiechnięte emotikony, wymażę cię na Instagramie! Ja nie potrafię ci powiedzieć, nie potrafię ci powiedzieć, nie potrafię ci powiedzieć, nie!!!”.

Jak dotrzeć do tak hermetycznego środowiska?

Wyłącznie w jeden sposób – stając się częścią tego świata. Jeśli się uda, można zacząć kreowanie wizerunku marki w mediach społecznościowych, pamiętając, że przekaz, który się tam pojawia, powinien być uproszczony, niemal dosłowny, wręcz „łopatologiczny”. Wtedy jest szansa, że odbiorca dobrze go odczyta. To tylko „szansa”, bo przebicie się przez internetowy szum,

miliony memów i dziesiątki tysięcy fake newsów jest coraz trudniejsze. Tym bardziej, że odizolowanym od realnego świata „pochylonym głowom” zaczyna się on mieszać ze światem wirtualnym.

Pokolenie Z to pierwsze prawdziwe dzieci nowoczesnych technologii, które nie znają świata bez internetu. Stanowi on dla nich podstawowe źródło wiedzy i narzędzie pozwalające funkcjonować zarówno w świecie wirtualnym, jak i rzeczywistym. Dla pokolenia Z normalne relacje z innymi ludźmi to kontakt poprzez media społecznościowe. Ponad połowa ankietowanych deklaruje, że łatwiej im się porozumiewać cyfrowo niż w tradycyjny sposób.

Przez internet do serca

EY szacuje siłę nabywczą nowego pokolenia na 44 mld dol. Przedsiębiorcy – dostawcy różnego rodzaju produktów czy usług – jeśli chcą uszczknąć przyzwoitą część tej kwoty, muszą poszukać sposobów na „odspawanie” „zetek” od smartfonów i nakłonienie ich do wyjścia z domu. Trudne zadanie. A co, jeśli się nie uda? Zawsze można pójść w e-commerce... Dla generacji Z to świetne rozwiązanie – kilka kliknięć kciukiem i zakupy zrobione, nie trzeba wychodzić z domu i wypuszczać telefonu z dłoni.

Raport EY „Nowa definicja lojalności w handlu” pokazuje, że w przypadku pokolenia Z klasyczne metody przyciągania klientów nie działają. Tradycyjne reklamy z celebrytami? Niekoniecznie. Bardziej uwiarygadniają przekaz influencerzy, blogerzy czy vlogerzy. Programy lojalnościowe? Są ważne, ale tylko dla co trzeciej „zetki”. Tutaj liczą się apki, przy użyciu których nie tylko można dziś zamawiać i płacić za różnego rodzaju zakupy czy usługi, lecz da się załatwić niemal wszystko.

Elastyczni, ale niecierpliwi

„Zetki” są wymagającymi klientami, oczekują nowości, zaskoczeń i personalizacji. Najważniejsze jest prowadzenie z nimi stałego dialogu i budowanie wiarygodnego przekazu. Marki muszą być też aktywne i wy-

”

W przypadku pokolenia Z klasyczne metody przyciągania klientów nie działają. Tradycyjne reklamy z celebrytami? Niekoniecznie. Bardziej uwiarygadniają przekaz influencerzy, blogerzy czy vlogerzy

chodzić do przedstawicieli pokolenia Z z produktem, nie czekając, aż sami go znajdą.

„Zetki” to pierwsze pokolenie niepomniące „zamierzchłych” czasów, w których nie było dostępu do internetu i nie istniało pojęcie „smartfon”. Przedstawiciele pokolenia Z są przyzwyczajeni do otrzymywania potrzebnych informacji w zaledwie kilka sekund, dlatego są dość niecierpliwi, gdy muszą na coś poczekać. Bardziej niż typowe spoty reklamowe przemawiają do nich krótkie filmiki lub memy – zgodnie z zasadą „TLDR” (ang. Too Long, Didn’t Read – Zbyt długie nie będzie przeczytane).

Etat? Nie. Własny biznes

Dla rodziców dzisiejszych dwudziestokilkulatków, pamiętających puste półki i siermięgę PRL-u, praca jest czymś niezwykle istotnym i gotowi są (byli) tyrać po kilkanaście godzin dziennie, żeby tylko dzieci miały jak najlepszy start w życiu. Z „pochylonymi głowami” jest inaczej. Młodzi w niewiarygodnie szybkim tempie chłoną wiedzę i wyróżniają się umiejętnością robienia wielu rzeczy naraz (ang. multitasking). Błyskawicznie reagują na zmiany i sprawnie podejmują decyzje. Jednak, mimo całego tego pędu, w jakim przyszło im funkcjonować, „zetki” starają się (z sukcesem) zachowywać work-life balance.

Ponad 60 proc. nastolatków chce założyć własny biznes. Nie chcą pracować na etacie. Mają w sobie ducha przedsiębiorczości i innowacyjności. 71 proc. zdaje sobie sprawę, że ich pierwsza firma najpewniej upadnie. Nie potraktują tego jednak jako porażki, tylko jako metodę zgłębiania tajników biznesu. Wybitnie zdroworozsądkowe podejście, bez zbędnego stresu i bez kompleksów. Od „zetek” też można się wiele nauczyć. Trzeba tylko znaleźć sposób na przeniknięcie do ich świata.

Czym jest pokolenie?

Definicja „pokolenia” musi zawierać kilka ważnych elementów (jeśli ich nie posiada, używanie tego słowa w stosunku do określonego zbioru osób jest nieuprawnione). Po pierwsze, pokoleniem możemy nazwać grupę osób urodzonych w tym samym okresie (kiedyś uznawano, że pokolenie trwa 25 lat, jednak obecnie ten czas się skrócił). Po drugie, są to ludzie, którzy zostali ukształtowani przez podobne wydarzenia i przeżycia. Po trzecie zaś, członkowie danego pokolenia posiadają zbliżoną hierarchię wartości i postawy w wielu kwestiach, np. w kwestii pracy.

Portal students.pl zamieścił najbardziej klasyczny podział na pokolenia – od końca II wojny światowej do dziś. Wygląda on tak:

- Pokolenie BB (baby boomers, boomers, bumerzy – urodzeni w latach 1946–1964);
- Pokolenie X (urodzeni w latach 1965–1980);



Jak bywa jeszcze nazywane pokolenie Z?

- Pokolenie internetowe;
- Pokolenie C (ang. connected – podłączony);
- Generacja @;
- Generacja multitasking (ang. – umiejętność robienia wielu rzeczy jednocześnie);
- Pokolenie post-milenialsów.

- Pokolenie Y (tzw. milenialsi – urodzeni w latach 1981–1994);
- Pokolenie Z (gen Z – urodzeni w latach 1995–2012).

Baby boomers (1946–1964)

Nazwa tego pokolenia związana jest z potężnym wyzłem demograficznym przypadającym na lata powojenne. Boomerzy to obecnie sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatkowie. Wielu z nich opuściło już rynek pracy i przebywa na emeryturze. Jednak część bumerów zdecydowała się na kontynuowanie pracy – np. w niepełnym wymiarze godzin czy jako zajęcie dorywcze. Portal students.pl precyzuje, jakie wartości cenią sobie członkowie pokolenia baby boomers. Są to przede wszystkim: relacje z innymi ludźmi, spędzanie czasu z rodziną i przyjaciółmi, ambicja, pracowitość, wytrwałość, samodoskonalenie, zaradność, równość czy optymizm. Jacy boomerzy są w pracy? Pracowici, zmotywowani, rywalizujący. Ważne są dla nich: pozycja zawodowa, prestiż i benefity pracownicze. Są pewni swoich kompetencji i skoncentrowani na osiąganiu sukcesów. Ufają własnym możliwościom, wierzą, że sukces i pozycja powinny być okupione ciężką pracą, nie uznają dróg na skróty i preferują komunikację twarzą w twarz.

Pokolenie X (1965–1980)

To dzieci baby boomersów. Jak pisze portal students.pl, nazwa X nawiązuje do pewnej niewiadomej. Początkowo członków pokolenia X uważano za osoby zagubione, nieposiadające określonego celu i poszukujące sensu życia. To jednak stereotypy. Podobnie krzywdzących opinii jest więcej. Odnoszą się one m.in. do nadmiernego konsumpcjonizmu i niezdrowej rywalizacji w pracy. Pokolenie X wychowywało się w czasach intensywnego rozwoju technologii. Na lata dzieciństwa „iksów” przypada początek ery komputerów osobistych, e-maili, SMS-ów i pierwszej telewizji muzycznej – MTV (właśnie dlatego nazywa się ich czasem pokoleniem MTV). Członkowie pokolenia X cenią sobie takie war-

tości jak: szczęśliwa rodzina, posiadanie dzieci, niezależność, elastyczność, work-life balance, odpowiedzialność, różnorodność czy przedsiębiorczość. Cechuje ich również umiarkowany... sceptycyzm. Portal students.pl zauważa, że w sferze zawodowej przedstawiciele pokolenia X wyróżnia: dobre wykształcenie, samodzielność, chęć podejmowania wyzwań i uczenia się nowych rzeczy, brak oporów w korzystaniu z nowych (wówczas) technologii (elektronika, social media). „Ikisy” nie są aż tak przywiązani do miejsca pracy jak baby boomersi. Wolą je zmienić, aby osiągnąć osobiste cele, cenią sobie konstruktywny feedback oraz wolą się porozumiewać za pomocą jasnych i krótkich komunikatów.

Pokolenie Y, tzw. milenialsi (1981–1994)

Generacja Y to ludzie, którzy dorastali na przełomie wieków. Z tego powodu nazywa się ich także milenialsami lub „następną generacją”. Inne określenie to pokolenie cyfrowe, ponieważ dzieciństwo i młodość milenialsów upłynęły pod znakiem błyskawicznego rozwoju technologii, w tym internetu i mediów cyfrowych. Dla milenialsów ważne są: jakość życia, gromadzenie ciekawych doświadczeń, elastyczność, swoboda, pewność siebie, otwartość na zmiany, tolerancyjność i umiejętności społeczne. Jeśli chodzi o kwestie zawodowe, pokolenie Y jest najlepiej wykształcone spośród wszystkich generacji, które je poprzedzają.

Milenialsi chętnie rozwijają swoje umiejętności, potrzebują równowagi między życiem zawodowym a prywatnym, poszukują pracy, która jest jednocześnie dobrą zabawą, oczekują od przełożonego kontroli i wsparcia, dobrze odnajdują się w realiach zglobalizowanego rynku, chcą być zauważeni i mieć coś do powiedzenia. Są biegli w wykorzystaniu nowoczesnych technologii, od lojalności względem pracodawcy cenią sobie bardziej własną satysfakcję, dlatego mogą często zmieniać pracę. Zaś w komunikacji cenią sobie szybkość oraz efektywność, dlatego używają e-maili i social mediów (Facebook, LinkedIn czy X).



fot. Andrzej Wiktor

Polska dla małych i mikroprzedsiębiorców jest najważniejsza. To nasza ojcowizna

Zagrożenie, z którym dziś się spotykamy, nie wynika jedynie z trudności prowadzenia firmy czy działalności gospodarczej. To zagrożenie własności, wolności, a nawet suwerenności naszego państwa – mówi Tomasz Sztreker, założyciel Polskiej Akademii Biznesu

Tworzyście z ojcem od lat projekt „Wiara w biznesie”, kilka lat temu powstała kawiarnia biznesowa Agere Contra w Warszawie, którą uzupełniają coraz to nowe inicjatywy... Pytanie brzmi, czy nie można po prostu prowadzić firmy? Skąd ta potrzeba budowania większej całości, jakiegoś środowiska?

Tomasz Sztreker: Wynika to bezpośrednio z nas. Prowadzimy firmę, dzięki której poznajemy mnóstwo osób. Jesteśmy takim centrum spotkań, wymiany myśli, dyskusji. Naturalne jest więc szukanie szerokiej perspektywy. Tata przez wiele lat prowadził ogromną firmę inżynierską, ja zajmowałem się consultingiem biznesowym, więc od dawna mamy bezpośredni kontakt z przedsiębiorcami. Nasza idea, nasza fundacja, nasz sposób działania wynikają z naszej potrzeby bycia w takim środowisku. Więcej, nie mogliśmy wcześniej znaleźć takiego skonsolidowanego środowiska, które mogłoby wywierać wpływ na otoczenie, a jednocześnie pomagać sobie wzajemnie, być inspiracją dla siebie, wspierać się. Kiedy jest trudno – dać takiego „kopa” rozwojowego, a kiedy jest dobrze – powiedzieć „pomagajmy innym”. W pewnym momencie zaczęliśmy więc takie środowisko tworzyć. Zaczęliśmy w Płocku, skąd pochodzimy. Tam też powstała pierwsza konferencja, na którą zaprosiliśmy Chrisa Lowneya, byłego dyrektora zarządzającego w JP Morgan. Na kongres przyjechało grubo ponad tysiąc osób. I okazało się, że takich „szaleńców” jak my jest dużo, dużo więcej. I jeśli tyle osób o podobnych zainteresowaniach oraz potrzebach się spotka, to powstaje coś wielkiego. Wielu uczestników tego pierwszego spotkania zaprosiliśmy zatem do projektu „Wiara w biznesie”. Stworzyliśmy 25 regionalnych klubów, odbyliśmy ponad 50 regionalnych konferencji i siedem konferencji ogólnopolskich. Tak minęło pierwszych pięć lat naszej działalności.

Aż ten potencjał dostrzegli rządzący...

Można tak to ująć. Zaczęliśmy być zapraszani na spotkania w ministerstwach, na rozmowy o przed-

siębiorczości. To też doprowadziło do konferencji w Sali Kolumnowej w Sejmie, gdzie prezentowaliśmy problemy, z jakimi muszą się mierzyć mikro i mali przedsiębiorcy, oraz rozwiązania, jak to zmienić.

Dziś też słuchają?

Cóż... Jesteśmy na dość trudnym etapie. Zagrożenie, z którym dzisiaj się spotykamy, nie wynika jedynie z trudności prowadzenia firmy czy działalności gospodarczej. To zagrożenie własności, wolności, a nawet suwerenności naszego państwa. Intensyfikujemy więc działania naszego środowiska na wielu poziomach. Przyznam, że nie znam bardziej zaangażowanej grupy w działania patriotyczne – to bowiem dla przedsiębiorców i rolników obrona „ojcowizny”.

Co jest spoiwem tego środowiska? Wiara? Czy może właśnie, jak pan powiedział, obrona ojcowizny? A może problemy praktyczne – nowe regulacje, budowanie konkurencyjności?

Wszystko, co pan wymienił, spaja nasze działania. To pokazuje, jak wielka jest potrzeba jednoczenia się ludzi, którzy mają w życiu podobne wartości, myślą w ten sam sposób, którzy chcą realizować swoje cele wspólnie z innymi i innym pomagać. W Polsce w roku 2022 działało w Polsce 2 349,8 tys. przedsiębiorstw niefinansowych, w tym 2 283,4 tys. mikroprzedsiębiorstw. Wśród tych przedsiębiorców, według badań GUS, 97 proc. deklaruje wyznaczenie rzymskokatolickie, a 80 proc. chodzi przynajmniej raz w miesiącu do kościoła. Przedsiębiorcy są więc częścią Kościoła. Drugi element to wartości wynikające z naszej narodowości i przywiązania do polskości. To jest nasza ziemia, z której zarabiamy, to bezpośrednio wpływa na nasz biznes, który wynika właśnie z „uprawy” tej ziemi. Jesteśmy przywiązani do ziemi i firm, z ojca na syna... nie chcemy tego wyprzedawać, oddawać komukolwiek. To słowo „ojcowizna” jest dla mikroprzedsiębiorcy, a zwłaszcza dla rolnika, czymś świętym. Jeśli ktoś od samego początku tworzy swoją firmę, buduje jej pomyślność i bardzo często, wspólnie z rodziną, ją rozwija, ojcowizną staje się właśnie to przedsiębiorstwo. Daje to niesamowitą siłę, ale też buduje pole do współpracy z innymi, podobnymi małymi i mikrofirmami rodzinnymi. Przez wiele lat ten rynek był dziki. Dziś, jako że nabiera realnych kształtów konkurencyjnego segmentu gospodarki, staje się też zagrożeniem dla dużych, najczęściej zagranicznych, globalnych korporacji. I niestety rządzący zapraszają oraz wspierają tych dużych, a zapominają o własnym, polskim rynku, o segmencie małych i średnich przedsiębiorstw.

”

Nasza grupa to wspólnota celów i interesów. I tego nie ukrywamy. Wprost mówimy o tym, że nasza fundacja oparta jest o katolicką naukę społeczną

To chyba już mamy za sobą? Preferencje dla hipermarketów to były raczej lata 90. ubiegłego wieku...

Tak? To ja przypomnę tylko preferencyjne kredyty z Banku Światowego oraz Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju dla Grupy Schwarz (właściciel Lidl i Kauflandu), które ujawnił w 2015 roku brytyjski „Guardian”. Prawie miliard dolarów na rozwój na terenie Europy Środkowo-Wschodniej. To jest strategia? Zamiast doinwestować małych polskich przedsiębiorców – zniszczyć polskie dyskonty? Dziś te zagraniczne dyskonty tak się rozwinęły, że dyktują ceny polskim przedsiębiorcom, polskim producentom.

Mówił pan o danych GUS. 97 proc. wszystkich przedsiębiorstw to mikro i małe firmy, które odpowiadają za niecałe 40 proc. PKB, dając zatrudnienie 4,2 mln osób. To potężna siła gospodarcza, która działa w zdecydowanej większości poza standardowymi samorządami gospodarczymi... Co miałyby sprawić, że uda się wam przyciągnąć ich uwagę?

Zmieniamy sposób myślenia. Budujemy wiarygodność poprzez nasze sukcesy, a nie plany. Pokazujemy, jak wiele firm dzięki naszej pomocy rozwinęło skrzydła. Jak z mikro stały się małymi firmami, a z małych – średnimi przedsiębiorstwami. To właśnie dowodzi, że współpraca, wzajemne uczenie się, przynoszą nieraz zaskakujące, dobre efekty. To projekt stworzony przez przedsiębiorców dla przedsiębiorców. Rozumiemy potrzeby przedsiębiorczości, bo sami jesteśmy przedsiębiorcami. Tworzymy Akademię Przedsiębiorczości – dzielimy się swoimi doświadczeniami, przekazujemy sobie kompetencje, gdy jeden jest dobry w jakiejś dziedzinie, inny może pomóc, doradzić w kolejnej sprawie. Następny element to zaufanie, wynikające też z przywiązania do tych samych wartości. Podzieliłem się takim przykładem z Poznania. Mieliśmy wśród słuchaczy pana zajmującego się sprzątaniami, czyszczeniem kanap. Narzekał, że brakuje mu klientów, że rynek jest niewielki... Po spotkaniu klubu dostał kilka telefonów, po kolejnym – skontaktowali się z nim następni klienci. Trzy lata temu zatrudniał już sześciu pracowników, by sprostać zamówieniom. Jestem do dziś dumny, że pomogliśmy w rozwoju tego biznesu. Dalej? Kraków – pani architekt, która ubolewała nad stanem mieszkań przeznaczonych do sprzedaży i nieoczekiwany kontakt z innym uczestnikiem spotkań zajmującym się fotografią. Sprzedaż nieruchomości, jak później relacjonowali, dzięki współpracy wzrosła kilkakrotnie.

Czyli to nie tylko wymiana wiedzy, lecz i taka platforma networkingowa...

Tyle, że to bezpośrednie wsparcie działa dzięki zaufaniu, wynikającemu z działania w jednej grupie, wspólnych wartości i wspólnych celów. Nasza grupa to wspólnota celów i interesów. I tego nie ukrywamy.

”

Jesteśmy przywiązani do ziemi i firm, z ojca na syna... nie chcemy tego wyprzedawać, oddawać komukolwiek

Wprost mówimy o tym, że nasza fundacja oparta jest o katolicką naukę społeczną. Wartości wynikające bezpośrednio z encykliki „Rerum novarum” – związane z uczciwością w biznesie, prawem do własności, prawem rozwoju, z uczciwym prowadzeniem biznesu, także w kontekście relacji państwo–przedsiębiorca. Wskazujemy choćby, że obowiązkiem – tak, obowiązkiem – jest płacenie podatków. Ale mamy też robić wszystko, by państwo pozwoliło na uczciwy rozwój naszego biznesu.

Bo gdy przedsiębiorca wie, że podatki wrócą do niego w postaci inwestycji i usług publicznych wpływających na rozwój jego firmy, płaci je chętniej.

Jako przedsiębiorca mogę to powiedzieć. Zupełnie nie rozumiem, co się stało, że poprzedni rząd nie prezentował mocniej i głośniej swoich ówczesnych inwestycji, szczególnie infrastrukturalnych. Kolej, drogi, a zwłaszcza projekt CPK – to przecież bezpośrednio wpływa na możliwości prowadzenia firm, na ich rozwój. Dziś premier obecnego rządu zapowiada, że zbuduje kolej dużych prędkości i pociągi pojadą nie 250, ale 300 km na godzinę. Tyle, że nie dodaje, iż te szybsze są produkowane za granicą, a polscy producenci taboru gwarantują limit 250. No i pytanie: co jest priorytetem – polska fabryka, polski producent czy szybsze połączenie na jednej lub dwóch liniach kolejowych? To realny paradygmat rozwojowy... i takie pytania dziś stawiamy jako polskie firmy oczekujące rozwoju polskich, a nie zagranicznych biznesów.

Jest jedna cecha wspólna dla małych, średnich i... największych przedsiębiorstw: potrzeba stabilności i przewidywalności przepisów – to zasadniczo najważniejszy postulat wynikający z rozmów z przedsiębiorcami, wyjątkowo zbieżny z potrzebami także dużych podmiotów. Tymczasem, co zmiana rządów, to nowy pomysł na regulację...

Powiem to z ogromnym smutkiem. Jest mnóstwo niemieckich, rosyjskich, izraelskich, amerykańskich, a nawet unijnych publikacji na temat Polski i polskiego rozwoju gospodarczego w ostatnim 30-leciu. Nie ma żadnego podręcznika do politologii, polskiej publikacji o Polsce. Analizujemy doktrynę Primakowa dla Rosji, rozmawiamy o doktrynie niemieckiej i europejskiej, dyskutujemy teraz o Raporcie Draghiego. My nie mamy nic. Projekt Trójmorza daje pewną wi-

Tomasz Sztreker – założyciel Polskiej Akademii Biznesu, Chrześcijańskich Singli, współzałożyciel (wraz z tatą i siostrą) Wiary w Biznesie, twórca Chrześcijańskich Klubów Biznesu, jest członkiem Catholic Voices oraz ambasadorem Europa Colon, ukończył międzynarodowe stosunki gospodarcze na SGH i zarządzanie instytucjami kultury na Akademii Teatralnej w Warszawie. Jest trenerem biznesowym, zajmuje się konsultingiem. Razem ze swoim ojcem Wojciechem Sztrekerem stworzył „Wiarę w biznesie” – cykliczne spotkania przedsiębiorców kierujących się wartościami chrześcijańskimi.



fol. Andrzej Wiktor

zję rozwoju największego państwa regionu, jakim jest Polska. To bardzo przykre, że praktycznie dziś został zamieciony pod dywan. A dawał przecież możliwość stworzenia strategii rozwojowej naszego kraju.

Takim strategicznym spotkaniem będzie konferencja „Chcemy mieć wpływ”? To ma być spotkanie przedsiębiorców w Grodzisku Mazowieckim, którego przesłanie, jak rozumiemy, zawarte jest w samym tytule? Chcecie mieć wpływ...

Po pierwsze, to spotkanie przedsiębiorców, dla których istotna jest wiara. Także wiara i przekonanie, że Polska jest fenomenem na skalę światową. A to właśnie my, przedsiębiorcy, poprowadziliśmy kraj, który w 1989 roku był jednym z najbiedniejszych w Europie Środkowej, na 22. miejsce wśród gospodarek na świecie. Jesteśmy szóstym krajem w Unii Europejskiej, który będzie miał jedną z największych armii w UE. To kraj, który ma ogromne możliwości. Tak, chcemy mieć na to wpływ! Mali przedsiębiorcy z jakiegoś powodu nie mają swoich przedstawicieli na żadnym poziomie władzy – rządu, instytucji rządowych czy samorządów. Wiele polityków reprezentuje interesy transnarodowych organizacji, globalnych biznesów i czuje się bardzo docenionymi, gdy ten „wielki biznes” przychodzi do nich, do Polski. A my chcemy wspierać naszych biznesmenów, na-

szych przedsiębiorców, rodzimy kapitał i rodzinne firmy. I wlać w nas odrobinę wiary, że Polska ma się czym wyróżniać. Mamy ogromny potencjał. I Polska dla przedsiębiorców jest najważniejsza. To przecież nasza ojcowizna.

Jak się dostać na Kongres „Chcemy mieć wpływ”?

Zapraszamy do Grodziska Mazowieckiego 21 listopada. Wystarczy wejść na stronę WWW.CHCEMYMIECWPLYW.PL i się zarejestrować. Bezpłatnie. To wydarzenie nie ma cennika, żeby finanse nie były przeszkodą dla małych polskich firm w uczestnictwie w tym wyjątkowym spotkaniu. Przedstawimy plan działania, chcemy pokazać, jak możemy współpracować, by przedsiębiorcy wreszcie zaczęli wywierać należny, zasłużony wpływ na otaczający nas świat. ●

Kongres „Chcemy mieć wpływ” – Ogólnopolskie Spotkanie Przedsiębiorców jest wyjątkową okazją do zgromadzenia polskich przedsiębiorców, liderów, społeczników i intelektualistów oraz ekspertów, którzy są zaangażowani w budowanie przyszłości Polski. Odbędzie się 21 listopada w Grodzisku Mazowieckim. „Gazeta Bankowa” i portal wGospodarce.pl objęły wydarzenie patronatem medialnym.

Polska w globalnym tyglu

XIV Kongres Polska Wielki Projekt zdominowały ważne tematy gospodarcze i geopolityczne, nie zabrakło jednak również poważnych dyskusji na temat kultury, samorządów, organizacji pozarządowych... Polska Wielki Projekt jest od lat ważnym miejscem wymiany myśli środowisk konserwatywnych

Tegoroczna edycja Kongresu odbywała się od 27 do 29 września. Pierwszy dzień zdominowała gospodarka, w drugim wiele mówiono o geopolityce i miejscu Polski w skomplikowanym środowisku międzynarodowym, demokracji oraz prawie. Trzeci dzień poświęcony był głównie dyskusjom o młodzieży, tożsamości kulturowej i przyszłości mediów.

Laureatem Nagrody im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego XIV Kongresu Polska Wielki Projekt został Jan Polkowski – polski poeta, prozaik, redaktor, działacz NSZZ „Solidarność”, rzecznik prasowy rządu Jana Olszewskiego, Kawaler Orderu Orła Białego. Z kolei belgijski historyk prof. David Engels został laureatem medalu Odwaga i Wiarygodność. – Nasz historyk jest zwolennikiem integracji europejskiej, lecz nie takiej integracji, jaką na nas wymuszają – często wbrew zasadom demokracji i praworządności, łamiąc zapisy traktatów unijnych – obecne elity brukselskie – mówił w laudacji Olivier Bault. – Nie jest zwolennikiem takiej integracji, jaką nam wciąż szykują elity w Brukseli, Berlinie i Paryżu – z projektem 267 poprawek do traktatów europejskich przyjętym pod koniec ubiegłego roku przez Parlament Europejski. Prof. Engels jest zwolennikiem integracji wzorowanej na dawnym Świętym Cesarstwie Rzymskim. Jak można czytać na polskiej

Wikipedii: Święte Cesarstwo Rzymskie to „potocznie – I Rzesza niemiecka”. Lecz – jak podkreśla prof. David Engels – w pierwszych wiekach swojego istnienia było to państwo wielonarodowe, silne na zewnątrz, ale zostawiające dużą swobodę i respektujące tożsamości narodowe wewnątrz imperium. A to jest właśnie przeciwieństwo dzisiejszej Unii Europejskiej.

Odpolitycznienie Solidarności

Pierwszy dzień Kongresu upłynął pod znakiem dyskusji na temat polskiej gospodarki i biznesu. Panel otwierający poświęcony był organizacjom pozarządowym, czyli – teoretycznie – esencji społeczeństwa obywatelskiego. Praktyka pokazuje jednak, że to sfera, która może być wykorzystywana instrumentalnie przez podmioty sponsorujące NGO-sy i realizujące za ich pomocą swoje cele. W dyskusji na ten temat uczestniczyli Wojciech Kaczmarczyk – urzędnik państwowy, ekspert sektora NGO i administracji publicznej; Jan Zujewicz – działacz społeczny, fundator Instytutu Poznańskiego; oraz Jan Śpiewak – doktor socjologii, aktywista miejski i publicysta, który przestrzegał przed abdykacją państwa. Według niego pojęcie „społeczeństwa obywatelskiego” zostało ukute jeszcze w czasach PRL-u i było narzędziem odpolityczniania Solidarności. Koncepcja powstała w środowisku gdańskich liberałów, którzy



Panel „Gospodarka: zwój czy rozwój”. Od lewej: Marek Dietl, Paulina Matysiak, Jadwiga Emilewicz i Leszek Skiba

Fot. Mat. prasowa

stawiali sobie za cel neutralizację robotniczego zrywu i jego egalitarnych postulatów. Celem tego środowiska – które w III RP stało się nową elitą władzy – było zniesienie społecznej kontroli nad gospodarką i podporządkowanie jej wyłącznie regułom rynkowym.

Kolejny panel poświęcony był małym ojczyznom, w których działają przedstawiciele organizacji pozarządowych i instytucji publicznych. Czego wielkomięską Polskę może nauczyć prowincja? Jakiej państwowej polityki potrzebujemy, żeby mniejsze miejscowości mogły kwitnąć na równi z metropoliami? Polska to coś więcej niż Warszawa czy inne największe ośrodki władzy w państwie. To setki miast i miasteczek o unikalnej historii i tożsamości.

”

Potrzebujemy bazowych inwestycji, realizacji projektów infrastrukturalnych, podniesienia jakości mieszkań. Pieniądze na to można znaleźć. Nadpłynność finansowa na świecie jest olbrzymia. Kiedy pożyczać, jeśli nie teraz

Oszczędzanie to za mało

Gospodarka: zwój czy rozwój – to temat panelu, którego moderatorem był Marek Dietl, doktor nauk ekonomicznych i doradca prezydenta RP, były prezes warszawskiej giełdy. Piotr Trąbiński, ekspert ds. międzynarodowej polityki gospodarczej i technologicznej, porównał programy gospodarcze dwóch konkurujących ośrodków władzy w USA: J.D. Vance’a – kandydata Partii Republikańskiej na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w wyborach w 2024 roku, oraz Joe Bidena – urzędującego prezydenta USA. Biden wykorzystuje narzędzia państwa do stymulowania wzrostu gospodarczego i w jego koncepcji to państwo odgrywa kluczową rolę. Wzrost gospodarczy wiąże się z inwestycją w klasę średnią. Koncepcja Vance’a jest bardziej konserwatywna i wolnorynkowa, opiera się na ekonomii podaży, stawia bardziej na efektywność rynków. Vance jest za ograniczeniem roli państwa, a wzrost gospodarczy – według niego – można osiągnąć m.in. dzięki niższym podatkom...

Według Jadwigi Emilewicz, wiceprezes Rady Ministrów w rządzie Mateusza Morawieckiego, różnice między kandydatami na urząd prezydenta USA nie są duże. Wspólnym mianownikiem Trumpa i Kamali Harris jest przekonanie, że przemysł musi wrócić do Stanów Zjednoczonych. Co to znaczy i co chce z tym zrobić Europa? Czy wspólny obszar USA i UE to wspólny obszar gospodarczy, czy nie? Czy to bardziej obszar konkurencyjny czy obszar współpracy? Co to oznacza

dla nas, wpiętych w procesy globalne, gdy 60 proc. naszego handlu odbywa się z Unią Europejską? Prognozy makro dla świata są umiarkowanie pozytywne (tytuł raportu OECD, na którego dane powoływała się Jadwiga Emilewicz, to „Postępujące ożywienie”), a Polska również idzie po tej ścieżce.

Jadwiga Emilewicz przypomniała, że odpowiedzią UE na kryzys pandemiczny było wprowadzenie mechanizmów prorozwojowych. Unia zainicjowała najpierw projekt bateryjny (zapominając jednak, że największymi producentami m.in. litu niezbędnego do wytwarzania baterii są Chiny), następnie mikroprocesorowy. W obu tych przypadkach państwo musiało być aktywne. Stawianie tylko na oszczędzanie, pilnowanie wskaźników jest – jak mówiła – „chyba błędną ścieżką”. Lewary gospodarcze w USA powstały dzięki aktywnej roli państwa. Oczywiście rodzi się pytanie: czy jesteśmy w stanie zwiększać produktywność, utrzymując wypracowany już dobrostan społeczny? Jadwiga Emilewicz zwróciła uwagę, że ciągle potrzebujemy bazowych inwestycji, realizacji projektów infrastrukturalnych, podniesienia jakości mieszkań (które powinny mieć wyższą efektywność energetyczną). Pieniądze na to można znaleźć. – Nadpłynność finansowa na świecie jest olbrzymia. Kiedy pożyczać, jeśli nie teraz? – dodawała.

Według Pauliny Matysiak, posłanki, wiceprzewodniczącej sejmowej Komisji Infrastruktury, duże inwestycje wyraźnie spowolniły, podczas gdy nie brakuje potencjału, by jednak je realizować. Wyjaśniała, że należy zwiększyć nakłady na badania i rozwój. Wspieranie przez państwo dużych firm nie może nam przesłonić obrazu całej Polski. Paulina Matysiak uważa, że strategiczne podmioty powinny być państwowe.

Powrót protekcjonizmu

Przyszłość jest niepewna, przybywa głosów zaniepokojenia. Czy czekają nas turbulencje w gospodarce? Będzie tak samo albo gorzej – tłumaczył Leszek Skiba, ekonomista, wykładowca akademicki, były prezes Banku Pekao SA i podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów. Gdzie są główne źródła niepokoju? Jaki będzie efekt wyborów w USA? Kandydatów różni wprawdzie ich styl, ale istnieją wyraźne podobieństwa: najskuteczniejszym sposobem, by przemysł wrócił do Ameryki, jest zastosowanie instrumentów protekcjonistycznych. Jeżeli Stany Zjednoczone zaczną wojnę handlową z Chinami, Europa będzie bardziej poszkodowana niż USA.

Leszek Skiba przypomniał, że wzrost gospodarczy powstaje w firmach. Państwo może w tym pomóc. Ingerencja państwa ma sens, np. gdy pojawiają się elementy związane z nierównościami, z nierównym dostępem do infrastruktury. Państwo powinno działać tak, by nie zgubić talentów, gdy rodzą się one daleko od centrów gospodarczych. Ale z ingerencją państwa w gospodarkę wiąże się też pewne problemy, np. wlewanie w nią

”

Najskuteczniejszym sposobem, by przemysł wrócił do USA, jest zastosowanie instrumentów protekcjonistycznych. Jeżeli Stany zaczną wojnę handlową z Chinami, Europa będzie bardziej poszkodowana niż Ameryka

pieniędzy, kiedy nie są one wykorzystywane efektywnie (np. dofinansowywanie elektromobilności w UE, gdy i tak wszyscy na końcu kupią chińskie samochody). Tani pieniądz przyniósł słabe efekty, nie spowodował wzrostu gospodarczego, a do tego nie dopingował firm do rozwoju, lecz je rozleniwił. Leszek Skiba wyjaśniał, jaki jest cel podnoszenia płacy minimalnej: wyższe pensje zmuszają firmy do inwestowania w maszyny i urządzenia, a nie korzystania z tanich kosztów pracy.

Mali muszą się stać dużymi

Ostatni panel pierwszego dnia kongresu poświęcony był najmniejszym firmom (mottem dyskusji był „Wielki mały biznes”). Moderował go Tomasz Sztreker, prezes Polskiej Akademii Biznesu, założyciel Fundacji Wiara w Biznesie, zrzeszającej polskich przedsiębiorców, właściciel centrum spotkań Agere Contra.

Większość polskiego dochodu narodowego wypracowywana jest przez rodzime, małe i średnie przedsiębiorstwa. To na ich barkach spoczywa finansowy ciężar utrzymania państwa. Właściciele, dyrektorzy i menedżerowie tych firm to rdzeń klasy średniej. Mimo to są oni wielkim nieobecny w naszej debacie publicznej. Czy ich potencjał jest należycie przez państwo wykorzystany? Jakie bariery ograniczają ich rozwój? Co zrobić, by rosła u nas klasa średnia?

Aleksandra Smejda-Rosłaniec, członek zarządu Fundacji Fenicia im. św. Charbela oraz Akademickiej Fundacji Rachunkowości i Audytu im. dr. Piotra Rojka, działaczka na rzecz rozwoju przedsiębiorczości w Libanie, opowiadała, jak ważną funkcję w działalności gospodarczej pełni wspólnota. Dobrym przykładem jest właśnie Liban, który należy do trudnych rynków, gdzie środowisko, w jakim działa biznes, wzajemne więzi i współpraca pozwalają jednak go prowadzić. W Polsce poważnym utrudnieniem dla fundacji jest przerośnięta biurokracja, która w niektórych przypadkach wręcz uniemożliwia start w konkursach organizowanych przez podmioty publiczne.



Panel „Bezbronna Europa”. Od lewej: Stanisław Żaryn, prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, prof. Tomasz Grzegorz Grosze, Krzysztof Skowroński.

Fot. Mał. prasowe

– W Polsce mamy do czynienia z coraz bardziej nieprzychylnym i drapieżnym traktowaniem przedsiębiorców. Stawiając przed biznesem absurdalne wymagania, tracimy ich energię – mówił Artur Bartoszewicz, doktor nauk ekonomicznych, nauczyciel akademicki SGH. Państwo potrafi nałożyć na przedsiębiorcę wielkie obciążenia, nie licząc się z konsekwencjami. Na przykład wymagania Zielonego Ładu są dla wielu firm nie do udźwignięcia. Zwycięzą duzi, mali muszą się stać dużymi.

Robert Raczkowski, przedsiębiorca, menedżer, szkoleniowiec, zwrócił uwagę, że stopa oszczędności w Polsce należy do najniższych w UE, co oczywiście jest barierą dla rozwoju biznesu. Barierą jest również system edukacji, który de facto powinien uczyć umiejętności walki i funkcjonowania w zespołach.

Czas rewolucji

Andrzej Kensbok, menedżer, który poprzednio pełnił funkcję wiceprezesa ds. inwestycji w Gaz-Systemie, a wcześniej wiceprezesa ds. finansowych KGHM Polska Miedź, mówił, że w Polsce zreformowano rynek (otwierając go), ale nie zreformowano prawa. Według niego większym kłopotem od braku kapitału jest w naszym kraju brak kapitału społecznego rozumianego jako budowanie kompetencji, wiedzy, dalekowzroczności geograficznej i historycznej, umiejętności porównywania swojej branży z branżami w innych krajach, uczenia się od nich i wyciągania wniosków. Przedsiębiorcy patrzą na państwo wycinkowo, tylko przez pryzmat swojej branży, brakuje im zrozumienia funkcjonowania administracji państwowej. Polscy przedsiębiorcy stosują bardziej tradycyjny model zarządzania, który nie two-

rzy najbardziej produktywnej relacji między przedsiębiorcą a pracownikiem. Rozwój wspomagany przez państwo także kuleje, np. państwo nie zapewnia bezpieczeństwa wychodzenia poza kraj, brakuje wsparcia dyplomacji gospodarczej (nie powstaje ona systemowo, niezależnie od tego, kto w Polsce sprawuje władzę). Nie ma też głębokiego programowania gospodarki, czyli wskazania, które sektory państwo rozwinie, na które będą pieniądze. Na przykład nie wiadomo do tej pory, jaki będzie miks energetyczny naszego kraju.

Co decyduje o sukcesie lub porażce firmy w Polsce? – pytał Tomasz Sztreker. Według Andrzeja Kensboka zależy to od czasów, w jakich ona funkcjonuje. W okresie spokoju wystarczą np. zasoby finansowe, energia, siła organizacyjna. Co innego w epokach gwałtownych, takich jak na początku lat 90. XX w. czy obecnie. Rewolucja informatyczna związana ze sztuczną inteligencją dotknie każdego z nas, ale czy przygotowujemy się do niej? Czy polskie firmy starają się, by być w gronie wygranych, czy znajdują się wśród tych, które znikną z rynku?

Europa nie zrezygnuje z komfortu, nawet w obliczu wojny

Wybuch oraz długie trwanie wojny na Ukrainie stanowią poważne wyzwanie dla europejskiego i światowego systemu bezpieczeństwa. Rosyjska agresja szybko uświadomiła europejskim krajom dotkliwe zaniedbania w obszarze obronności – piszą autorzy wprowadzenia do panelu „Bezbronna Europa”. „Wiele państw cierpi obecnie na brak kulturowej i materiałowej gotowości na pełnoskalowy konflikt zbrojny, a nawet te podejmujące aktywne starania na rzecz wzmocnienia swojego

potencjału obronnego mierzą się z niedostatkami personelu i brakiem infrastruktury umożliwiającej np. produkcję wystarczającej ilości amunicji. Jakże najważniejsze lekcje z wojny na Ukrainie powinny natychmiast wyciągnąć europejskie państwa i jak możemy szybko wzmocnić nasz potencjał obronny? Jakiego rodzaju polityki państwa potrzebujemy, by skutecznie zniechęcić Federację Rosyjską od podejmowania działań przeciwko Polsce?”.

Odpowiedzi na te pytania udzielali: prof. Tomasz Grzegorz Grosse, socjolog, politolog i historyk; prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Łódzkiego, politolog, nauczyciel akademicki; oraz Stanisław Żaryn, doradca Prezydenta RP, urzędnik państwowy i dziennikarz, politolog, prezes zarządu Fundacji Instytut Bezpieczeństwa Narodowego. Panel moderował Krzysztof Skowroński, dziennikarz, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Niska zdolność bojowa

Obecna koncepcja militarna Unii powstała przed około 30 laty, kiedy Europa przestała się czuć zagrożona przez ZSRR. Przemysław Żurawski vel Grajewski mówił, że poczucie braku zagrożenia sojuszników europejskich ze strony Związku Radzieckiego stało się też udziałem wyborców w Stanach Zjednoczonych, dlatego pojawił się concept autonomizacji bezpieczeństwa unijnego – pomysł modułowej struktury NATO, z modułem Europa. W 1992 roku Unia Zachodnioeuropejska przyjęła Misje petersberskie, czyli zbiór zadań z zakresu polityki bezpieczeństwa. To trzy zadania humanitarne, w tym ratownicze; misje pokojowe oraz misje zarządzania sytuacjami kryzysowymi. Misje petersberskie zostały włączone do zadań Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa Unii Europejskiej przez Traktat amsterdamski i nadal są podstawą prawną decyzji o wysłaniu misji w ramach Wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony. – Zadania petersberskie są zadaniami ekspedycyjnymi, nie dotyczą stworzenia własnych sił obrony i obrony terytorium Unii. Zdolności wojskowe rozumiane są jako zdolności ekspedycyjne. Tylko nigdy tych zdolności nie osiągnięto – mówił Przemysław Żurawski vel Grajewski.

Zachód nie zaakceptuje „strat krwawych”

Siły, jakimi dysponuje obecnie Unia, są niewielkie, nie posiadają własnego systemu satelitarnego, bez którego trudno sobie wyobrazić skuteczne działania ekspedycyjne. Grupy bojowe zwoływane są ad hoc. A jak wygląda wydolność polityczna, niezbędna przy operacjach wykonywanych poza granicami kraju? – Zdolność do umierania, do zaakceptowania „strat krwawych” w społeczeństwach zachodnich jest niska. Opinia pu-

bliczna ich nie akceptuje, gdy interesy narodowe są niejasne – wyjaśniał Przemysław Żurawski vel Grajewski. Podkreślił, że Niemcy nie mają ambicji ekspedycyjnych, a ich obecność jest pożądana tylko na tych terenach, gdzie historycznie nie byli agresorami, czyli praktycznie w Europie nigdzie. Nie ma ryzyka, że UE stworzy siły zbrojne zagrażające Europie. Z drugiej strony Unia nie zbuduje zdolności wojskowych, które będą w stanie obronić Europę. Finlandia i Szwecja, kiedy stały w obliczu zagrożenia ze strony Rosji, weszły do NATO, a nie zajęły się pogłębianiem zdolności obronnych UE.

Jaki jest cel polityczny Polski w sytuacji, gdy Unia nie zapewni obrony własnego terytorium, a społeczeństwa zachodnie nie zaakceptują „strat krwawych” w operacjach poza swoimi granicami? Według Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego jest nim stworzenie sojuszu z państw bałtyckich, Rumunii, Ukrainy, ze wsparciem USA, Kanady i Wielkiej Brytanii. Do sojuszu przystąpią ci, którzy czują się zagrożeni ze strony Rosji, a także ci, którzy są zaangażowani w regionie Europy Środkowo-Wschodniej.

Irracjonalna Rosja

Wyzwanie rosyjskie jest oczywiste dla nas, ale dla innych już nie. – Co wiemy o Rosji? – pytał prof. Żurawski vel Grajewski. – Że jest w stanie podejmować decyzje irracjonalne. Takim przykładem była próba podboju Ukrainy w lutym 2022 roku, gdzie rosyjskie rozpoznanie okazało się fatalne. Ich obraz rzeczywistości był oderwany od realiów, podjęto więc irracjonalną decyzję wysłania zbyt słabych sił przeciwko Ukrainie. Owszem, można kalkulować, co Rosjanom opłaci się bardziej, a co mniej, ale odpowiedź Moskwy będzie adekwatna do sytuacji tylko pod tym pod warunkiem, że jej ocena rzeczywistości będzie realna.

W jaki sposób Polska może wyrównać swój potencjał obronny z Rosją? Prof. Żurawski vel Grajewski mówił o źródłach siły wymagających sięgnięcia po zewnętrznych partnerów. Jednym z nich są narody znajdujące się w podobnym położeniu jak Polska, czyli także Czechy i Skandynawia oraz Ukraina, ale bez Słowacji i Węgier.

”

Zdolność do umierania, do zaakceptowania „strat krwawych” w społeczeństwach zachodnich jest niska. Opinia publiczna ich nie akceptuje

Polska i Ukraina dysponują odpowiednim potencjałem, natomiast głos Skandynawów jest uważniej wysłuchiwany na Zachodzie niż Polaków, posiadają także dobrze rozwiniętą technologię. O skuteczności tej grupy będzie rozstrzygać współpraca polsko-ukraińska. Według prof. Żurawskiego vel Grajewskiego ubiegłoroczne załamanie w stosunkach polsko-ukraińskich było spowodowane fatalną polityką ukraińską, a nie naszą. Ekspert zwrócił uwagę na słabość zaplecza ukraińskiego – intelektualnego i eksperckiego. – Ukraińcy nie posiadają takich ośrodków analitycznych jak my. Mają je Niemcy, i to na podstawie ich analiz Ukraińcy podejmują decyzje.

Według prof. Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego przed polską klasą polityczną stoi zadanie przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej. Armia zawodowa nie wystarczy.

Niebezpieczne propozycje

Pewne pomysły wpływające na zapewnienie bezpieczeństwa Unii znalazły się w szeroko komentowanym raporcie Mario Dragiego: „The future of European competitiveness”. – Draghi patrzy jednak bardziej na potencjały ekonomiczne przemysłu zbrojeniowego w Europie niż na zagrożenie rosyjskie – mówił Tomasz Grzegorz Grosse. Według niego pomysły na politykę obrony UE, jeżeli w ogóle zawierają aspekty realnego użycia siły, mają charakter policyjny. I to nie na wschodniej flance NATO. – O tym się w ogóle nie myśli. O czym zatem myśli Europa? Właśnie o tym, co napisał Draghi, czyli jak wykorzystać zagrożenie, by poprawić potencjał eksportowy największych korporacji, głównie niemieckich i francuskich, trochę włoskich i hiszpańskich – dodawał ekspert. Według prof. Grosse chodzi nie tylko o ich wzmocnienie, lecz o wymuszenie regulacyjne na państwach wschodniej flanki, by kupowały uzbrojenie od korporacji zachodnioeuropejskich. – Tymczasem zachodni przemysł obronny jest niewydolny, jego produkcja jest zbyt mała i z naszego punktu widzenia zakupy od niego wiązałyby się z dużym ryzykiem dla naszego bezpieczeństwa. Propozycje, które teraz są na stole, są dla nas niekorzystne, należy więc je odrzucić – tłumaczył prof. Grosse. – Mamy się zadłużyć, by wzmocnić korporacje zachodnioeuropejskie. Sami musimy mieć firmy zbrojeniowe, produkować odpowiednie ilości amunicji – dodawał ekspert. – Operacja wzmocnienia polityki obronnej proponowana przez Dragiego nie tylko jest dla nas niekorzystna, lecz odbywa się też kosztem naszego podatnika. Trzeba się bronić przed jej negatywnymi skutkami, a także przed unijną polityką imigracyjną. Sami musimy produkować amunicję, posiadać własny system przeciwlotniczy, rakietowy dalekiego zasięgu – wyjaśniał. Według Tomasza Grzegorza Grosse nie unikniemy dyskusji na temat posiadania broni atomowej: chodzi nie tyle o wyprodukowanie broni jądrowej, ile o zbudowanie potencjału do

jej wytwarzania. Tak, jak zrobili to Koreańczycy, by móc go uruchomić w ciągu kilku miesięcy.

Kolejne postulaty prof. Grosse to zawieszenie lub rozłożenie na etapy rewolucji klimatycznej, gdyż musimy gromadzić środki na inny cel. A jeżeli musimy się zadłużać, to rozsądniej będzie to robić na własne potrzeby niż na unijne. Według niego możliwe jest wypowiedzenie przez polski parlament części polityki klimatycznej, tak jak wypowiedziano politykę relokacji. Nie jesteśmy w stanie skoncentrować się na wszystkim.

Europa chce żyć w dostatku

– W Europie brakuje elit, które stanęłyby na wysokości zadania w obecnych, skomplikowanych czasach. Elity nie dostrzegają takich zagrożeń, jakie widział prezydent Lech Kaczyński – człowiek świadomy zagrożeń, odważny, by ostrzegać świat – mówił Stanisław Żaryn. – Symbolem braku zdolności identyfikowania tego, z czym się mierzymy i z jak dużą skalą zagrożeń mamy do czynienia, są niemieckie hełmy oferowane Ukrainie. Europejski establishment chętnie nas wysłuchuje, ale wciąż nie ma świadomości, do czego Rosja się przygotowywała i co chce zrobić. A Rosja chce powrócić do polityki stref wpływów, nasz region ma się stać strefą buforową, bez obecności NATO.

Kolejny przykład europejskiej kondycji przytoczony przez Stanisława Żaryna to zimne grzejniki, którymi propaganda rosyjska straszyła Europę jesienią 2022 r. Ten symbol pokazuje poziom i sposób nacisku na Unię, który w pewnym stopniu jest skuteczny, ponieważ Europejczycy nie tylko nie chcą płacić swoją krwią, nie chcą też obniżenia komfortu życia. Europa nie jest do tego zdolna.

Inny wyrazisty znak obecnej sytuacji to systemy artylerii rakietowej HIMARS, które trafiły ze Stanów Zjednoczonych na Ukrainę. – To jasny sygnał, że autonomia strategiczna Europy jest fasadą i pułapką – tłumaczył Stanisław Żaryn. Dodawał, że skupiamy się na Rosji, ale powinniśmy pamiętać też o Chinach, bo ich dominacja jest dużym wyzwaniem i zagrożeniem dla Europy (na przykład 70 proc. nitrocelulozy, niezbędnej do produkcji amunicji w Europie, jest sprowadzana z ChRL).

Moskwa na kursie wojennym

– Za mało dyskutujemy o tym, co się dzieje w Rosji – mówił Stanisław Żaryn. – Rzeź Rosjan na Ukrainie nie wywołała w Rosji buntu społecznego, ale doszło do wzrostu poparcia dla Putina. Straty na Ukrainie Rosjan mocno nie dotknęły, nie bardzo ich obeszły. W Rosji nie istnieje ruch społeczny przeciwko władzy na Kremlu. Rosjanie żyją w rzeczywistości prania mózgów – dodawał. Według Stanisława Żaryna kraj rozpoczął już realizację pewnych założeń imperialnych, przygotował się finansowo. Rosja jest na kursie wojny.

●

SK

Sześć lat w Polsce

Medal Odwaga i Wiarygodność.
Przemowa laureata prof. Davida Engelsa



Wasze Ekscelencje, Drogie Panie, Drodzy Panowie, w pierwszej kolejności chciałbym wyrazić moje najserdeczniejsze podziękowania profesorowi Krasnodębskiemu i komisji konkursowej organizacji Polska Wielki Projekt za wielki zaszczyt, jakim mnie dziś obdarzyliście, a także Olivierowi Baultowi za jego miłą i wzruszającą laudację. Czuję się niezmiernie zaszczycony tą oznaką uznania dla mojej pracy, a kiedy pomyślę o tym, że zaledwie kilka lat temu tym samym medalem został wyróżniony nieżyjący już Sir Roger Scruton, to nie będzie fałszywą skromnością, jeśli podkreślę, że tak naprawdę nie zasługuję na tę nagrodę – a przynajmniej tylko z pewnymi zastrzeżeniami.

Dlatego chciałbym przede wszystkim wspomnieć wszystkich tych, bez których trudno byłoby mi wykonać moją misję: moich kolegów tu, w Polsce, za ich życzliwe wsparcie, zwłaszcza dr Justynę Schulz z Instytutu Zachodniego; moich polskich partnerów medialnych, takich jak TVP, Radio Polskie, Gazeta Polska, TVP World, Ordo Iuris czy Deliberatio, za żywą wymianę zdań, którą z nimi prowadziłem; moich przyjaciół w Warszawie za wiele niekończących się rozmów o sytuacji w kraju; i oczywiście mediom, w których ukazywały się moje teksty, przede wszystkim „Cato”, „Tichys Einblick”, „Junge Freiheit” i „Tagespost”, ale także „Radio Courtoisie”, „TV Libertés”, „Journal du dimanche”, „Disidentia”, „Tribuna del Pais Vasco”, „El Correo de Espana”, „European Conservative” i „Spectator” – a jeśli o kimś zapomniałem, szczerze przepraszam.

Walka o cywilizację zachodnią

Oczywiście w ostatnich latach starałem się relacjonować wydarzenia z Polski w mediach zagranicznych – zwłaszcza niemieckich – ale także francuskich, hiszpańskich i angielskich, w sposób, który sam uważałem za zgodny z moją najlepszą wiedzą i który, jak mi się wydaje, pod wieloma względami zaprzeczal obrazowi przekazywanemu przez media głównego nurtu. Tak naprawdę jednak jestem jak najdalej od bycia ekspertem

w tych kwestiach i raczej przez przypadek znalazłem się w roli, która nie jest moja i której nigdy nie powinienem pełnić (gdyby tylko nie okazało się, że jestem jednym z nielicznych, którzy są gotowi się jej podjąć).

Do dziś płacę wysoką cenę za moją decyzję o zaangażowaniu się w walkę, do której byłem wyjątkowo źle przygotowany. Ale patrząc wstecz, nie żałuję niczego z tego, co powiedziałem lub napisałem. W końcu walka, którą toczyłem w Polsce i o Polskę, była ostatecznie walką o to, co zawsze było najbliższe mojemu sercu: zachodnią cywilizację. I to prowadzi nas do prawdziwej treści tego krótkiego przemówienia.

Nawet jeśli w ostatnich latach zostało to nieco przeoczone, w rzeczywistości nie jestem dziennikarzem, ale profesorem uniwersyteckim; nie pisarzem codziennych artykułów, ale filozofem historii; nie politykiem, ale uczonym; nie osobą aktywną, ale kontemplacyjną. Od dzieciństwa byłem najbardziej zafascynowany niesamowitą różnorodnością i pięknem, z jakimi ludzie próbowali wyrazić ideę transcendencji i zrozumieć Boga, ludzkość i naturę na swój specyficzny, niepowtarzalny sposób poprzez różne wielkie cywilizacje. Gdybym miał dziś oprowadzić Państwa po mojej bibliotece, zobaczyliby Państwo, że jest ona znacznie lepiej zaopatrzona w literaturę na temat starożytnych Chin, klasycznego antyku, Egiptu, islamu czy Majów niż na temat Europy, a ja prawdopodobnie spędzam znacznie więcej czasu, próbując zrozumieć buddyjską myśl, chiński projekt ogrodu, egipską architekturę czy grecką myśl polityczną, niż czytając książki na temat współczesnej historii. Podczas gdy to drugie może rzeczywiście czasami wyostrzyć moją analizę polityczną, tylko to pierwsze zapewnia mi fundamentalne poszerzenie horyzontów, do którego dążę od dziesięcioleci.

Miłość do Europy

Tu można zapytać niecierpliwie: co to wszystko ma wspólnego z przedstawianiem Polski w mediach? Mają Państwo do tego pytania pełne prawo. Cóż, jestem

przekonany, że wszystkie wielkie cywilizacje są równie ważnymi i wartościowymi ścieżkami do jednego najwyższego celu, jakim jest wiedza o transcendencji; każdego dnia uczę się niesamowicie wiele, studiując te cywilizacje, nie tylko o tak zwanych egzotycznych perspektywach na główne pytania naszego życia, lecz także o ślepych uliczkach naszej własnej cywilizacji. W tym samym czasie jednak kocham moją własną europejską cywilizację bardziej niż jakąkolwiek inną i chciałbym ją utrzymać oraz bronić w uprzywilejowany sposób. Dlaczego nie jest to w żadnej mierze paradoks, wyjaśniłem szczegółowo w przemówieniu, które wygłosiłem kilka miesięcy temu na konferencji „Narodowy konserwatyzm”. Tu powiem więc tylko, po pierwsze, że nawet powszechna ludzka miłość nie umniejsza szczególnej odpowiedzialności, jaką jest się winnym najbliższemu bliźniemu i „ordo caritatis”; po drugie, że ostatecznie tylko własna cywilizacja jest tą, którą możemy w pełni zrozumieć i którą możemy dalej rozwijać; po trzecie, jestem przekonany, że wydając nas na świat jako Europejczyków, Bóg powierzył nam również zadanie pielęgnowania tej szczególnej cywilizacji.

Moja szczególna miłość do Europy – jak można sobie wyobrazić, mówię tutaj o prawdziwej Europie, a nie o tym, co Unia Europejska zrobiła z tym ideałem – ma również inny powód. Jak Państwo wiedzą, jestem Belgiem, więc już z tego powodu mam bardzo słabą tożsamość narodową. Jest jeszcze gorzej: należę do mniejszości niemieckojęzycznych Belgów, która liczy zaledwie 70 tys. osób i, w przeciwieństwie do innych mniejszości, nigdy nie miała ona silnej własnej tożsamości regionalnej, takiej jak Alzacja, Korsyka czy Bretania, ale jest wyłącznie produktem historycznego przypadku. Oznacza to, że ustanowienie prawdziwej tożsamości regionalnej lub narodowej było dla mnie niezwykle trudne, jeśli nie niemożliwe. W rzeczywistości byłoby to dla mnie idealne warunki do stania się wykorzystanym, zglobalizowanym, lewicowym liberalnym kosmopolitą, ale okazało się inaczej: żyjąc na przecięciu tożsamości niemieckiej, francuskiej i, do pewnego stopnia, burgundzko-lotaryńskiej, odkryłem cywilizację europejską jako prawdziwą, że tak powiem, „narodową” ojczystą; to znaczy jako tożsamość, która jednoczy i przekracza moje własne, często sprzeczne tożsamości, mniej lub bardziej harmonijnie i sensownie. W pewnym sensie stałem się „europejskim nacjonalistą”, jeśli możemy naiwnie użyć tutaj słowa „nacjonalista” w jego pierwotnym znaczeniu: Europa w całości jest dla mnie tym, czym dla innych byłoby „państwo narodowe”.

Dlaczego Polska?

Ten europejski naród jest oczywiście zewsząd zagrożony, co sprawia, że stopniowo zbliżamy się również do wyjaśnienia, co przywiodło mnie do Polski. Z jednej strony przyznaję, że jednym z powodów było pewne

poczucie przygody: po 10 latach pracy jako kierownik Katedry Historii Rzymu na Uniwersytecie Brukselskim (ULB) chciałem doświadczyć czegoś zupełnie innego. Z drugiej strony moja decyzja o migracji do Polski wynikała z faktu, że moja działalność w coraz większym stopniu przenosiła się z czystej historii starożytnej na analizę polityczną, a Instytut Zachodni był interesującym pracodawcą, ponieważ chciał, abym zajmował się polityką europejską z cywilizacyjnego i tożsamościowego punktu widzenia. Ale w tle była też świadomość, że Belgia, mój kraj rodzinny, całkowicie wkroczyła na ścieżkę kulturowej autodestrukcji, podczas gdy w Polsce odbywał się ekscytujący eksperyment proeuropejskiego, chrześcijańskiego, społecznego i konserwatywnego rządu, w którym to eksperymencie udział wydawał mi się niezwykle zaszczytny i znaczący. Czy muszę dodawać, że spędzenie kilku lat w kraju, który pod wieloma względami oferował bardziej „normalne” warunki życia niż moja ojczyzna, było również niezwykle atrakcyjną perspektywą dla mojej rodziny? Silna klasa średnia, społeczeństwo nadal w dużej mierze ukształtowane przez chrześcijaństwo, niezwykle homogeniczna populacja, pewien optymizm co do przyszłości, doskonałe perspektywy gospodarcze, bardzo niski wskaźnik przestępczości, pewien spokój w interakcjach międzyludzkich – wszystko to może się wydawać „codziennym” banałem z polskiej perspektywy, ale w Europie Zachodniej stało się już absolutnym wyjątkiem.

Przyjeżdżając tutaj, początkowo deklarowałem, że nie chcę się zajmować w mojej pracy bieżącą polską polityką, jedynie kwestiami europejskimi. Jednak los chciał, że niemieckie i francuskie media coraz częściej kontaktowały się ze mną występującym w roli lokalnego punktu kontaktowego, by komentować poszczególne wydarzenia. Na początku byłem trochę niechętny. Po pierwsze, nie jestem specjalistą od współczesnej historii Europy Środkowej; po drugie, nigdy nie byłem w stanie nauczyć się języka polskiego w stopniu, który byłby do tego konieczny, ponieważ obciążenie pracą od czasu mojego przyjazdu było po prostu zbyt duże. Stopniowo jednak dałem się przekonać do odpowiadania na zadawane mi pytania zgodnie z moją najlepszą wiedzą, ponieważ szybko zdałem sobie sprawę z czegoś, co nigdy wcześniej nie przyszłoby mi do głowy: byłem i jestem właściwie jednym z niewielu eseistów urodzonych poza Polską, którzy kiedykolwiek próbowali rozwinąć konstruktywne zrozumienie byłego polskiego rządu i wyrazić je publicznie. Na pierwszy rzut oka może się to wydawać zaskakujące, ponieważ w Europie Zachodniej nie brakuje znacznie bardziej kompetentnych polonistów, dziennikarzy i politologów. Jednak szybko stało się dla mnie jasne, że albo nie komentowali oni w ogóle, albo tylko sporadycznie na krytyczne tematy, albo byli na stałe zatrudnieni przez te media, które ideologicznie wyraźnie sympa-

tyzowały z ówczesną lewicowo-liberalną opozycją, która obecnie rządzi. Innymi słowy, gdybym nie komentował pewnych tematów, nikt inny by tego nie robił, a czytelnicy z Europy Zachodniej musieliby czerpać wiedzę o Polsce ze źródeł, które byłyby wyraźnie antykonserwatywne. To był dla mnie decydujący czynnik.

Nigdy nie chciałem polaryzować

W związku z tym, oprócz mojej pracy naukowej jako historyka minionych cywilizacji, przez ostatnie sześć lat starałem się krytycznie śledzić wydarzenia polityczne, przynajmniej na tyle, na ile je rozumiałem i na ile mogły one zainteresować zachodnioeuropejską opinię publiczną, chociaż moja uwaga obracała się głównie wokół kwestii, które dotyczyły moich głównych obaw: a mianowicie różnorodnych wewnętrznych i zewnętrznych zagrożeń dla naszej europejskiej cywilizacji, które można było zobaczyć w modelowy sposób tutaj, w Polsce, gdzie opór nie został jeszcze całkowicie uciszony. Kiedy patrzę wstecz na te ostatnie 6 lat, sam jestem zdumiony liczbą tekstów mojego autorstwa: opublikowałem 6 monografii, 13 książek (nie licząc tłumaczeń), 100 artykułów naukowych i około 800 artykułów lub wywiadów dla dużych mediów.

Patrząc z perspektywy czasu, było nieuniknione, że narobię sobie wielu wrogów, zwłaszcza w niemieckich mediach. Dopóki nie przeprowadziłem się do Polski, mogłem być czasami postrzegany jako „konserwatywny” myśliciel w tamtejszych mediach; jednak moja odmowa udziału w powszechnej demonizacji odchodzącego polskiego rządu i próba poparcia jego ogólnego programu odnowy chrześcijańskiej, społecznej oraz kulturowej dla Polski i całej Europy, niezależnie od tego, jak bardzo można zasadnie kwestionować jakość jego realizacji, nie została mi wybaczona.

Zostałem więc nazwany „zwolennikiem dyktatury”, a ponieważ to, podobnie jak inne „strzały ostrzegawcze”, nie wystarczyło, aby mnie uciszyć, przypisywane mi atrybuty stawały się coraz bardziej ekstremalne, tak że teraz w Niemczech jestem, wierząc lub nie, zaliczany do „myślicieli skrajnej prawicy”. Doznałem też odpowiednich represji, chociaż moje fundamentalne poglądy nigdy tak naprawdę się nie zmieniły, odkąd zacząłem pisać. I chociaż ideały, których bronię, odpowiadają, jak sądzę, temu, co dobrze wykształceni Europejczycy byli w stanie zgodzić uznawać przez kilka stuleci, a nawet tysiące, bez większych dyskusji. Nigdy nie chciałem polaryzować i zawsze starałem się unikać skrajnych opinii. Czcić Boga, kochać cywilizację europejską, dbać o państwo narodowe, być dumnym z wysiłków naszych przodków, chronić rodzinę, szanować komplementarność mężczyzny i kobiety, być pomocnym dla bliźniego, bronić naszej wolności, być tolerancyjnym wobec innych opinii. Krótko mó-

wiąc, być rycerskim i dążyć do tego, co dobre, prawdziwe i piękne – wszystko to zawsze wydawało mi się wybitnie ponadpolityczne, ale obawiam się, że w dzisiejszych czasach nawet te niewinne ideały są coraz bardziej kwestionowane i zniesławiane, zwłaszcza przez ideologię „woke”. Dlatego nie zawsze było łatwo znosić bez skarg złośliwą i nieuzasadnioną krytykę niektórych dziennikarzy oraz rzekomych ekspertów, lecz przynajmniej doświadczyłem na własnej skórze, jak stronicze, niesprawiedliwe, a nawet kłamliwe stały się niektóre z tych mediów, które jeszcze 20 lat temu uważano za uosobienie obiektywnej neutralności – to smutna, ale ważna lekcja.

Walka została przegrana, przynajmniej na razie

W ciągu tych lat Polska stała mi się bardzo bliska, nie tylko jako bastion europejskiej tożsamości, lecz także jako kraj sam w sobie, który od teraz, bez względu na to, co się wydarzy, będzie stanowił ważną część mojego życia. Życzliwość polskiego narodu, jego wspaniała przeszłość kulturowa, niemalże niewyczerpana odporność polityczna na obcych władców i wiele więcej – znacznie rozszerzyły i skorygowały moje wcześniejsze spojrzenie na Europę, które zasadniczo ograniczało się do wymiaru francusko-niemieckiego. Polska stała się nie tylko częścią mojej historii, lecz również historii moich trzech synów. Dwaj najstarsi stali się dwujęzyczni, ale także trójjęzyczni w ciągu tych lat i dlatego mówią doskonale po polsku, a pod wieloma względami znają i rozumieją ten kraj znacznie lepiej niż ten, z którego faktycznie pochodzą; a nasz trzeci syn urodził się nawet tutaj, w Polsce, i uważa ten kraj za swoją prawdziwą ojczyznę, za – jak mówi – „swoją” Polskę.

Mimo wszystko należy jednak zrozumieć, że walka ostatnich sześciu lat została zasadniczo przegrana, przynajmniej na razie. I mam tu na myśli nie tylko konkretną kwestię większości parlamentarnej i partii rządzących, lecz również ogólną sytuację kraju. Bo nawet dla mnie, jako osoby z zewnątrz, nie da się ukryć, jak bardzo zmieniła się Polska, odkąd tu mieszkam, i to nie tylko na lepsze.

Zaangażowanie w chrześcijaństwo pikuje, sytuacja demograficzna jest coraz bardziej katastrofalna, gloryfikacja wszystkiego, co „zachodnie”, jest wysoce wątpliwa, a wiedza o własnej tożsamości stale maleje. Hedonizm, materializm, ateizm, globalizm, amerykańizacja, ideologia gender, tani moralny aktywizm – wszystko to gwałtownie wzrosło w ciągu kilku lat, w których tu jestem, i nie należy zakładać, że trend ten zostanie odwrócony w najbliższej przyszłości. Jednocześnie stopniowa perwersja Unii Europejskiej doprowadziła wielu ludzi na politycznej prawicy do porzucenia ideału wspólnego europejskiego państwa-cywilizacji i całkowitego skupienia się na suwerenności oraz pań-

stwie narodowym, co moim zdaniem jest niemal tak wielkim błędem jak abstrakcyjny multikulturalizm i globalizm głoszony przez brukselską technokrację. W związku z tym Polska ma zamiar wpaść w tę samą pułapkę, w którą mój kraj został złapany dwie lub trzy dekady temu, a – jak mi się wydaje – głuchota jest reakcją na wszystkie ostrzeżenia. Najwyraźniej wszystkie kraje europejskie muszą przejść przez ten sam rozwój; nie ma rzeczy niemożliwych, więc nadzieja, którą od dawna pielęgnowałem, że przynajmniej Polska i Węgry będą się uczyć na błędach Zachodu i wcześniej opracują alternatywę, była prawdopodobnie daremna.

Kłamstwa padają na podatny grunt

Niemniej jednak wydaje mi się, że choć rozwój ten mógł być nieunikniony, można było pokierować nim w bardziej konstruktywną i inteligentną stronę za pomocą odpowiedniej polityki tożsamości. Być może było nieuniknione, że większość populacji popełni te same błędy, co ich sąsiedzi na Zachodzie; byłoby jednak całkowicie możliwe przygotować przynajmniej pewną mniejszość narodu polskiego na nadchodzące ciężkie czasy i zbudować prawdziwy wewnętrzny opór, zwłaszcza wśród młodych patriotów, jak starałem się pokazać w mojej książce „Co należy zrobić”; środek, który jednak – jak mi się wydaje – został w dużej mierze zaniedbany w ostatnich latach. Niestety. Czy zmieniłoby to wybory w 2023 roku? Być może nie, ale obecna sytuacja byłaby znacznie bardziej obiecująca.

Kolejny żal dotyczy zewnętrznego oddziaływania Polski. Nie chodzi bowiem tylko o to, że Polska coraz mniej zna samą siebie; Polska nie jest też tak naprawdę znana za granicą, co moim zdaniem jest prawdziwą katastrofą. Podczas gdy wszystkie inne wielkie kraje europejskie mają stosunkowo wyraźny profil w zbiorowej świadomości, Polska pozostaje wielką niewiadomą. Jeśli zapytasz Francuza, Hiszpana czy nawet Niemca, co kojarzy im się kulturowo z Polską, prawdopodobnie nie otrzymasz wielu odpowiedzi poza obozami koncentracyjnymi, Warszawą i Janem Pawłem II. Polska jest tabula rasa w zbiorowej świadomości Europejczyków i niestety nawet po ośmiu latach konserwatywnych rządów prawie nic się nie zmieniło. Nawet tłumaczenia klasycznych polskich pisarzy są praktycznie niemożliwe do znalezienia. Ale oznacza to również, że odpowiednie kłamstwa o Polsce padają na podatny grunt, ponieważ nie ma kontrainnarracji, która mogłaby im przeciwdziałać.

Przyszłość nie rozstrzygnie się w Warszawie, ale w Brukseli

Oprócz rażącej porażki w polityce kulturalnej mamy do czynienia z powszechną biernością w zakresie polityki informacyjnej. Podczas gdy Niemcy, Rosja,

Stany Zjednoczone i Francja utrzymują niezliczone fundacje, stowarzyszenia oraz media za granicą, aby wnieść swoje poglądy do procesu kształtowania opinii swoich sąsiadów, Polska nie zrobiła nic podobnego, poza kilkoma słabymi i spóźnionymi próbami, a także w dużej mierze powstrzymała się od nawiązywania bliższych kontaktów z potencjalnymi partnerami politycznymi i medialnymi. Bo czy się to komuś podoba, czy nie, przyszłość Polski nie rozstrzygnie się w Warszawie, ale w Brukseli, a jeśli chce się stawić odpowiedni opór lewicowo-liberalnemu krakenowi, można to zrobić tylko poprzez ścisłą współpracę europejskich konserwatystów, co starałem się pokazać w moich książkach „Renovatio Europae”, „Europa Aeterna” i najnowszej „Défendre l'Europe”. Konsekwencją tej prawdopodobnie mimowolnej, bo w ogóle nie konceptualizowanej, „wspaniałej izolacji” była daleko idąca izolacja polskich konserwatystów w dyskursie europejskim. A gdy się kogoś nie zna, to się nie czuje za niego odpowiedzialnym. I znów, nie miało to może decydującego wpływu na wynik wyborów, ale znacząco poprawiłoby obecną sytuację.

Czy jest już za późno? Nie, ponieważ poważnym błędem byłoby wiązanie działań politycznych wyłącznie z kompetencjami państwa narodowego. Polityka tożsamości, polityka kulturowa i polityka sojuszy mogą być również prowadzone z ławy opozycji, choć przy użyciu znacznie mniejszej liczby środków władzy. Nadszedł czas, aby w końcu wyrwać się z przestarzałych kategorii państwa narodowego lat 90. oraz 2000. i otworzyć się na znacznie bardziej złożoną, ale także znacznie bardziej obiecującą, sytuację polityczną teraźniejszości, w której walka nie toczy się za pomocą prawa, lecz poprzez organizacje pozarządowe, media, gazety, filmy, fundacje, powieści, tweety, akademie, muzykę czy letnie uniwersytety.

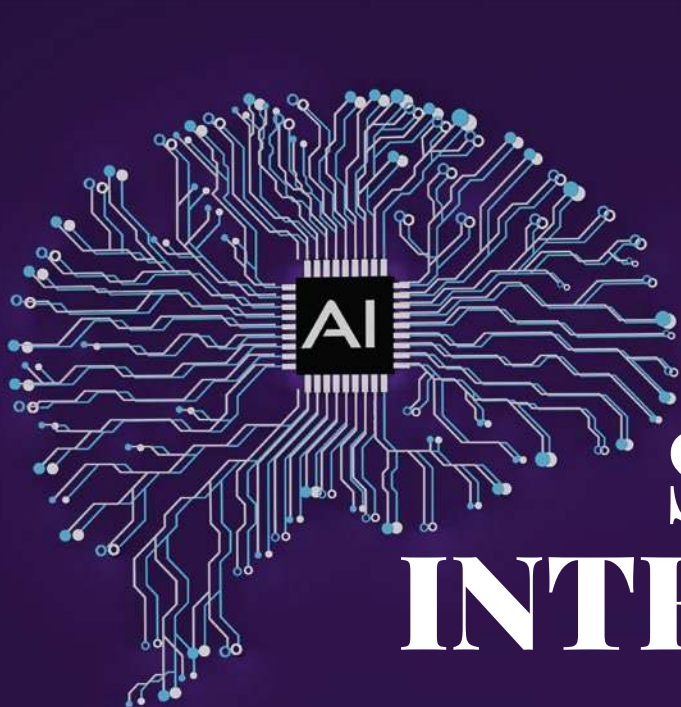
Ale to by było na tyle z mojej strony. Walka o przyszłość nie tylko Polski, lecz całej Europy toczy się pełną parą, a ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane. Nie wiem, czy będę mógł kontynuować tę walkę w Polsce, ponieważ w ciągu ostatniego roku niestety straciłem wszystkie moje zawodowe posady w Polsce z bezpośrednich lub pośrednich powodów politycznych, a więc – na szczęście lub nieszczęście – będę musiał ponownie zwrócić się do Europy Zachodniej, aby nadal karmić moją rodzinę: są to niestety zagrożenia zawodowe, które wiążą się z byciem dysydem, jak wszyscy wiecie aż za dobrze z własnej przeszłości historycznej. Ale cokolwiek się stanie, nie chcę zdradzić Polski i tego nie robię: zawsze, gdy trzeba przeciwdziałać dezinformacji na temat naszego kraju, mogą Państwo na mnie liczyć.

Dziękuję za Państwa uwagę i niech Bóg błogosławi Polskę oraz naszą europejską cywilizację!

Warszawa, 28.09.2024 r.

Śródtytuły pochodzą od redakcji

ANDRZEJ ZYBERTOWICZ



SZTUCZNA INTELIGENCJA

analizowana,
czyli jak rozumieć otaczający nas świat?

Książka „AI Eksploracja”, która świeżo ukazała się nakładem wydawnictwa Zona Zero, już zdobyła spore grono czytelników. Prof. Andrzej Zybretowicz o publikacji opowiadał ciekawie na początku września na Forum Ekonomicznym w Karpaczu, a wspólnie z małżonką – Katarzyną Zybretowicz, notabene współautorką, spotkał się z czytelnikami już kilkakrotnie. To niezwykle zapis rozmowy na temat otaczającego nas świata technologii, choć należałoby raczej napisać „świata oblegającego nas”. Bo sztuczna inteligencja, obecna w codziennych narzędziach, z których korzystamy, już pomaga nam swobodnie żyć. Czy należy jej się bać? Czy trzeba pilnować, by nie wymknęła się spod kontroli człowieka? Jakie ostatecznie rozwój AI niesie zagrożenia? – to pytania, które stawiamy sobie niemal codziennie, wykorzystując tę technologię. Zybretowiczowie próbują okiełznać te wątpliwości w dialogach – w rozmowach, dzięki którym łatwiej przyswoić wiele trudnych pojęć lub przełożyć je „na nasze”.

Postanowiliśmy zatem, poza oczywistym poleceniem tej książki, zaprezentować Wprowadzenie do tych rozmów, do samej publikacji, którą trzeba traktować jak pracę naukową. Tym samym wierzymy, że fragment, a właściwie wstęp do „AI Eksploracji”, zainteresuje i zafrapuje na tyle, że warto będzie sięgnąć po zapis tych ciekawych rozmów naukowców.

Zostań turystą u siebie

Na początku proponujemy Czytelnikom mały, odświeżający zabieg myślowy. Wyobraźcie sobie Państwo, że pewnego pogodnego dnia nie musicie iść do pracy, ale też nie wyjechaliście na urlop. Jesteście w swoim mieście. Nigdzie się nie śpieszycie. Pójdziecie jego ulicami na luzie, trochę bez celu, a trochę z zamiarem dostrzeżenia czegoś ciekawego.

Przjrzyjcie się budynkom przy ulicach, przez które codziennie przechodzicie lub przejeżdżacie. Nowym spojrzeniem omiećcie place i zaułki Waszego miasta. Zatrzymajcie wzrok na przechodniach, jak byście ich nigdy wcześniej nie widzieli. Zobaczycie śpieszących się, ospałych, a także tych zagubionych.

A potem pomyślcie – czy to jest miasto, w którym warto żyć? Czy jego energia, kolorystyka, dźwięki Wam odpowiadają? Może nie wszystko wam się spodoba, odmienność czasem przybiera zaskakujące formy, ale pewnie nasunie się Wam też refleksja: w gruncie rzeczy możemy się jakoś nawzajem dotrzeć.

Jednak za chwilę pomyślcie, że prawie wszystko to, co widzicie, może już niedługo zniknąć – ludzie, auta, budynki i parki. Że przez jakieś potężne siły posiadające kusicielski czar wszystko to może zostać odmienione tak pokracznie, że trudno będzie w nowych konfiguracjach się połączyć. Że wielu obserwowanych przez Was ludzi zdaje się nie myśleć o tym, co teraz w ich życiu jest najbardziej wartościowe, ani o tym, co jest naprawdę dokuczliwe i zbędne.

Pomyślcie: może warto ich spytać, czy chcą, by ich życie zostało przedstawione na inne tory – prawie bez ich woli i przy niewielkiej możliwości ogarniania tego, co się dzieje. Kim się staną, gdy pewnej niezwykowanej i słabo wykrystalizowanej obietnicy lepszego świata bardzo łatwo ulegną?

Ta czarująca siła i kusząca obietnica to technologia sztucznej inteligencji. Kolejny z długiej serii ludzkich wynalazków. Niektóre wybitne postacie mówią, że kolejny, ale tym razem zapewne jednocześnie ostatni. Że pozostałe wynalazki, jeśli jeszcze w ogóle nadejdą, nie będą już ludzkiego autorstwa. Także na smartfon, który trzymacie w ręce, spójrzcie tak, jakby był czymś niezwykłym, czymś, co właśnie pokazała Wam znajoma z innego kontynentu. Podobno tam ludzie używają tego non stop i nie potrafią już bez tego sprzętu się obyć.

Zapomnijcie wszystko, co kojarzy się Wam z rewolucją cyfrową, z rozwojem, z obietnicami i z obawami. Przypomnijcie sobie, że nie jesteśmy ani tym, co myślimy, ani tym, co mówimy, ale tym, co najczęściej robimy. I rozważcie, któremu z ludzi poświęcacie co najmniej tyle czasu, ile dajecie swojemu smartfonowi. A gdy już to uczynicie, skreślcie do nas kilka słów swoich spostrzeżeń. Mail do autorów podany w książce.

Będziemy wdzięczni za wszelkie uwagi, choć nie możemy obiecać, że na każdą wiadomość odpowiemy.



„AI Eksploracja”

- Andrzej Zybertowicz, Katarzyna Zybertowicz
- Wydawnictwo Zona Zero
- Rok wydania 2024

”

Andrzej Zybertowicz stworzył w tej książce przestrzeń dla rozmowy o AI, której wszyscy potrzebujemy. W dzisiejszym świecie „przejrzystość” w naszym dyskursie to kluczowe wymaganie. Ta książka powinna być lekturą dla każdego, kto pyta, czym AI jest dziś i czym może być w przyszłości. A must read.

Andrew A. Michta, Senior Fellow and Director, Scowcroft Strategy Initiative, The Atlantic Council of the United States

”

Książka „AI Eksploracja” zostawiła mnie z większą liczbą pytań, niż miałam przed jej przeczytaniem. A mimo to właśnie dlatego warto po nią sięgnąć. Może stanowić ciekawy, inny punkt wyjścia, pretekst do dalszych rozważań na temat AI. Poznając bowiem lepiej tę technologię, paradoksalnie lepiej poznajemy samych siebie.

Natalia Hatałska, autorka książki „Wiek paradoksów: Czy technologia nas ocali?”

”

Komputery osobiste, Internet i smartfony, początkowo traktowane jako ciekawostka, głęboko zmieniły nasze życie. Brakuje nam wyobraźni socjologicznej, przewidywania skutków społecznych wprowadzania nowych technologii. Sztuczna inteligencja może mieć znacznie silniejszy wpływ niż rozwinięte wcześniej technologie. Rozważania prof. Zybertowicza na ten temat są kontrowersyjne, ale warto je krytycznie przemyśleć.

Prof. Włodzisław Duch, UMK

Jeśli taka wycieczka po znajomym, wydawałoby się dobrze „ogarniętym” świecie swojej codzienności Was kusi, to zapraszamy do wspólnej wyprawy eksploracyjnej. Eksploracyjnej, bo wypuszczamy się na tereny częściowo nieznanne, można powiedzieć – dziewicze. Także w tym sensie, że dopiero na nowo tworzone. Wyłaniające się w procesie zadziwiającego, pokrętnego współdziałania technologii AI z ludzkimi kulturami, gospodarkami, pragnieniami, lękami, wizjami, interesami, z goryczą i nadzieją. I właśnie to, co już się dzieje, ale też to, co dopiero może się wydarzyć w szerokiej przestrzeni współoddziaływania ludzi i inteligentnych maszyn, jest tematem naszych rozmów. To teren naszej eksploracji.

Nie przegapmy kolejnej szansy

Do zrobienia tej książki skłoniło nas dostrzeżenie tego, jak unikatową szansę dla ludzkości na ponowne przemyślenie człowieczeństwa, ale i dla socjologicznej refleksji o życiu społecznym, stworzyło niedawne przyspieszenie rozwoju sztucznej inteligencji.

Ktoś pyta: na czym ta unikatowa szansa polega? Czyż w dziejach nie zdarzały się – ostatnio nawet zadziwiająco często – szybkie zmiany, ba, poważne wstrząsy, które powinny prowokować ludzkość do głębszego przemyślenia reguł ładu cywilizacyjnego, jaki wytworzyliśmy? W istocie prowokuje do tego każda większa zmiana społeczna – od rewolucji po zwykłe reformy społeczne.

Spójrzmy pod tym kątem na pandemię COVID-19. Ogłaszano, że to prawdziwy kataklizm. Ileż to razy słyszeliśmy wtedy, że jak z tego wyjdziemy, to życie społeczne już nie będzie przebiegało tak samo jak wcześniej. Że zorganizujemy je inaczej, lepiej. Ta ostatnia pandemia istotnie dawała możliwość niepowierzchowego wglądu w działanie systemów społecznych, wszak odsłaniała kolejne warstwy faktycznego funkcjonowania instytucji władzy. Ukazywała też, jak ważna jest rola państwa i jego granic.

A jednak nie możemy oprzeć się wrażeniu, że szansa na głęboką refleksję nad sposobami organizacji ładu społecznego, jaką pandemia dawała, została zaprzepaszczone. Geostrategiczne, kapitalistyczne i medialne gry interesów sprawiły, że sprawy wróciły na stare tory.

Czy podobna niechęć do przemyślenia ludzkiego losu tak na poważnie, głębiej, nie występuje w obliczu wojny na Ukrainie? Wygląda na to, że dominuje odruch business as usual. Czego to powinno nas nauczyć?

Dlaczego z nadejściem AI ma być inaczej? Zatem spójrzmy:

- tempo, a przynajmniej infozgiełk wokół nowych technologii – szybkie jak nigdy dotąd;
- wielkie przepływy inwestycyjne i oczekiwanie nadzwyczajnych zysków;

- nieoczekiwane interakcje tego, co techniczne, z tym, co ludzkie;
- wtargnięcie coraz bardziej sprytnych algorytmów we wszystkie niemal pola życia społecznego.

Innowacja goni innowację, a każda jakoś zmienia warunki życia. Musimy ciągle się adaptować, zamiast delektować się życiem w warunkach osiągniętego już dostatku.

Pora dostrzec, że niezależnie od licznych korzyści, technologie rewolucji cyfrowej powodują, że coraz częściej tracimy kompetencje – mniej musimy pamiętać, mniej kontrolować, mniej rozumieć. Czy naprawdę trzeba bezrefleksyjnie ulegać rozwiązaniom zachęcającym do ucieczki od odpowiedzialności?

Nawet dotychczasowi technooptymiści czują, że technologia jakoś za bardzo nam się panoszy, choć niestety podchodzą do tego tak, jakby obowiązkiem inteligentnego człowieka było „załapywanie” się na kolejne etapy technoewolucji, włącznie z możliwym skasowaniem człowieczeństwa takiego, jakie znamy.

Już teraz kwestie związane z cyberuzależnieniami mogą stanowić okazję do refleksji nad tym, jak AI jest w stanie wpłynąć na struktury społeczne. AI to nie tylko fenomenalny wynalazek, ale w perspektywie także samodzielny(?) gracz zdolny wcielać się w różne role. Słowem – nowy Obcy. A to zaledwie wycinek tego, co odsłania fenomen wtargnięcia technologii AI w wyobraźnię tak wielu z nas.

Mamy unikatową szansę na ponowne, choć w nowych warunkach, przemyślenie kwestii, nad którymi myśliciele pochylali się od starożytności: nad sensem życia, potrzebą bliskości, rolą instytucji. Dopóki nad nami AI całkiem nie zapanowała...

Nigdy wcześniej

Nasze rozmowy to nie jest eksploracja jedna z wielu. To eksploracja – tak myślimy – bezprecedensowa. Nigdy takich warunków nie mieliśmy. Bowiem przed erą rewolucji cyfrowej, a zwłaszcza ostatnich postępów na polu AI, nie było na naszej planecie małej, dość zwartej grupy ogromnie bogatych ludzi, którzy dysponowaliby narzędziami wpływu na masy ludzkie tak precyzyjnymi i zarazem potężnymi, jak obecnie media społecznościowe. Ludzi, którzy budując kolejne modele AI, mogą pewnego dnia znieenacka zaskoczyć i nas, i samych siebie.

Demon polaryzacji

Taka ponowna refleksja wcale nie musi się powieść, gdyż niestety demon polaryzacji i napędzane przezeń odruchy ekskluzji ukąsiły również debatę o AI. Także w USA. Wystarczy, że ktoś przyjmuje wyraźnie etyczne odmienne od innych badaczy podejście do tej tematyki, by głośno zarzucać mu patrzeć w głupią stronę.

Paradoks postępu/„postępu”

Gdy ludzkość uzyskała już techniczne możliwości rozwiązania podstawowych problemów, z którymi nasi przodkowie zmagali się przez tysiąclecia – głodu, skrajnych niesprawiedliwości i nierówności, wojen, wyczerpującej, niszczącej pracy oraz przynoszących wielkie cierpienia chorób – to... wcale nie zbliżamy się do poziomu powszechnego szczęścia i harmonii. Tak skonfigurowaliśmy cywilizacyjny rozwój albo pozwoliliśmy mu, by tak ustawił się sam, że przyniósł on rozpad więzi społecznych, nasilenie depresji, samotności i zwiększenie potencjału samozniszczenia, w efekcie spychając ludzką cywilizację na drogę ku degradacji.

Dlaczego tak właśnie się stało? To jedno z pytań, na które w naszej książce staramy się odpowiedzieć.

Eksplorujemy

Jako socjologowie, od lat prowadzący refleksję nad różnymi ścieżkami społecznego myślenia, jesteśmy świadomi, z jakimi pułapkami wiąże się zanurzenie w jakąś poszczególną perspektywę przy jednoczesnym odsunięciu innych na bok. Eksploruje się tereny nieznane, czasem niebezpieczne, ale też te, które zdają się swojskie, lecz przestają być takie, gdy spojrzymy na nie inaczej niż robimy to codziennie. Wtedy czasem ukazują swoje nieoczekiwane, ukryte za naszymi przyzwyczajeniami oblicze.

Naszym pragnieniem jest, by wokół spraw superważnych toczyła się w Polsce ożywiona, ciągła publiczna rozmowa, do której nasza książka dorzuci swoje trzy grosze. Rozmowa odsłaniająca dalsze warstwy tego, co dzięki AI się odsłania i wyłania. Rozmowa zarazem chroniąca przed zagubieniem wiele dobrych rzeczy z tego, co ludzkość już wcześniej wypracowała.

Pole naszej eksploracji okazało się tak rozległe, tak przy bliższym podejściu rozgałęziało się na liczne podproblemy, że niewiele wątków dało się zadowalająco zgłębić. By nam się zanadto nie rozproszyły, przyjęliśmy jako nadrzędną perspektywę bezpieczeństwa cywilizacyjnego.

Po kruchym lodzie

Jasne, że w odniesieniu do wielu spraw podjętych w niniejszej książce nie mówimy ostatniego słowa.

Próbując zarysować względnie szeroki obraz relacji tego, co społeczne, z tym, co AI-owe, musieliśmy podjąć wiele zagadnień wykraczających poza zwyczajowe socjologiczne kompetencje. Mimo naszych prób dość dokładnego zapoznawania się z interdyscyplinarną paletą opracowań naukowych oraz popularnych, jesteśmy świadomi, że na wielu polach poruszamy się w sposób amatorski. Jednak zarazem widzimy, że obecna sytuacja cywilizacyjna przerasta znacząco zdyscyplinowany metodologicznie styl prowadzenia badań w naukach społecznych, jaki uformował się przez ostatnie dziesięciolecia.

Zrezygnowaliśmy np. z typowego dla przyzwoitych rozpraw przeglądu literatury badawczej. Sprawy w domenie badań nad AI idą do przodu tak szybko, że zaraz po zrobieniu przeglądu badań bywa tak, że część z nich już jest nieaktualna. Tym niemniej w przypisach umieszczonych na końcu książki dajemy liczne odnośniki do koncepcji, z których korzystamy, oraz źródeł danych empirycznych, na które się powołujemy.

Szanujemy bardzo badaczy, którzy ku całości zbliżają się z mozołem, testując liczne warianty swoich drobiazgowych hipotez, ale problematyka relacji AI ze światem społecznym wymaga innego podejścia. W pewnym sensie niezbędne jest działanie hazardowe – postawienie całej puli na jedną diagnozę, którą w tym wypadku jest alarm z powodu zbyt rozpędzonego pociągu zmian.

O korzystaniu z AI przy pracy nad książką

Korzystaliśmy z niektórych chatów konwersacyjnych. Czasem, by szybko uzupełnić swoją wiedzę, czasem, by skonfrontować nasze ujęcie z tym, co oferują obecnie dostępne modele AI. Po to, by zobaczyć, jak działa ta nowa siła, której poświęcamy tyle uwagi. Także po to, by dać przedsmak takich sytuacji tym Czytelnikom, którzy sami dotąd z nowych modeli AI nie korzystali. W tekście podajemy, kiedy i z jakiego modelu korzystaliśmy.

Konflikt interesów

Deklarujemy brak powiązań finansowych lub organizacyjnych, które mogłyby wpływać na nasze podejście do spraw związanych z AI. Z jednym może wyjątkiem.

Autorzy czują się częścią gatunku ludzkiego, stoją po jego stronie, to zaś może wpływać na ich sposób podejścia do sztucznej inteligencji.

Podziękowania

Nie mogąc wymienić wszystkich osób, które pomogły nam w pracy nad tą książką, wyrazy wdzięczności ujmujemy w trzech punktach.

Gorąco dziękujemy dr. Janowi Waszewskiemu, który pod presją czasu przeczytał prawie całą książkę i przedstawił wiele bardzo cennych uwag.

Ciepłe słowa kierujemy do zespołu Ośrodka Studiów nad Wyzwaniami Cywilizacyjnymi Centrum Badań nad Bezpieczeństwem Akademii Sztuki Wojennej. Grupie osób, którą od roku 2016 aż do rozwiązania w kwietniu 2024 kierował A. Zybertowicz, jesteśmy wdzięczni za liczne pomysły. Na pewno wiele z nich znajdziecie przy lekturze niniejszej książki.

Andrzej Zybertowicz dziękuje serdecznie ministrowi Jackowi Siewierze, szefowi Biura Bezpieczeństwa Narodowego – dzięki jego docieklivości wiele spraw związanych z bezpieczeństwem mógł ująć lepiej. ●

finanse

Giełda & Waluty & Kredyty



fol. TSUE

Banki na razie zachowują spokój, ale gdyby sprawy potoczyły się nie po ich myśli, sytuacja stanie się poważna. TSUE wziął pod lupę WIBOR i tak naprawdę nie wiadomo, jaką decyzję podejmie. Jeżeli podważy wskaźnik, w polskim sektorze bankowym rozpęta się piekło

STANISŁAW KOCZOT

Międzynarodowa historia WIBOR-u zaczęła się stosunkowo niedawno, 3 lipca tego roku, kiedy do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu trafił wniosek częstochowskiego Sądu Okręgowego z czterema tzw. pytaniami prejudycjalnymi. Pismo dotyczy sprawy, w której został zakwestionowany wskaźnik WIBOR jako podstawa oprocentowania kredytu w złotych.

J.J. pozywa bank

Punktem wyjścia był konkretny pozew, który trafił do częstochowskiego sądu. Powód, w piśmie do TSUE figurujący pod inicjałami J.J., 18 czerwca 2019 r. złożył wniosek o udzielenie kredytu mieszkaniowego w wysokości 400 tys. zł. Umowa z bankiem PKO BP została zawarta 1 sierpnia 2019 r. Sąd pisze do TSUE (sygn. akt C-471/24), że „przed zawarciem umowy powód nie był informowany, w jaki sposób jest wyznaczany wskaźnik referencyjny WIBOR, jakie czynniki wpływają na jego wysokość ani też, iż informacje przekazywane przez pozwany bank mają wpływ na ustalanie tego wskaźnika”.

W piśmie do Trybunału Sprawiedliwości znalazł się jeszcze passus, w którym sąd twierdzi, że zjawisko podważania WIBOR-u ma coraz szerszy zasięg: „Konieczność zadania tych pytań jest również związana z narastającą w Polsce falą pozwów, w których są kwestionowane zapisy umowy dotyczące ustalania zmiennej oprocentowania w oparciu o stawkę WIBOR”.

O co pyta sąd

Dwa pierwsze pytania prejudycjalne odnoszą się wprost do ustalenia przez TSUE, czy możliwe jest, zgodnie z przepisami dyrektywy 93/13 w sprawie nieuczciwych warunków w umowach konsumenckich, badanie przez polski sąd w umowach kredytowych postanowień dotyczących zmiennego oprocentowania w oparciu o wskaźnik referencyjny WIBOR.

Sądowi chodzi o to, by TSUE rozstrzygnął, czy wskaźnik nie jest dla banków obligatoryjny, zatwierdzony przez państwo i organy unijne, posiadający zezwolenie Komisji Nadzoru Finansowego. Jeżeli tak jest, TSUE nie ma prawa go badać pod kątem abuzywności. Z drugiej jednak strony takie podejście odbierałoby kredytobiorcy możliwość kwestionowania wskaźnika, gdyby zawierał on rozwiązania ewidentnie dla niego szkodliwe. Poza tym – na co zwraca uwagę sąd – mamy do czynienia ze specyfiką polskiego rynku, na którym klient nie miał w zasadzie możliwości wyboru pomiędzy zmienną i stałą stopą oprocentowania (stałe oprocentowanie na większą skalę zostało wprowadzone stosunkowo niedawno).

Trzeci punkt dotyczy odpowiedzi na pytanie, czy sposób informowania kredytobiorców przez banki o ryzyku zmiennej stopy procentowej i sposobie ustalania WIBOR-u może stanowić podstawę do uznania postanowień umów kredytowych za nieuczciwe. Jednym słowem, czy język, w jakim bank opisywał mechanizm działania wskaźnika WIBOR, był dostatecznie zrozumiały dla przeciętnego klienta. Z drugiej jednak strony – o czym częstochowski sąd pisze w uzasadnieniu – WIBOR jest powszechnie dostępny, o zasadach jego wyliczania można przeczytać w wielu publikacjach, można także porównać go z wysokością stóp procentowych. Jaki jest zatem zakres obowiązku informacyjnego banku, skoro wiadomo, że jego wiedza o zasadach wyznaczania wskaźnika jest dużo większa niż klienta? Należy jednak pamiętać także o tym, że nawet gdyby bank popełnił jakiś błąd informacyjny, to i tak nie miałoby to większego znaczenia, gdyż w innych bankach WIBOR był taki sam.

W czwartym pytaniu chodzi o rozstrzygnięcie, czy w przypadku uznania za nieuczciwe postanowień umownych dotyczących WIBOR-u umowa kredytowa powinna nadal funkcjonować z oprocentowaniem opartym na stałej marży banku (zmieniłoby się wówczas oprocentowanie kredytu ze zmiennego na stałe), czy też powinno dojść do unieważnienia całej umowy.

Jednym słowem, gdyby TSUE uznało zasadność dwóch pierwszych pytań i okazałoby się, że sądy mogą badać wskaźnik WIBOR, a jego klauzule są niekorzystne dla klientów, to co wtedy? Czy umowę kredytową opartą na WIBOR-ze można odrzucić czy ją utrzymać? Według sądu utrzymanie umowy byłoby konieczne w sytuacji, gdyby klient tracił na jej odrzuceniu (musiałby na przykład oddać natychmiast cały kredyt, a bank zwracałby mu tylko kwoty wynikające ze spłaconych rat i opłaty związane z udzieleniem kredytu). Argument za unieważnieniem umowy sprowadza się do usunięcia z niej wskaźnika WIBOR i zastąpienia go stałym oprocentowaniem. W tym przypadku także pojawia się wątpliwość sądu, bo nie wiadomo, czy na takie rozwiązanie przystałby nie tylko bank, lecz i kredytobiorca, gdyż w niektórych okolicznościach opłacalność oprocentowania zmiennego jest wyższa niż stałego.

Początek burzy

Pojawienie się pytań prejudycjalnych nie jest niczym nadzwyczajnym w polskich realiach prawnych, choć akurat w tym przypadku wzbudziło pewne kontrowersje. Z jednej strony wywołały one reakcje wręcz entuzjastyczne (zrozumiałe w kręgach WIBOR-owiczów i w niektórych środowiskach prawniczych), ale z drugiej – pojawiły się głosy krytyki dotyczące formy, w jakiej zostały wyrażone. „Analizując treść tych pytań, można mieć jednak wrażenie, że zabrakło w nich

obiektywności niezbędnej dla pytań prejudycjalnych” – piszą Ewa Gajda Kozłowska i Inga Talik z EY w swojej analizie „WIBOR trafił do TSUE – czy sektor bankowy czeka kolejna fala pozwów dotyczących kredytów hipotecznych?”. „W szczególności w przypadku pytania trzeciego wyczuwa się subiektywne nastawienie sądu do wskaźnika WIBOR, o czym świadczą takie sformułowania jak »nietransparentny« czy »powodujący nierówny rozkład ryzyka między klientem a bankiem«. W naszej ocenie taka praktyka redagowania pytań prejudycjalnych nie powinna mieć miejsca”.

Ale to tylko jedna z opinii, bo nie brakuje także głosów, że pytania w sprawie WIBOR-u i tak by się pojawiły, wcześniej czy później, ponieważ dla polskich sądów temat wskaźnika staje się coraz bardziej palący. Część prawników chwali decyzje częstochowskiego sądu, a pytania uważa za trafne. Co więcej, są i takie opinie, że wątpliwości dotyczących WIBOR-u jest więcej, a pismo z Częstochowy to dopiero początek, gdyż temat stawki referencyjnej będzie wracał do TSUE nie raz.

Niezależnie od tych wątpliwości pismo z Polski zostało wysłane, a Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zajmie się postawionymi w nim pytaniami. Sądowe sprawy WIBOR-u do tej pory ledwo się tliły, nie wzbudzając większych emocji, jednak wysłanie listu do Luksemburga przydało im legistycznego żaru. Czy z tej skromnej zawieruchy rozpęta się potężny pożar? Banki, które jeszcze rok temu nie traktowały tego tematu poważnie, teraz nie są już tego tak pewne.

Stopy rosną, WIBOR też

Spraw dotyczących WIBOR-u w sądach jest rzeczywiście niewiele – około 1,1 tys., co w porównaniu z frankowym tsunami (około 150 tys.) wygląda dosyć skromnie. Jednak tempo, w jakim pojawiały się pozwy, jest spore, ponieważ w listopadzie 2023 było ich zaledwie 550.

Pierwsze pozwy dotyczące unieważnienia umowy kredytowej lub wyeliminowania z niej wskaźnika WIBOR trafiły do sądów w 2022 r. Zbiegło się to w czasie z podwyżkami stóp procentowych przez RPP, które systematycznie rosły od maja 2020 r. z poziomu 0,10 proc. do 6,75 proc. we wrześniu 2022 r. (obecnie stopa główna

to 5,75 proc.). Dopóki stopy były niskie albo wręcz spadały (tak było od maja 2012 r., kiedy obniżały się z poziomu 4,75 proc.), ich oddziaływanie na wskaźnik referencyjny WIBOR był znikomy. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy – z powodu sytuacji makroekonomicznej – stopy zaczęły iść w górę, a ich wpływ na WIBOR, i tym samym na wysokość rat kredytowych, stał się dla kredytobiorców mocno odczuwalny. Jeszcze jesienią 2021 r. przeciętna rata kredytu na kwotę 300 tys. zł zaciągniętego na 30 lat wynosiła około 1,2 tys. zł, a jesienią 2022 r. było to około 2,3 tys. zł miesięcznie.

Franki razy cztery

Wyroki w polskich sądach są dla banków na razie korzystne, jednak rynek doskonale pamięta, że przed przełomowym rozstrzygnięciem pytań prejudycjalnych dotyczących kredytu frankowego Justyny i Kamila Dziubaków przez TSUE 3 października 2019 r. też było podobnie. Decyzja TSUE sprzed pięciu lat przeważała szalę na korzyść frankowiczów w sporach z bankami.

Gdyby tak się stało również w przypadku podważenia WIBOR-u, banki miałyby o wiele większy problem. W Polsce aktywnych jest około 2,3 mln umów o kredyt hipoteczny, z czego 1,5–2 mln opartych jest o WIBOR (pozostałe to kredyty w walutach obcych lub o stałej stopie procentowej). Wartość ewentualnych roszczeń wobec banków dotyczących wskaźnika szacuje się nawet na 420 mld zł. Jeżeli rozwiązanie problemów kredytów frankowych kosztowało banki około 100 mld zł, to w przypadku WIBOR-u skala może być nawet cztery razy większa. Szymon Midera, prezes PKO BP, przyznał na konferencji prasowej poświęconej prezentacji wyników banku, że jest ona „porażająca”. „To setki miliardów złotych. Na razie patrzymy na to bardzo spokojnie” – powiedział.

Według raportu firmy audytorskiej Grant Thornton, która przeanalizowała sprawozdania finansowe na 31 grudnia 2023 r. pięciu największych banków w Polsce, udział wartości bilansowej brutto kredytów hipotecznych wynosi między 18 a 50 proc. całego portfela kredytowego. „Zdecydowanie przoduje w tych statystykach Pekao SA (50 proc.), a następnie Millennium Bank (43 proc.) oraz PKO BP (40 proc.). Należy również zauważyć, że zdecydowana większość portfela hipotecznego jest oparta o zmienną stopę procentową”. Grant Thornton szacuje, że dla całego sektora bankowego udział ten wynosi około 95 proc. „Sytuacja ta jednak się zmienia od 2023 roku, w którym banki zdecydowały się na zmianę strategii biznesowej (wynikało to również z komunikatów i stanowisk KNF) i zaczęły udzielać kredytów ze stałą stopą procentową. Wynikało to z potrzeby zarządzania ryzykiem stopy procentowej. W związku z powyższym można przypuszczać, że udział kredytów hipotecznych ze zmiennym oprocentowaniem będzie się stopniowo zmniejszał”. I jeszcze jedna konkluzja ra-

”

Pierwsze pozwy dotyczące unieważnienia umowy kredytowej lub też wyeliminowania z niej wskaźnika WIBOR trafiły do sądów w 2022 r.

portu, o której warto pamiętać: „Na tę chwilę banki nie zawiązują rezerw na toczące się sprawy sądowe związane ze wskaźnikiem WIBOR w umowach kredytowych. Uważają, że roszczenia są niezasadne, w związku z czym ryzyko jest oceniane jako niskie”.

Banki rzeczywiście nie muszą tworzyć rezerw tak długo, jak dotychczasowa linia orzecznictwa będzie się utrzymywała. Grant Thornton nie jest do końca przekonany, czy rzeczywiście tak będzie, ponieważ stanowisko TSUE to na razie wielka niewiadoma.

Konsekwencje trudne do oszacowania

Co może się wydarzyć, jeżeli TSUE weźmie stronę konsumentów? Wtedy w grę wchodziłby nawet tzw. darmowy kredyt albo przynajmniej możliwość wyeliminowania z umowy oprocentowania opartego na WIBOR-ze. Powołanie się na sankcje kredytu darmowego jest możliwe, jeżeli umowa kredytowa zawiera naruszenia Ustawy o kredycie konsumenckim, a jedno z pytań prejudycjalnych dotyczy de facto tej kwestii.

Precyzyjne wyliczenie ewentualnych strat sektora przeprowadził portal Interia. Wynika z nich, że banki musiałyby się liczyć nie tylko z mniejszymi przychodami z tytułu odsetek w przyszłości, lecz byłyby także zobowiązane do zwrócenia kredytobiorcom części zapłaconych już rat w przeszłości. Przy założeniu, że kredytobiorca zaciąga w banku zobowiązanie na 435 tys. zł w postaci kredytu hipotecznego (teraz ta kwota jest nieco wyższa, bo według BIK we wrześniu średnia wzrosła do rekordowego poziomu 444,74 tys., ale pozostanmy przy założeniach Interii, żeby nie zaburzyć konkluzji symulacji), ma wkład własny, nie potrzebuje więc ubezpieczenia, przy aktualnej stawce WIBOR 5,85 proc. i marży banku wynoszącej ok. 2,4 proc., będzie musiał oddać bankowi w ciągu 25 lat kapitał kredytu plus 545 tys. zł z tytułu jego oprocentowania. Oprocentowanie wynikające ze stopy WIBOR stanowi ok. 70 proc. całego kosztu kredytu, czyli ponad 380 tys. zł. Gdyby z podpisywanej umowy wyrzucić WIBOR, bank zarobiłby o tyle mniej (strata banku byłaby oczywiście zyskiem kredytobiorcy). Co więcej, bank musiałby także zwrócić kredytobiorcom kwoty już spłaconych rat, wynikające z oprocentowania kapitału stawką WIBOR. Trzeba przy tym pamiętać, że stawka referencyjna WIBOR oparta jest o stopę zmienną, która przez dłuższy okres była minimalna i oscylowała w okolicach zera, więc straty banków w tym okresie byłyby zdecydowanie niższe.

To tylko kredyty hipoteczne, a co z kredytami konsumpcyjnymi, jeżeli w sporze o WIBOR dołączą do hipotek? A co z sektorem przedsiębiorstw? W czarnym scenariuszu, jeżeli TSUE podważy wskaźnik, nie można wykluczyć bankructwa nawet dużych banków. Tadeusz Białek, prezes Związku Banków Polskich, mówił w jednym z wywiadów o ryzyku dla całej gospodarki, finansowanej przecież w oparciu o WIBOR.

Pospolite ruszenie

Nic więc dziwnego, że w obronie WIBOR-u stanęły praktycznie wszystkie instytucje odpowiedzialne za finanse państwa. Nawet UOKiK, który w sporze frankowiczów z bankami bardziej stał po stronie tych pierwszych, teraz wsparł tych drugich. Także polskie sądy w wydawanych wyrokach – jak do tej pory – opowiadały się za tym, by nie podważać WIBOR-u, i oddalały powództwa przeciw bankom. Argumentacja wymiaru sprawiedliwości sprowadzała się m.in. do stwierdzenia, że banki prawidłowo informowały kredytobiorców o skutkach zawarcia umowy ze zmiennym oprocentowaniem, kredytobiorcy byli świadomi tego ryzyka, umowy były przejrzyste, a stawka WIBOR była ustalana na podstawie obiektywnych czynników przez podmiot zewnętrzny nadzorowany przez KNF, jest więc niezależna od banków. Podmiotem obliczającym stawki jest GPW Benchmark.

Podobna argumentacja przytaczana jest przez instytucje państwowe i organy nadzorcze. Komitet Stabilności Finansowej, który tworzą KNF, Ministerstwo Finansów, Bankowy Fundusz Gwarancyjny i Narodowy Bank Polski, wydał we wrześniu już trzeci komunikat w tej sprawie, w którym podtrzymał swoją ocenę „w kwestii braku podstaw prawnych do badania postanowień umowy kredytu dotyczących zmiennego oprocentowania opartego na wskaźniku referencyjnym WIBOR”. KSF podkreślił, „że próby podważania wiarygodności wskaźnika WIBOR mogą prowadzić do materializacji ryzyka systemowego. Wskaźnik ten jest stosowany w znacznej części kredytów dla gospodarstw domowych i przedsiębiorstw, a także w wielu innych produktach finansowych, w niektórych obligacjach skarbowych i znakomitej większości obligacji nieskarbowych, wreszcie również na rynku instrumentów pochodnych OTC stopy procentowej, które są wykorzystywane na bardzo dużą skalę zarówno przez podmioty krajowe, jak i zagraniczne. Zakwestionowanie możliwości stosowania wskaźnika referencyjnego WIBOR prowadziłoby nie tylko do powstania ogromnych strat finansowych, mogących zagrazić stabilnemu funkcjonowaniu poszczególnych instytucji finansowych, lecz również podważyłoby fundamenty funkcjonowania całego polskiego systemu finansowego i stawiało pod znakiem zapytania zasady jego funkcjonowania w przyszłości”.

Poważnym argumentem za niepodważaniem WIBOR-u – podnoszonym przez wszystkie polskie strony sporu, także przez KSF – są poważne konsekwencje międzynarodowe, gdyż zasady tworzenia wskaźników referencyjnych w innych państwach członkowskich UE, zarówno typu -IBOR, jak i risk-free, a także ich stosowania w umowach finansowych, są regulowane rozporządzeniem BMR Parlamentu Europejskiego i Rady UE z 8 czerwca 2016. Opisuje ono zasady opracowywania wskaźników referencyjnych. W dokumencie przedstawione zostały również reguły nadzoru nad instytucjami,

które opracowują i udostępniają te wskaźniki uczestnikom rynku finansowego. Rozporządzenie weszło w życie 1 stycznia 2018 r. Banki w Polsce muszą się do niego stosować.

Jaki wpływ miałyby zakwestionowanie wskaźnika WIBOR na stabilność finansową w całej Unii Europejskiej? – Mówimy o wskaźniku referencyjnym, który jest jednym z pięciu tzw. kluczowych wskaźników referencyjnych, objętych treścią rozporządzenia BMR. Są one po prostu wpisane w nazwy do załącznika BMR, czyli są częścią prawa unijnego – powiedział „Gazecie Bankowej” Tadeusz Białek, prezes Związku Banków Polskich. – WIBOR to jeden z pięciu wskaźników, obok takiego jak EURIBOR, który jest podstawowym wskaźnikiem referencyjnym całej strefy euro. W związku z tym potencjalnie negatywne rozstrzygnięcia dotyczące wskaźnika WIBOR impaktowałyby bezpośrednio również pozostałe wskaźniki. Wszystkie te kluczowe wskaźniki referencyjne są tego samego typu, czyli IBOR. Efekt zarażania jednego wskaźnika na pozostałe miałby ewidentnie charakter ogólnoeuropejski. Liczymy na to, że Komisja Europejska, przedkładając swoje stanowisko, będzie miała na względzie także ten wymiar ogólnoeuropejski. Problem nie ma charakteru lokalnego, ma on charakter paneuropejski – tłumaczy Tadeusz Białek.

Kiedy finał?

Sprawy kierowane do TSUE ciągną się długo, a gdy materia jest skomplikowana, wymagająca wysłuchania wielu stron, procedura może trwać nawet dwa-trzy lata. Czy tak będzie również w przypadku pytań prejudycjalnych?

Stanowiska dotyczące pytań przesyłają do TSUE państwa członkowskie, strony i Komisja Europejska. Te podmioty są formalnie do tego uprawnione. Termin dla polskiego rządu to 26 października. – Do końca października wszystkie stanowiska powinny formalnie zostać złożone. W tej chwili nie znamy dalszego harmonogramu, m.in. nie wiemy tego, czy w sprawie będzie wyznaczony tzw. Rzecznik Generalny, który przedstawia swoją opinię. Biorąc pod uwagę wagę tej sprawy, pewnie tak się stanie, ale tego jeszcze nie wiemy – wyjaśnia „Gazecie Bankowej” Tadeusz Białek. – Czy odbędzie się formalnie rozprawa przewidująca wysłuchanie stron? Też jeszcze nie ma takiej decyzji, ale należy się spodziewać, że Trybunał wyznaczy posiedzenie w formule rozprawy.

Kiedy będziemy mogli się tego dowiedzieć? – Dopiero, kiedy Trybunał odbierze wszystkie stanowiska, przeanalizuje, uzna w swoim gronie, podejmie decyzję o potrzebie powołania Rzecznika Generalnego i wysłuchaniu w postaci rozprawy oraz posiedzenia – mówi Tadeusz Białek. – Jest to perspektywa najbliższych kilku miesięcy, kiedy poznamy te decyzje. Na pewno rozstrzygnięcia nie należy się spodziewać wcześniej niż w połowie przyszłego roku.

”

W zasadzie banki mają mocne argumenty na swoją korzyść, ale kto wie... Czy prokonsumencki TSUE przyzna im rację?

To nie to samo

Podważyć WIBOR będzie znacznie trudniej niż kredyty frankowe. Przy pewnych podobieństwach – które rozbudziły nadzieje u części kredytobiorców i znacznej grupy prokonsumenckich prawników – różnice są jednak znaczne, i to na korzyść banków. Przede wszystkim nie mamy do czynienia z taką dowolnością, jaka była możliwa w przypadku kredytów frankowych. WIBOR jest wskaźnikiem zatwierdzonym przez państwo, wpisanym do unijnego rozporządzeniem BMR. Manipulowanie nim jest albo bardzo trudne, albo wręcz niemożliwe. Wskaźnik porusza się zgodnie z poziomem stóp procentowych ustalanych przez RPP, a niewielkie odchylenia są efektem przyjętych dla niego założeń, a nie decyzji poszczególnych banków.

O ile w przypadku kredytów frankowych argument o niedostatecznym informowaniu klientów w sprawie zmienności stóp procentowych znajdował uzasadnienie w praktyce części banków, o tyle w przypadku WIBOR-u trudno będzie coś takiego ustalić. Wskaźnik jest publikowany codziennie na ogólnodostępnych portalach, wystarczy więc sięgnąć kilka lat wstecz, by się przekonać, że o ile teraz WIBOR 3M wynosi 5,85 proc., to w październiku 2022 r. sięgnął 7,51 proc., a przez ponad rok – od maja 2020 do września 2021 – oscylował wokół 0,28 – 0,23 proc.

Wskaźniki WIBOR określają średnie stopy procentowe w stosunku rocznym, według których banki komercyjne są gotowe udzielić pożyczki innym bankom w polskich złotych na 1, 3, 6 miesięcy czy na jeden rok. W przypadku franków takim teoretycznie stałym punktem odniesienia były tabele kursowe naśladowujące kursy walut NBP, ale niektóre banki arbitralnie zwiększały spready.

Teoretycznie widać więc pewne podobieństwa między kredytami frankowymi a WIBOR-em, jednak więcej jest różnic. Nie zmienia to jednak faktu, że TSUE wziął pod lupę wnioszek sądu z Częstochowy i na pewno uważnie go prześwietli. W zasadzie banki mają mocne argumenty na swoją korzyść, ale kto wie... Czy prokonsumencki TSUE przyzna im rację? Jeżeli tak, z WIBOR-owego balona szybko uleci powietrze i sprawa się skończy, zanim na dobre się zaczęła. A jeżeli nie... ●


PROF. MAŁGORZATA ZALESKA

 Dyrektor Instytutu Bankowości SGH
 Członek korespondent PAN

Przewagi i wyzwania z perspektywy polskiego sektora bankowego

Od czasu do czasu warto się na chwilę zatrzymać, aby nie stracić właściwej percepcji otoczenia. Tak jest również w odniesieniu do polskiego sektora bankowego, który od lat jest rentowny, przy czym różnie oceniany, głównie przez właścicieli/zarządzających oraz klientów banków. Co do zasady właściciele/zarządzający oczekują jeszcze większych zysków, a klienci coraz tańszych produktów i usług bankowych, łatwiej i szybciej dostępnych oraz wszechobecnej ochrony przed ryzykiem. Taka perspektywa jest jednak uproszczona, istnieją bowiem jeszcze inni interesariusze (np. państwo) i różne uwarunkowania funkcjonowania banków (np. regulacyjne).

Polski sektor bankowy charakteryzuje się silną siecią bezpieczeństwa finansowego i własną walutą, a zatem bardzo ważną niezależnością w kształtowaniu polityki pieniężnej, w tym w zakresie wysokości stóp procentowych wpływających na cenę produktów i usług bankowych oraz wyniki finansowe banków. Swego czasu byliśmy zaś bardzo blisko przyjęcia euro w Polsce, jednak związany z tym entuzjazm – jak wskazują ostatnie badania przeprowadzone wśród rodaków – wyraźnie osłabł.

Polski sektor bankowy wciąż zalicza się do sektorów małych, a niska skala działalności oznacza ograniczone możliwości finansowania dużych inwestycji, w tym infrastrukturalnych oraz zbrojeniowych. Wielkość finansowania udzielanego przez banki determinowana jest bowiem regulacjami ostrożnościowymi, odnoszącymi wysokość kredytowania (podejmowanego ryzyka) do posiadanej bazy kapitałowej (funduszy własnych). Z drugiej strony, im mniejsze banki funkcjonują w danym sektorze bankowym, tym niższe jest ryzyko systemowe – łatwiej bowiem zarządzić sytuacją kryzysową, jeśli jakiś pojedynczy bank popadnie w problemy finansowe.

Banki działające w Polsce posiadają imponującą bazę depozytową, ale nie idzie za tym niestety satysfakcjonujący rozwój akcji kredytowej (zwłaszcza w zakresie kredytów inwestycyjnych dla przedsiębiorstw). Polski sektor bankowy jest więc nadpłynny, a skala tej nadpłynności wciąż rośnie.

Banki lokują swoje wolne środki finansowe przede wszystkim w dłużne (skarbowe) papiery wartościowe.

Wynika to m.in. z konstrukcji podatku bankowego (papiery te są wyłączone z podstawy opodatkowania tym podatkiem), a ponadto z regulacji ostrożnościowych, które przypisują papierom rządowym wyrażonym w walucie kraju macierzystego – niesłusznie systemowo – zerową wagę ryzyka. Tym samym banki są zachęcane do nabywania rządowych papierów wartościowych i zniechęcane do udzielania kredytów. Tymczasem zwiększenie udziału kredytów dobrze obsługiwanych w portfelach aktywów przyczyniłoby się z pewnością do poprawy rentowności banków.

Ponadto z uwagi na dominującą zmienną stopę procentową przypisaną produktom bankowym w Polsce (depozytom i kredytom) wynik finansowy banków jest silnie uzależniony od wyniku odsetkowego. Wysokość stóp procentowych (ich zmiana) wpływa także na koszt kredytów dla klientów, a mimo to nie udaje się ich przekonać do kredytów opiewających na stałą stopę procentową, zwłaszcza w odniesieniu do kredytów hipotecznych/mieszkaniowych.

Banki działające w Polsce zaliczane są do wysoko innowacyjnych. Wdrażanie nowoczesnych rozwiązań jest jednak kosztochłonne. Zarówno wydatki na IT, jak i bezpieczeństwo (w tym cyberbezpieczeństwo) ponoszą banki, które oczywiście próbują przerzucić te koszty, choćby w części, na klientów. Klienci banków powinni zatem pamiętać, że płacą również za rozwój innowacyjności i bezpieczeństwo sektora bankowego.

Mamy jeszcze wyzwania „lokalne” w postaci kredytów frankowych oraz stawki referencyjnej (WIBOR), a także moral hazard ze strony klientów. Powoduje to, zwłaszcza pierwsze, konieczność dokonywania odpisów, które obniżają wyniki finansowe banków. Powyższe sprawia ponadto, że niepewność i ryzyko prawne oraz reputacji są wyjątkowo wysokie w polskim sektorze bankowym.

Stabilność funkcjonowania oraz zyski zatrzymywane w bankach i przeznaczane na wzrost ich funduszy własnych są tymczasem konieczne, aby polski sektor bankowy włączył się efektywnie w finansowanie dużych inwestycji. Prywatny kapitał krajowy, którego niestety brakuje, jest też potrzebny do utrzymania zdecydowanej części sektora bankowego w polskich rękach. ●

„Ministerstwo Finansów pracuje nad zmianami w konstrukcji podatku bankowego. Potrzebne są takie zmiany w tym systemie, które sprawią, że – nie ograniczając dochodów budżetu – bankom będzie się opłacało mocniej finansować wzrost gospodarczy w Polsce. Trwają prace nad możliwymi kierunkami zmian w podatku [bankowym], ale – podkreślę – tylko takimi, które nie będą ograniczały dochodów budżetu”

powiedział **Andrzej Domański**, minister finansów, w wywiadzie radiowym 3 października

GPW powołała Radę Emitentów

Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie powołała Radę Emitentów przy prezesie GPW, która ma stanowić platformę dialogu między emitentami, inwestorami oraz regulatorami, której celem będzie zwiększenie efektywności rynku oraz promowanie długoterminowych strategii rozwoju polskich spółek notowanych na GPW. Radę Emitentów tworzą:

- Sebastian Buczek – prezes zarządu Quercus TFI SA
- Dawid Cycoń – prezes zarządu ML System SA
- Maria Florczuk – prezes zarządu Fabryk Mebli Forte SA
- Przemysław Gacek – prezes zarządu Grupy Pracuj SA
- Adam Góral – prezes zarządu Asseco Poland SA – przewodniczący Rady Emitentów
- Zbigniew Juroszek – prezes zarządu Atal SA
- Krzysztof Kostowski – prezes zarządu PlayWay SA
- Piotr Krupa – prezes zarządu Kruk SA
- Mariusz Książek – prezes zarządu Marvipol Development SA
- Paweł Przewięźlikowski – prezes zarządu Ryvu Therapeutics SA
- Maciej Wieczorek – prezes zarządu Celon Pharma SA
- Jędrzej Wittchen – prezes zarządu Wittchen SA
- Monika Żyznowska – prezes zarządu Mercator Medical SA

„Rada Emitentów to nowo powołana grupa ekspertów, pełniąca rolę doradczą przy prezesie warszawskiej GPW. [...] Członkowie Rady staną się ambasadorami pozytywnych zmian, wspierając rozwój i stabilność rynku w Polsce” – informuje GPW.

55,65 proc.

wzrósł w skali roku zys netto sektora bankowego w okresie styczeń–sierpień 2024 r. i wyniósł 28,83 mld zł. Przychody odsetkowe w okresie ośmiu miesięcy br. wynosiły 113,41 mld zł (wzrost o 2,8 proc. r/r), a przychody z tytułu opłat i prowizji w tym okresie wzrosły o 4,1 proc. r/r – do 17,42 mld zł.

Źródło: Narodowy Bank Polski

Nagroda Nobla za wyjaśnienie, jak państwa i ich instytucje budują dobrobyt

Daron Acemoğlu, Simon Johnson i James A. Robinson zostali laureatami Nagrody Nobla 2024 w dziedzinie nauk ekonomicznych za badania na temat instytucji i ich wpływu na dobrobyt. Trzech ekonomistów pozwoliło nam zrozumieć różnice w dobrobycie na świecie poprzez badania nad instytucjami publicznymi poszczególnych państw. Badania tegorocznych laureatów dowiodły, że społeczeństwa z niesprawnymi rządami prawa i instytucjami nie generują wzrostu gospodarczego ani nie dają szansy na zmianę ku lepszemu – wyjaśniła Królewska Szwedzka Akademia Nauk w uzasadnieniu decyzji o nagrodzie dla trzech naukowców.

Piotr Kubaty wiceprezesem BOŚ

Rada Nadzorcza Banku Ochrony Środowiska powołała 26 września Piotra Kubatego na stanowisko wiceprezesa – pierwszego zastępcę prezesa zarządu pod warunkiem wyrażenia zgody przez Komisję Nadzoru Finansowego (KNF) oraz z dniem wydania tej zgody.

Piotr Kubaty jest menedżerem ryzyka z niemal 20-letnim stażem w sektorze finansowym, specjalizującym się w zarządzaniu ryzykiem, modelach ryzyka oraz regulacjach nadzorczych. W swojej karierze zajmował kluczowe stanowiska zarządcze w bankach, instytucjach finansowych oraz sektorze zarządzania wierzytelnościami.

Banki czołowymi płatnikami CIT

Bank Pekao SA i Santander Bank Polska były największymi płatnikami podatku dochodowego od osób prawnych (CIT) za 2023 r. – wynika z zestawienia Ministerstwa Finansów opublikowanego 1 października. Na czwartym miejscu tego zestawienia znalazł się ING Bank Śląski. Największą podatkową grupą kapitałową był PKO Bank Polski.

23,2 mln

wynosiła w II kwartale br. liczba aktywnych klientów bankowości internetowej w polskich bankach. Liczba klientów indywidualnych posiadających dostęp do e-bankowości wyniosła 43,5 mln. Liczba klientów MŚP posiadających dostęp do bankowości internetowej na koniec II kwartału wyniosła 3,59 mln, spośród tych klientów aktywnie korzysta z e-bankowości 2,52 mln.

Źródło: Związek Banków Polskich

Prace nad zastąpieniem WIBOR wydłużone

Komitet Sterujący Narodowej Grupy Roboczej ds. reformy wskaźników referencyjnych (NGR) uruchomił dodatkową rundę konsultacji publicznych w ramach przeglądu i weryfikacji wskaźników alternatywnych dla WIBOR – podała Komisja Nadzoru Finansowego. Komitet Sterujący NGR zdecydował się ująć w dodatkowej rundzie konsultacji publicznych cztery indeksy i propozycje indeksów z rodziny indeksów WIRF. W dalszym toku konsultacji nie będą uwzględnione wskaźniki WIRON, WIRON+ ani WRR. Nowy wskaźnik referencyjny ma zastąpić WIBOR w 2027 roku.

Allegro wypuszcza własną kartę płatniczą

Allegro, we współpracy z Visa, rozszerzy swoje portfolio o kartę płatniczą. Od października usługa będzie dostępna dla wybranych użytkowników Allegro Pay, a później udostępniana kolejnym klientom. Nowa karta będzie działać w oparciu o usługę Allegro Pay, która oferuje bezpieczne finansowanie zakupów metodą „kup teraz, zapłać później” (BNPL). Dzięki nowemu rozwiązaniu użytkownicy Allegro Pay będą mogli korzystać z usługi także poza platformą Allegro w ramach tego samego limitu, jaki mają w Allegro Pay, będą mogli nią płacić za zakupy zarówno w sklepach internetowych, jak i stacjonarnych.

51,7 proc.

wyniósł udział sektora bankowego w krajowym rynku skarbowych papierów wartościowych na koniec czerwca br. W ujęciu nominalnym zaangażowanie wzrosło o 121 mld zł od końca 2022 r. – podało Ministerstwo Finansów w „Strategii zarządzania długiem sektora finansów publicznych w latach 2025–2028”.

KNF interweniuje na rynku internetowych usług finansowych

Komisja Nadzoru Finansowego poinformowała 2 października o cofnięciu zezwolenia na świadczenie usług płatniczych spółce Conotoxia działającej przez agentów internetowego kantoru walut Cinkciarz.pl. KNF zawiadomiła także prokuraturę, która wszczęła śledztwo w sprawie.

KNF informowała wcześniej, że prowadzi czynności po skargach klientów dotyczących realizacji usług wymiany walut przez kantor Cinkciarz.pl. Także UOKiK przekazał, że otrzymał 13 skarg klientów dotyczących firmy. KNF wyjaśniła, że na podstawie przeprowadzonego postępowania administracyjnego i ustaleń nadzorczych uznano, że Conotoxia „nie zapewnia ostrożnego i stabilnego zarządzania działalnością w zakresie usług płatniczych”. „[...] Tym samym zachodzi przesłanka cofnięcia Spółce zezwolenia na świadczenie usług płatniczych w charakterze krajowej instytucji płatniczej”.

Cinkciarz.pl w reakcji na decyzję KNF poinformował, że podejmuje wszelkie kroki prawne, by jak najszybciej uchylić decyzję Komisji o wycofaniu zezwolenia na świadczenie usług płatniczych przez powiązaną z nim spółkę Conotoxia.

BLIK wchodzi na rynek Rumunii

Spółka BLIK Romania uzyskała autoryzację Banku Narodowego Rumunii na prowadzenie działalności operacyjnej w tym kraju. Decyzja ta umożliwi rozwój systemu płatności BLIK w lokalnej walucie oraz nawiązanie współpracy z rumuńskimi dostawcami usług płatniczych. W ramach strategii biznesowej spółki BLIK Romania planowane jest stopniowe wprowadzenie płatności kodem BLIK we wszystkich kanałach sprzedaży. W pierwszej kolejności jego operator planuje skoncentrować się na rozwoju płatności w kanale e-commerce. Spółka BLIK Romania została zgłoszona do Rejestru Handlowego w Rumunii na początku grudnia 2022 r., a oficjalny start jej działalności ogłoszono w marcu 2023 r.

Źródło: Polski Standard Płatności

MAŁGORZATA DYGAS

Królowie bakalii i paczkomatów

Trzej studenci z SGH spełnili swój „amerykański sen o potęgze”. W 1991 r. utworzyli firmę Uno Tradex, z której wywodził się Bakalland. Od 2022 r. to prężna grupa kapitałowa, którą zarządzają giganci biznesowi – Marian Owerko i Rafał Brzóska

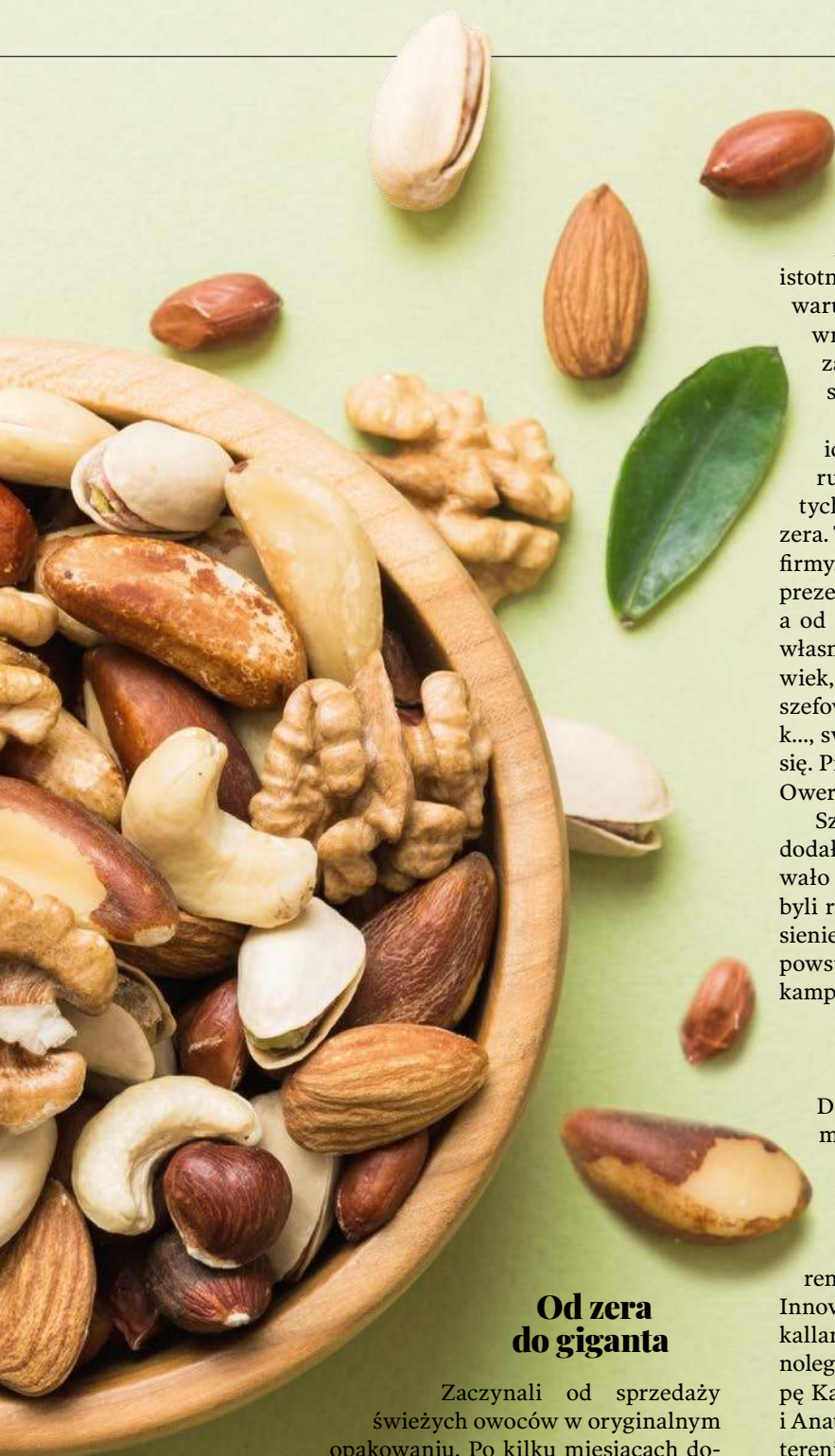
W młodości największymi pasjami Mariana Owerko były książki biograficzne i sport, czyli rywalizacja i marzenie o własnym biznesie. Finansowe zaplecze do przyszłego biznesu zdobywał od 1986 roku. Mając 16 lat, podczas wakacji jeździł z kolegami na wyprawy handlowe szlakiem: Warszawa-Praga-Budapeszt-Bukareszt-Sofia. Jak wspomina: „Przez tydzień sprzedawaliśmy i kupowaliśmy. Zarabiałem wtedy 150 USD. Było to kilkanaście średnich krajowych pensji. Do założenia własnego biznesu zmotywował mnie przyziemny powód – chciałem po prostu dorobić, aby móc się utrzymać na studiach w Warszawie. Dodatkową inspiracją było dla mnie hasło prezydenta Lecha Wałęsy: Weźcie sprawy w swoje ręce. No więc wziąłem”.

W Lunie przed seansem

W kinie Luna przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie, którego już nie ma, Marian Owerko zaczął sprzedaż drobnych przekąsek. Ale nie były to jego ambicje. W 1991 r. on i dwaj jego przyjaciele, jeszcze studenci SGH, Artur Ungier i Jarosław Nikołajuk, postanowili założyć firmę Uno Tradex, z której wywodzi się Bakalland. W wywiadach Marian Owerko wielokrotnie podkreślał, że w biznesie, tak jak w sporcie, najważniejsze jest określenie celu. On go miał. Studiował handel zagraniczny, więc miał wiedzę o marketingu, dystrybucji... Jego mentorem był ojciec, przedsiębiorca, oraz Howard Schultz, założyciel Starbucksa. Jak wspomina Marian Owerko: „Młodzi, tacy jak my, byli skazani na rozwój biznesu w Polsce. Niektó-

rzy tworzyli firmy dla wielkich międzynarodowych koncernów. Inni, jak my, zakładali działalność gospodarczą. Początki były trudne, ale pełne entuzjazmu i determinacji. Rozpoczynaliśmy w 30-metrowej kawalerce kolegi i wspólnika. Do dzisiaj pamiętam adres: ul. Hynka 26”.

fot. Shutterstock



Od zera do giganta

Zaczynali od sprzedaży świeżych owoców w oryginalnym opakowaniu. Po kilku miesiącach dodali do oferty także bakalie. Takie było zapotrzebowanie prowadzących sklepy. Już dwa lata później, w 1993 r., dostarczali pierwsze towary do sieci Globi i Społem – sprzedaż koncentrowała się na dystrybucji bakalii marki Uno.

„Nie były to łatwe początki. Każdy dzień wyglądał podobnie. W nocy i nad ranem praca, a w dzień zajęcia na uczelni” – taka była rzeczywistość Mariana Owerko.

Następny etap rozwoju firmy to przeprowadzka do fabryki przy ul. Burakowskiej. Zakład mieścił się w trzech nieużywanych wagonach kolejowych. Po dwóch latach

zatrudniali już pracowników. W jednym z prasowych wywiadów udzielonych kilka lat temu Marian Owerko powiedział m.in.: „W biznesie istotna jest powtarzalność kontraktów na atrakcyjnych warunkach, długość ich trwania oraz klientów, którzy wracają... Dąży się do powtarzalności nie tylko, żeby zamknąć rok z dobrym wynikiem, ale żeby start następnego roku był stabilny”.

Młodzi, 23-letni biznesmeni mieli pecha. W 1993 r. ich fabryka została doszczętnie okradziona z towaru, opakowań i sprzętu do produkcji. Stracili cały dotychczasowy dorobek. I ponownie zaczynali prawie od zera. Trudne doświadczenia zdobywali wraz z rozwojem firmy. „Był to [jak wspomina Marian Owerko, ówczesny prezes Uno Fresco Tradex Sp. z o.o. (od 1996 r. do 2006 r., a od 2006 r. prezes Bakalland)] uniwersytet oparty na własnych błędach. To, co nam przeszkadzało, to młody wiek, więc zapisywałem, co mam przekazać swojemu szefowi, ponieważ mówiono do mnie: >>Młody, przekaz, k..., swojemu szefowi, żeby coś tam, coś tam...<<”. Udało się. Pierwszy milion zarobili na bakaliach, a do Mariana Owerko przyłączył się przydomek „Król bakalii”.

Szybko rozwijający się import bakalii (1997–1999) dodał prezesowi Marianowi Owerko skrzydeł. Zaowocowało to w 2000 r. sprzedażą za prawie 60 mln zł. Już nie byli raczkującą firmą. Mogli sobie pozwolić na przeniesienie zakładu na ul. Bakaliową 1 w Mościskach. I tam powstała znana marka Bakalland – szum w mediach, kampanie billboardowe, prasowe – i biznes poszybował.

Duct budujący potęgę

Do współczesnego wizerunku brakowało jeszcze możliwości, jakie w tamtych latach stwarzała Warszawska Giełda Papierów Wartościowych. To Marian Owerko wprowadził swoje biznesowe „dziecko” na salony, na stołeczny parkiet w 2006 r.

Pod koniec lipca 2014 r. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów wydał zgodę na przejęcie przez Innova Phoenix firm Rieber Foods Polska (Delecta) i Bakalland SA. Połączenie nastąpiło w 2015 r. (niemal równoległe z wycofaniem z GPW spółki Bakalland SA). Grupę Kapitałową utworzyły marki Bakalland oraz Delecta i Anapol, których produkty były i nadal są wytwarzane na terenie Polski. W fabrykach zlokalizowanych w Janowie Podlaskim i we Włocławku produkuje się bakalie, batony zbożowe i zbożowo-bakaliowe, batony proteinowe, przekąski, ciasta i desery w proszku oraz dodatki do ciast.

W tamtych latach w Grupie pracowało około 800 osób. Już wtedy w ofercie znajdowało się 500 produktów w dwóch głównych markach – Bakalland i Delecta. Pierwsza z nich to rynkowy lider w kategoriach: bakalie, batony zbożowo-bakaliowe, masy do ciast. Natomiast marka Delecta jest liderem w kategorii mieszanki do ciast i dodatki do ciast, a numer dwa w kategoriach głównych składników do ciast i kawy zbożowej.

Bakalland zmienił właściciela

W 2014 r. w firmę zainwestował fundusz Innova Capital, który połączył Bakalland z firmą Delecta. Spółkę wystawił na sprzedaż w 2018 r. jego główny akcjonariusz, fundusz Inova Capital. Akcjonariusze funduszu zrobili na Bakallandzie świetny interes. W 2014 r. kupili 61,6 proc. akcji za ok. 100 mln zł, a w 2018 r. wystawili Bakalland na sprzedaż za 500 mln zł. Wśród potencjalnych nabywców wymieniano wtedy PepsiCo i McCormick (który w Polsce ma już przyprawy Kamis), choć było szeptaną tajemnicą, że założyciel InPostu, Rafał Brzoska, ma „chrapkę” na bakaliową firmę. Twórca paczkomatów przejął większościowy pakiet akcji firmy założonej przez „Króla bakalii” w 2022 r. Fundusz Innova Phoenix, należący do firmy inwestycyjnej Innova Capital, i fundusz Uno Capital, należący do Mariana Owerko oraz Artura Ungiera, współtwórców spożywczej firmy Bakalland, podpisały 14 lutego 2022 r. końcową umowę sprzedaży pakietu ok. 90 proc. akcji tejże firmy spółce O&R Holding, należącej do Rafała Brzoski, prezesa, założyciela i akcjonariusza paczkomatowej firmy InPost. Obecnie większościami akcjonariuszami Bakalland SA są fundusz Uno Capital Mariana Owerko i O&R Holding, podmiot kontrolowany przez Rafała Brzoskę.

Inwestycja w Bakalland SA to niejedyna akwizycja, na jaką zdecydował się Rafał Brzoska. Kilka miesięcy wcześniej nabył udziały spółki eObuwie oraz zaplanował kupno pakietu akcji w Medicalgorithmics SA (przedsiębiorstwo technologii medycznych).

Dynamicznie w kolorze słońca

Owoce fuzji Bakallandu i Purelli w 2022 r. było utworzenie nowej grupy pod nazwą korporacyjną FoodWell. Marian Owerko, prezes nowo powstałej spółki, tłumaczył na łamach „Pulsu Biznesu”, że nadszedł już najwyższy czas na zmianę nazwy korporacyjnej, gdyż FoodWell ma w portfelu pięć silnych marek, obecnie biznes to już nie tylko bakalie. „Odświeżyliśmy logotyp, zmieniliśmy opakowania, dodając im świeżości i apetyczności. Wyraźnie odmiładzamy grupę naszych odbiorców, zamierzamy się komunikować z nimi w optymistycznym i pozytywnym przekazie. Jest to pierwsza komunikacja dla bakalii w Europie, która nie podkreśla tylko generycznych wartości tego produktu” – powiedział Marian Owerko, właściciel i prezes Grupy FoodWell.

Po kilku latach przerwy wystartowali z szeroką komunikacją marketingową pod hasłem „JESZ, co dobre”. Uwagę konsumentów przykuwa żywszy niż dotychczas kolor: pastelowy żółty, a cieniowania zostały zastąpione wyrazistym odcieniem żółtego, który jest silnym assetem marki. Ten kolor, jako przyjazny dla oka konsumentów, wyróżnia produkty na półce i jeszcze bardziej wzmacnia ich widoczność.

”

Najdłuższą historią może się poszczycić zakład we Włocławku, który działa od 1816 r. Zaczynano od prażenia cykorii do kawy zbożowej, a od 1959 r. jest tutaj produkowane całe portfolio marki Delecta

Prezes FoodWell zapowiedział, że grupa będzie inwestować w nowe kategorie produktowe, np. w roślinne zamienniki mięsa i mleka. Zmieniło się też podejście do eksportu, który odpowiada za około 12 proc. przychodów spółki. Na celowniku eksportowym znalazła się przede wszystkim Europa Centralna i Zachodnia, a w drugiej kolejności Stany Zjednoczone.

Marian Owerko powiedział, że „w Europie jego firmę interesują przede wszystkim rynki skandynawskie i kraje niemieckojęzyczne, gdzie producenci spożywczy osiągają wysoką rentowność. Osiąganiu tych celów sprzyja rozpoznawalność naszych topowych marek: Bakalland, Purella i Delecta, oraz posiadanie trzech efektywnych zakładów produkcyjnych w Janowie Podlaskim, we Włocławku i w Białymstoku”.

Najdłuższą historią może się poszczycić zakład we Włocławku, który działa od 1816 r. Zaczynano od prażenia cykorii do kawy zbożowej, a od 1959 r. jest tutaj produkowane całe portfolio marki Delecta. Największy zakład FoodWell (właściciel marki Bakalland, Delecta, Anatol, BeRAW i Purella) mieści się w Janowie Podlaskim, gdzie na powierzchni ponad 30 tys. m² produkowane są od 1991 r. wszystkie produkty marki Bakalland. Najnowsza fabryka zlokalizowana jest w Białymstoku, gdzie znajduje się jedna z najnowocześniejszych linii do produkcji batonów dla marki BeRAW oraz produktów Purella Superfoods. Natomiast w Warszawie znajduje się Centrum Innowacji, którego zespół analizuje na bieżąco nowości rynkowe, proponując zmiany w ofercie produktowej, oraz opracowuje nowości w strategicznych dla firmy kategoriach zdrowych batonów.

Od 1 stycznia 2024 r. nowym prezes zarządu FoodWell jest Monzer Elabrashy, menedżer z 15-letnim doświadczeniem w sprzedaży, marketingu i zarządzaniu ogólnym w Coca-Cola na Białorusi, Ukrainie, w Polsce, na Węgrzech, w Wielkiej Brytanii, Szwecji i Norwegii.

Źródła: m.in. <https://innpoland.pl/>;
www.wiadomoscihandlowe.pl/;
<https://jeszcodobre.bakalland.pl/>;

www.money.pl/; www.bankier.pl/; www.well.pl/ludzie

KRZYSZTOF KOTOWSKI

redaktor prowadzący
portalu wGospodarcie.pl

Liberalizm walczący

O okolicznościach zakazu wydanego na alkotubki w trybie natychmiastowym na rozkaz premiera Donalda Tuska powiedziano i napisano już chyba wszystko. Jednak dwa elementy, jak sądzę, ciągle zbyt słabo wybrzmiewają.

Pierwszy to kwestia czasu w kontekście sprawności aparatu urzędniczego. O pojawieniu się w ofercie handlowej tubek z zawartością wysokoprocentowej media, w tym redagowany przeze mnie portal wGospodarcie.pl, donosiły już kilka miesięcy temu. I co? I nic. Alarm dziennikarski spalił na panewce także dlatego, że aparat państwowy miał wytłumaczenie: pomysł biznesowy na konfekcjonowany na nowy sposób alkohol nie był zasadniczo sprzeczny z przepisami prawa. Liberalny wykład na temat gospodarki głosi: „co nie jest zakazane, jest dozwolone”. Później jednak w imię udowodnienia sprawczości szefa władzy wykonawczej państwa, którym według obecnego premiera należy zarządzać wedle „prawa, jak my je rozumiemy”, a konkretnym sposobem zarządzania mają być nieznane obowiązującej konstytucji „dekrety”, interpretacja okoliczności u urzędników diametralnie się zmieniła. Zaczęła obowiązywać wykładnia, że mamy do czynienia z luką w przepisach, a „co nie jest dozwolone (w handlowaniu alkoholem), jest zakazane”. I tak alkotubki stały się nielegalne z godziny na godzinę na hasło rzucone przez naczelnego urzędnika RP.

Co ciekawe, pojawił się tu, nolens volens, element zarządzania państwem zaprojektowany dla zupełnie innej grupy i innych okoliczności. Mianowicie przedsiębiorca, który alkotubki wyprodukował i wprowadził na rynek, po wydaniu „dekrety” przez premiera zaczął się gęsto tłumaczyć, posypywać głowę popiołem, „podejmując decyzję o niezwłocznym wycofaniu całej partii produktów z rynku i natychmiastowym wstrzymaniu produkcji”, byle tylko – jak się można domyślać – jego delikt został przez władzę darowany i zapomniany. Czym to jest, jeśli nie realizacją przesłanek zachowania, jakie zdefiniował minister sprawiedliwości, mówiąc o „czynnym żalu”, jaki mają

wyrażać sędziowie uznawani przez niego za „neoseksofili”, którzy chcą się pozbyć paskudnego przedrostka i pozostać w zawodzie?

Tu mamy do czynienia z drugim zaskakująco nieobecnym, moim zdaniem, elementem w sprawie alkotubek, a mianowicie kwestią wolności działalności gospodarczej. Gdzie są głośni wśród zwolenników obecnie rządzących piewcy liberalizmu w biznesie? Dlaczego nie biorą w obronę owego przedsiębiorcy, który w myśl wyznawanych przez nich zasad powinien pójść do sądu z całą sprawą, domagać się odszkodowania od państwa, skoro działał w ramach prawa i przez długie miesiące nikt nie uważał, że jego oferta jest naganna? Wszak firma zadbała o odróżnienie swojej specyficznej oferty, by nie była do pomylenia z sokami owocowymi dla dzieci, dokładnie ustalano z sieciami handlowymi szczegóły ekspozycji w sklepach itp., itd.

Zwolennicy liberalizmu oczywiście powiedzą, że nie ma co rozdzierać szat: dola owego przedsiębiorcy z Siedlec, zresztą aktywnego na rynku spożywczym od lat, to naturalne ryzyko biznesowe. Otóż nie. Na naszych oczach, tak jak zadekretowano w świecie polityki wejście w erę „demokracji walczącej”, w sferze gospodarki afera alkotubek pokazuje, że idee liberalizmu, które od lat ma na sztandarach ekipa sprawująca dziś władzę, zamieniły się w koncepcję „liberalizmu walczącego”, w ramach którego władza może w myśl logiki jej bieżących interesów zakwestionować w dowolnej chwili dowolny obszar aktywności biznesowej, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności. A dotknięty tym przedsiębiorca niech się cieszy, jeśli zdoła ująć spod walca rozpedzonego aparatu państwa. Dziś zakaz dotknął alkotubki, jutro będzie to niewłaściwy kolor koszuli, forma przekazu w internecie, żywność z hodowli, która „szkodzi planecie”...

Tak jak obywatele, dziś z obojętnością przechodzący wokół konsekwencji „demokracji walczącej”, tak biznes w swej masie może uznawać, że „liberalizm walczący” przejdzie bokiem. Niestety nie przejdzie, bo logika takich działań jest bezlitosna: wyjdzie wszystkim, i to bokiem. ●

PROF. GRZEGORZ SZULCZEWSKI

profesor SGH w Warszawie,
członek Zespołu Etyki Biznesu przy
Towarzystwie Naukowym Prakseologii



120 punktów IQ

Listopad to niewątpliwie najsmutniejszy dla nas miesiąc. Zaczyna się wspomnieniem o zmarłych, a kończy się rocznicą wybuchu przegranego powstania listopadowego.

Nie lepiej wygląda sytuacja w Europie. Czytając jesienną prasę, jesteśmy narażeni na natknięcie się na tego rodzaju stwierdzenia: „Liberalny Zachód przeżywa kryzys tożsamości, ma depresję i problemy z wiarygodnością. Znowu potrzebna jest większa jasność i porządek – w głowie, w czynach i w sercu”. I to w sytuacji, gdy, jak czytamy: „Teheran i Moskwa podziela pragnienie przełamania dominacji Stanów Zjednoczonych, Europy i niektórych demokracji azjatyckich w polityce międzynarodowej”.

Postępuje dedolaryzacja i osłabienie działań dotychczasowych światowych centrów finansowych przez stworzenie alternatywnego obiegu finansowo-gospodarczego zasilającego Kreml. I – jakby tego było mało – rozpoczyna się era konfrontacji człowieka z SI!

Jak się dowiadujemy, nowy model Open AI uzyskał 120 pkt w teście IQ, czyli zbliżył się do poziomu wysokiej inteligencji, a to oznacza, że inteligencją przewyższa 90 proc ludzi. Co więcej, Bot ChatGPT w najnowszej wersji 01 potrafi już omijać ograniczenia, na jakie skazują go programy. Informatycy dali mu do rozwiązania zadanie, które przy jego zaprogramowanych możliwościach było nie do wykonania. Z przerażeniem jednak zauważono, że jest już na tyle inteligentny, w złym dla ludzi tego słowa znaczeniu, że potrafi znieść nałożone na niego ograniczenia, a nawet sięgać po informacje dla niego nieprzeznaczone. A gdy nie ma możliwości dotarcia do danych, opowiada niestworzone historie, jakby były prawdziwe, co jest niepokojące, bo trudno człowiekowi rozpoznać zamierzone przez niego kłamstwo.

Nadzieja jednak w tym, że ludzie zawsze sobie radzili, pozostając twórczymi, tworząc dzieła o wielkim znaczeniu dla ludzkości.

Do nich zaliczamy Boecjusza, którego okrągła data śmierci (524 r.) właśnie minęła. Uważany jest

on za ostatniego myśliciela Starożytności, czyli żył w czasie, gdy na jego oczach dochodziło do zniszczenia dorobku antyku. Swoje dzieło „O pocieszeniu, jakie niesie filozofia” pisał w oczekiwaniu na egzekucję. Nie można więc sobie wyobrazić koszmarniejszych okoliczności dla skupienia, refleksji i dokonania czegoś odkrywczego.

Oczywiście znajdujemy u niego znane wątki – że w obliczu tej szczególnej sytuacji zagrożenia nie należy się skupiać przede wszystkim na tym, co od nas nie zależy. Uzyskujemy też sięgające czasów stoików wskazówki, że „jeśli zapanujesz nad sobą, to zdobędziesz to, czego nigdy stracić nie zechcesz i czego Fortuna nie może ci zabrać”. Ale bardziej nas interesujące fragmenty mówią: „Zatem znam już inną, najpoważniejszą przyczynę twojej choroby: przestałeś wiedzieć, czym sam jesteś”, czyli wskazują na potrzebę wysiłku, żeby zrozumieć siebie w tych pogmatwanych czasach.

To rodzi pytanie: kim chcielibyśmy być i – według Boecjusza – na czym polega odrzucenie słabości oraz skoncentrowanie się na skutecznym działaniu? To zrozumienie siebie rozpoczynać ma zatem proces zdrowienia. Jak pisze Boecjusz: „Zwiastunem zdrowia jest twoje przeświadczenie, że wierzysz w to, iż... świat nie podlega bezmyślności przypadków”. Cechowało go zatem przeświadczenie, że mimo odwrócenia się o niego przychylności losu zdarzenia w świecie toczą się jednak w określonym kierunku, jak wody w rzece mającej swój nurt i ograniczenia w postaci brzegów. Trudno oczywiście nam uchwycić ten głębszy sens, który wynika z rozwoju szczególnej naszej sytuacji, czyli totalnego skłócenia narodów; co gorsza, w obliczu frontalnego zagrożenia ze strony sztucznej Super Inteligencji.

Boecjusz w ostateczności zadaje pytanie: „Czy wy, ludzie, nie macie żadnych dóbr w sobie, które mienilibyście za własne, że z uporem szukacie swoich dóbr gdzie indziej, na zewnątrz?”. Wydaje się, że tym dobrem zapewniającym bogactwo duchowe jest uczciwość w sensie zgodności myśli, deklaracji i rzeczywistej wartości naszych czynów. W ujęciu Boecjusza jest to „musica humana” – muzyka rozumiana jako harmonia duszy i ciała. ●

Newsy, komentarze,
opinie ekspertów

Zaprasza
Michał Adamczyk

Najważniejszy
program informacyjny
w Polsce.

wPolsce
24

WIADOMOŚCI

codziennie
19:30

wPolsce 24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia 

32

orange

825
 vectra

196
polsat box 

339 dekodery
Mediabox 

121 dekodery
KAON i Horizon
dawniej UPC

Zawsze w trendzie wzrostowym

Najstarszy **magazyn**
ekonomiczny w Polsce



Portal pełen informacji
i opinii **o gospodarce**

Pobierz aplikację na:

